

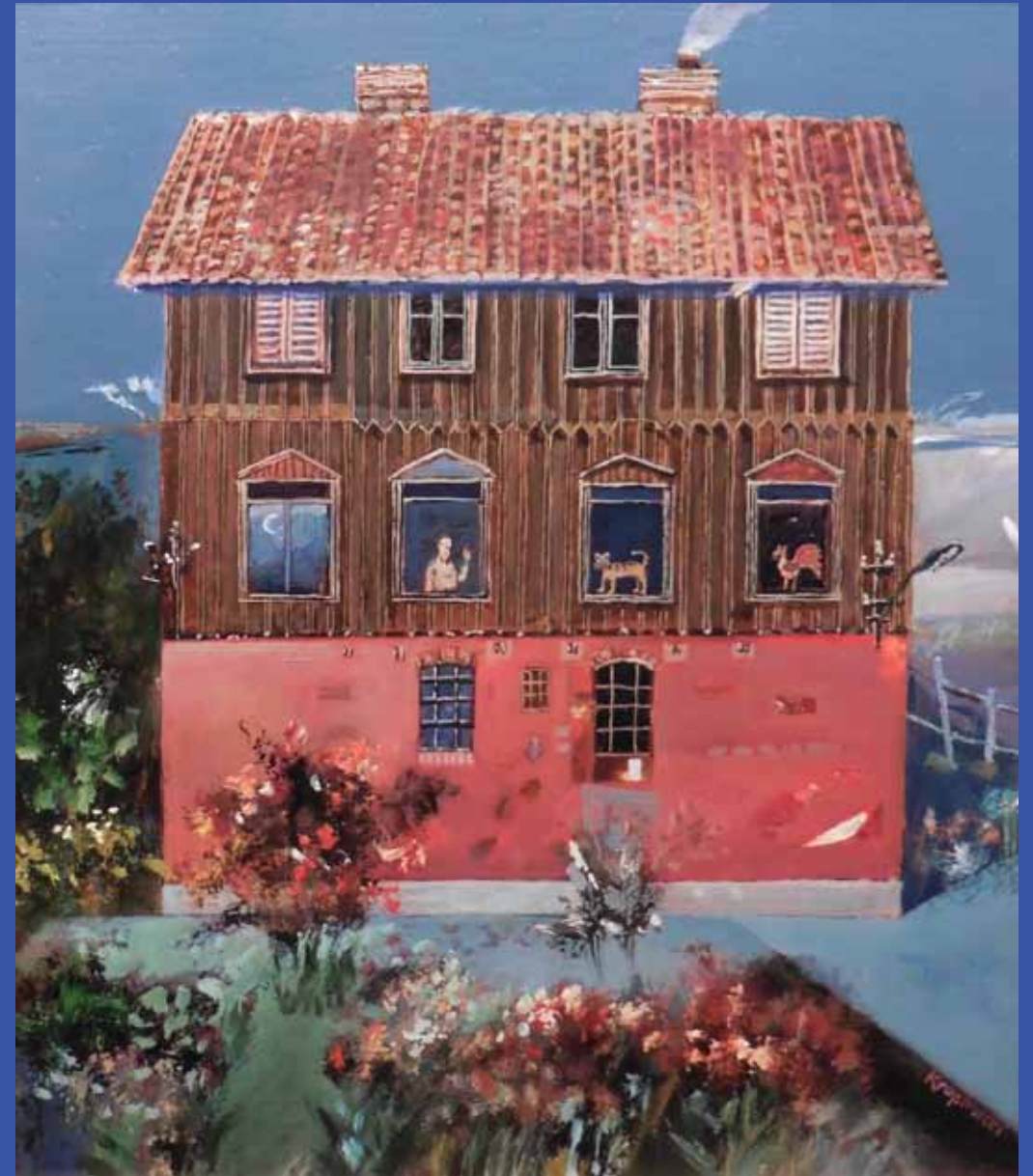


nr 1-4 (82-85) 2024

tygiEL
KWARTALNIK KULTURALNY

tygiEL nr 1-4 (82-85)
2024
KWARTALNIK KULTURALNY







Redakcja:

Janusz D. Wrocławski – redaktor naczelny (janusz@etygiel.pl)

Tomasz Stężala

Zbigniew T. Szmurło

e-mail:redakcja@etygiel.pl

Współpraca:

Jerzy Domino, Edward J. Jaremczuk, Edward Pukin,

Krzysztof P. Sawicki (Elbląg)

Bohdan Wrocławski (Warszawa/Kąty Rybackie)

Andrzej K. Torbus, Janusz A. Wieczorek (Kraków)

Lech L. Przychodzki (Świdnik)

Alfred Kohn (Tarczyn)

Karl Grenzler (Czersk)

Bartłomiej H. Toszek (Szczecin)

Na okładce prace **Benedykta Kroplewskiego**

Wydawca: **Fundacja Lwie Serce**

Niniejszy numer został wydany dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Lwie Serce

Adres dla korespondencji:

ul. Malborska 93a, 82-300 Elbląg

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo redagowania i skracania tekstów.

Materiały są przyjmowane wyłącznie w formie elektronicznej

– adres e-mail: redakcja@etygiel.pl

ISSN 2720-6017

© All Rights Reserved

Spis treści

Janusz Wrocławski – <i>Kolejne spotkanie</i>	5
Bohdan Wrocławski – <i>Wiersze</i>	6
Piotr Müldner-Nieckowski – <i>Bohdan Wrocławski: Wiersze wybrane</i>	11
Andrzej Wołosewicz – <i>Peryferie jako poetycki topos, czyli Bohdana Wrocławskiego centrum świata w Kątach Rybackich</i>	13
Karl Grenzler – <i>Wiersze</i>	23
Karl Grenzler – <i>Zdecydowanie jestem psem</i>	27
Wiktor Mazurkiewicz – <i>Wiersze</i>	37
Tomasz Stężala – <i>Burza</i>	41
Janusz D. Wrocławski , <i>Z życia Donimira –przypowieści</i>	48
Bartłomiej H. Toszek – <i>Opowiadania</i>	55
Magdalena Zybowska – <i>Opowiadania</i>	61
Lech L. Przychodzki – <i>Filozof w labiryncie lego</i>	65
Jerzy Domino – <i>O kilku motywach, zdobiących nagrobki na cmentarzach katolickich, ewangelickich, mennonickich, żydowskich pogranicza dawnych Prus Wschodnich i Zachodnich</i>	75
Edward J. Jaremczuk <i>Historia samolotu AN-2P „Żuławy”</i>	80
Krzysztof P. Sawicki – <i>Dylematy tożsamości narodowej Litwinów</i>	93
Satenik V. Vardanyan – <i>Nie uczyniony ludzką ręką – cudowny obraz Chrystusa w sztuce ormiańskiej</i>	100
Zbigniew T. Szmurło – <i>Bracia Sołunscy a Ormianie (1)</i>	113

Przypomnienia

Henryk Majcherek – <i>Wiersze</i>	126
Ryszard Tomczyk – <i>Hymn „Lewaków” A.D. 1994</i>	129
Sylwetki autorów	130



Benedykt Kroplewski

Kolejne spotkanie

Z wielką radością oddajemy Czytelnikom kolejny numer naszego kwartalnika. Jego każda odsłona – to starannie dobrana mieszanka – tygiel tekstów, które mają na celu nie tylko dostarczyć inspiracji, ale również zachęcić do refleksji nad historią, kulturą, sztuką oraz literaturą.

Ten numer jest dla nas wyjątkowy z kilku powodów. Przede wszystkim obchodzimy 80. urodziny Bohdana Wrocławskiego, cenionego poety, którego twórczość, tłumaczona na wiele języków, zyskała uznanie w różnych kręgach. Z tej okazji przygotowaliśmy zestaw, w jakim znajdziecie Państwo wybrane wiersze Autora. Wierzymy, że jego poetyckie wizje, przemyślenia i poszukiwania poetyckich wrażeń, poruszą Czytelników, zainspirują do głębszego zanurzenia się w bogaty świat literatury Bohdana Wrocławskiego. Twórcze dokonania Autora w swoich omówieniach-recenzjach przybliżają Piotr Müldner-Nieckowski i Andrzej Wołosiewicz.

Krąg poezji w aktualnym zeszycie to także świat Karla Grenzlera – wrażliwego poety i uważnego obserwatora codzienności magicznych miasteczek i rodzimych krajobrazów.

Wśród elbląskich autorów znajdziemy wiersze Wiktora Mazurkiewicza, opowiadania Tomasza Stężyły, a także teksty Jerzego Domino, Edwarda Jaremczuka, Krzysztofa Sawickiego, Zbigniewa T. Szmurły.

Nie zapomnieliśmy także innych twórcach, którzy wcześniej gościli na łamach „Tygla”. Przypominamy poetyckie dokonania Henryka Majcherka (1934-2021), aktora, rysownika i poety z Krakowa, związanego przez jakiś czas z Teatrem im. Aleksandra Serwuka, który przez cały czas żywo interesował się wszystkim, co dotyczyło Elbląga i utrzymywał kontakt z naszymi twórcami. Jego doświadczenia sceniczne oraz poetycka wrażliwość i umiejętność obserwacji codzienności wnoszą do tej poezji niezwykłą głębię i dramatyzm, co sprawia, iż jego poetycka twórczość zasługuje na przypomnienie.

W sferze sztuk plastycznych prezentujemy prace Benedykta Kroplewskiego z Malborka (od wielu lat aktywnie uczestniczącego w bieżącym życiu artystycznym elbląskiego środowiska twórczego), którego dokonania plastyczne znane są w różnych ośrodkach w Polsce i za granicą. Jego unikalne, wypełnione malarską mistyką obrazy, ukazują świat z pogranicza snu, tajemnicy i barwnego życia małych miasteczek, otwierają nowe spojrzenie na otaczającą rzeczywistość – współgrają z poetyckimi światami, do poznania których zostajemy zaproszeni.

„Tygiel” od samego powstania – to pismo, które stara się łączyć różnorodne aspekty kultury. W publikowanych na łamach kwartalnika artykułach nie brakuje filozoficznej refleksji nad współczesnością, analizy aktualnych zjawisk społecznych i kulturowych oraz literackich poszukiwań, jak również zadumy nad przeszłością – tą odległą, jak i sprzed 2 – 30 lat. Stąd gwoździ refleksji nad powtarzalnością gestów, fałszywych haseł, niewiele znaczących słów i rozdzieraniu szat – jeszcze jedno przypomnienie: tekst Ryszarda Tomczyka (1931-2020), bardzo mocno związanego z Elblągiem twórcy, artysty malarza, publicysty, prozaika, założyciela i pierwszego redaktora naczelnego naszego pisma. Jego powstały w 1994 roku *Hymn „Lewaków”* jest wciąż aktualny i wpisuje się z prześmiewczym chichotem w polską rzeczywistość A. D. 2024.



TO COŚ

To coś
co jeszcze do dziś
nie jest całkowicie czytelne
pewnego dnia wyszło z morza na brzeg

niektórzy mówią
że było to nasze przerażenie
zmatowiałe i pragnące spokoju
w miejscu i środowisku
zupełnie dla siebie nieznanym

Panował upał
i fakt ten był najgorszym z możliwych

Ale jeśli dziś powiem że panował mróz
w niczym nie ulega zmianie
ciąg logicznego zdarzenia

Głębia oceanu boleśnie znana
doświadczała to coś jeszcze okrutniej
trwała tam transmisja grozy
być może śmierci

dlatego zapewne to coś
postanowiło zostać na brzegu

bo tylko nieuchronne
przywołuje

nas w miejsca zupełnie nieznane
i wyzwala w nas siły
których w sobie zrozumieć nie potrafimy

Każdy obszar między mrozem i upałem
jest obszarem do zapisania
literka po literce słowo po słowie
cierpliwość do cierpliwości
zdanie do zdania
aż do ostatniego westchnienia

PEJZAŻ Z KOBIETĄ W TLE

Na klifie stoi kobieta
patrzy w dół
Zachodzące słońce
czerwieniejąc oświetla jej profil

Kobieta unosi dłonie
być może modli się

z daleka odgaduję jej wilgotny oddech
przymrużone od wiatru oczy

Na piasku plaży podryguje kormoran
ze złamanym skrzydłem

kona tak od kilku godzin

Widzi przelatujące obojętnie nad nim
mewy
Kutry odbijające się od fal
rybaka unoszącego
ciężkie wiosło nad jego głową

Kobieta gwałtownie opuszcza dłonie
Odchodzi w głąb lasu

Słońce prostuje promienie na jej profilu

CO NAS ROZDZIELA

Odchodzisz – słońce zapadło się do
środku
Drży każdy promień pod moją skórą
A smutny anioł nad przestrzenią – odleciał
z wciąż płonąłą chmurą

I wstyd mu było z żalem błędził
Żebrał o każdą darowaną chwilę
Brajem odczytał swoją ścieżkę
Fontanną deszczu modlił się czule

Ja stałem obok wiersz pisałem
O tym co będzie bez znaczenia
Gest jakiś poszarpane światło
Słowo za słowem do zdumienia

Wracamy w siebie – już minęło dzisiaj
Drzwi zaskrzypiały warg skrzywienie
Na stole kartka – płoną oczy
Niezrozumiałe wciąż zdziwienie

To ja twój anioł – drży horyzont
Fala przed falą uniesienia
Wciąż ściskam dłonie – niecierpliwość
Krzycząca przestrzeń która nas rozdziela

WYPALANIE TRAWY

Nie podchodź do mnie
bliżej niż odległość
echa odbitego od polnych kamieni

Mój głos nasącza się ich chropowatą
strukturą
pejzaż płonie
popieleje niczym
wiosną wypalone trawy

ten ogień dotyka mnie

ale nie parzy
nie płonę razem z nim

stygnę
obojętnieję

siadam na najodleglejsze ławce w parku
czytam poranną gazetę
poprawiam opadające wciąż okulary
karmię gołębie
patrzę na młodych ludzi
biegnących ustawicznie do siebie

Ich białe wyciągnięte ramiona
Oczyszczają krajobraz

Z najodleglejszych westchnień

LIŚCIE

Spadające liście oddzielają sny
poznają je po niecierpliwości
kaleczą powietrze

to śmierć zawołasz
Istnieje
poza moim ciałem

jej geografia rozkłada się równomiernie
poznasz ją po chropawym oddechu na
peryferiach miasta
błądzeniu wzdłuż codzienności

Pejzaże powracają
w najniższych miejscach nieboskłonu

wciąż opadają z nas
bliżej nie poznane granice wstydu i radości

NA KARTKACH PAMIĘTNIKA

nad słuchuję bulgotania krwi w słońcu

oczy wypatrują
maszerujących w kierunku Rzymu
kolumn Germanów – to obecność historii
zwijającej się w bólach podbrzusza
wydumana niczym śmierć
Możesz zawrżeć z nią rozejm przyjaźń
poczujesz jak łąsi się u twych stóp

stygnie w lodowym uścisku własnej
niechęci

Na kartkach pamiętnika widać plamy
ogrody zapełnia wiosenna maciejka

Jakiś van Gogh opisze to barwami
o ogromnym
natężeniu rozkoszy światła i samotności

Zatem dotknij a jeśli boisz się śmierci
schowaj swoją dłoń – niech będzie
nieobecna w chwilach
kiedy jesteście zbyt blisko oceanów
pełnych rozczarowań

albo zbyt wcześnie przeczytanego
dzieciństwa

JEŚLI NIE POWRÓCĘ

Jeśli nie powrócę zapiszcie mnie
między linią brzegu
a ciężarem chmur
które nie dotarły
do wysokości mojego serca

Przyjdzie ktoś zupełnie przypadkowy
będzie stał

jego oddech zamraża w zupełnym
zduśnieniu

Poznasz go po krystaliczności powietrza
morzu martwiejącym pełnym wyrzeczeń
unoszącym rozpacz
do granic Marzeń

Unoszącym radość wszechobecną

I wtedy wykrzyczysz swój sen
swoją śmierć

Która istnieje
wyzbywając się obojętności

wobec rzeczy tak małych
że prawie dziś już niewidocznych

ZATRZYMAŁEM SIĘ W TYM MIEJSCU

Stale jest ten czas
W którym zatrzymałem się
Przy drodze wyschniętej i pomarszczonej
jak skórka pomarańczy
Rozciągnięta wzdłuż krańców miasta
ropieje tysiącem
słońc i zapachem zabłoconych ulic

W takim miejscu rozwlekane wiatrem
chmury
odsłaniają resztki nadziei i popiołu

Wygląda to tak jakby ktoś zapalał
pochodnie
Wokół czarnych bram stadionów
Jeszcze od czasów rzymskich toczą się
tam walki
Gladiatorów
W przejściach rozdają chleb i oliwę

Ustawiają odświeżane popiersia
imperatorów

Pachnie świeżą farbą i entuzjazmem
Tak wielkim
Że nie mogę go zupełnie odgadnąć

CZAS CZEKANIA

Ponownie chmury krwi demonstrują na
niebie
już tyle razy umierałaś wśród nich
rodziłaś się potokami szaleństwa
a mimo to nadal twoja podróż nie
przeszkadza nikomu

zatem uczyni gest jakiś
otwórz źrenice
tak jak otwiera się starym wytrychem
skrzypiące drzwi
do czyichś zupełnie zapomnianych snów
być może jesteś tam wśród drobnych
szczegółów rekwizytów
starym magazynie na przedmieściu
trwogi i zwątpień – to jest ten nowy
dzień
ktoś ci podpowiada ze środka wyobraźni
tak zgodzisz się zupełnie obojętny ze
śladowi łoż na policzkach

wciąż umieramy w każdym ruchu dłoni
niecierpliwym wykrzywieniem warg
rzeczach codziennych
ale w tym czasie zamknięta rzeka
w naszych ciałach
nasiąka wzruszeniem czasami miłością

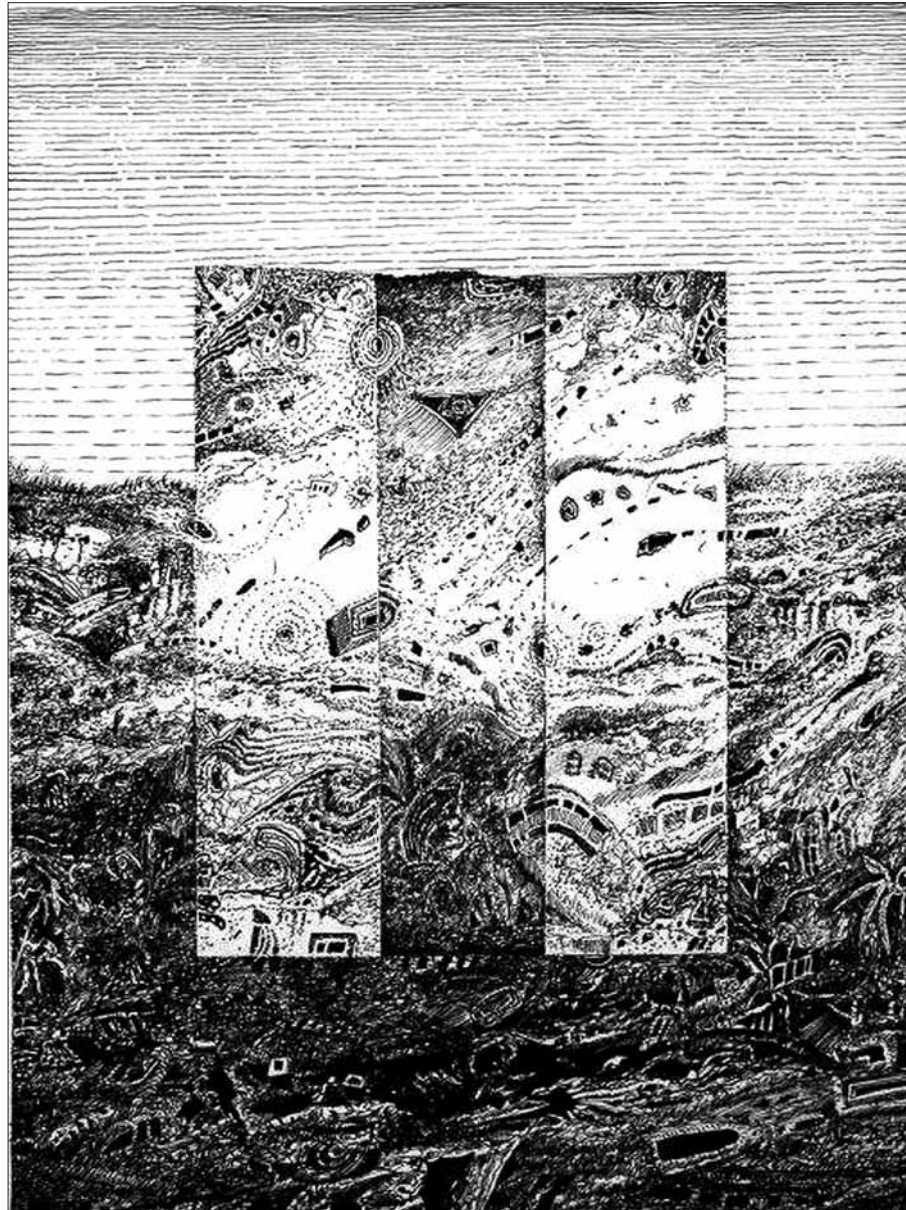
W upale dni nadal odwiedzają nas
okrutnie białe obszary śniegu

PRAWDOPODOBNIENIE

Między przecinkami ulic
W skali jeden do czterech miliardów
Obudziłem się pełen przeznaczenia
Inne wydawały mi się morza
I gęstwiny zwierząt
Nikt nie krzychał – głos był przezroczysty
Zostałem echem ocembrowanych stu-
dzien
Galaktyki odbijały się od słów
Wchodziłem w to wszystko
Nie wiedząc dlaczego nikt się nie
uśmiecha
Prawdopodobnie był dzień świąteczny
O ustach zasklepionych mrozem
i zduśnieniem
I martwość tak ogromna
Że trudno byłoby ją przeżyć



Bohdan Wrocławski: Wiersze wybrane



Benedykt Kroplewski

Potężna księga poetycka, dokładnie taka, jakiej można było się spodziewać po autorze, istniejącym w kulturze od 1963 roku, zatem przez równo 60 lat. Jubileuszowa? Trochę tak, a trochę wydana z obowiązku, aby jej zawartość nie przepadła w zakurzonych archiwach czasopism.

Autor licznych tomów wierszy, także opowiadań, jak również pojedynczych utworów z szyldem „Wrocławski”, które widzimy w tygodnikach czy Internecie (od samego początku istnienia tej instytucji). Z nieznanymi, niezrozumiałymi powodów, poetę tego leniwi literaturoznawcy chętnie pomijają, ignorują, odpychają, a przecież jest on w środowisku literackim postacią więcej niż znaną, bo cenioną i uważaną nie tylko za twórcę: poetę, autora sztuk dramatycznych, tekstów kabaretowych, utworów dla dzieci, piosenek, ale za równie wybitnego animatora kultury, w tym założyciela i głównodowodzącego dwutygodnika internetowego „Pisarze.pl”.

Co więcej, jego wiersze czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Od niektórych nie sposób się oderwać, zapadają w pamięć, tkwią w niej latami. Są bardzo charakterystyczne. Dość długie, przeważnie przekraczają objętością jedną stronę, pisane z lekka rozciągniętą frazą, która jak w dawnych poematach epickich, niezauważenie przechodzi z poetyki do narracji i z powrotem, nie szczędząc odkrywczych, jasnych metafor, skojarzeń, wypowiedzi, bywa, że interlokucyjnych niczym w dialogu, ale nierzadko w zawołowany sposób intertekstualnych, nawiązujących do dzieł i wypowiedzi lub idei

znanych i mniej znanych, ale cudzych, pod warunkiem, iż ważnych.

Erudycyjność tej literatury jest niewątpliwa, ale nie przytłaczająca. Warsztat literacki Wrocławskiego pozwala najtrudniejsze frazy przedstawiać w kontekstach objaśniających w taki sposób, że nawet czytelnik niedorastający wiedzą czy umiejętnościami radzi sobie z odbiorem opowieści poetyckiej. Tak, to dobre określenie: wiersze, małe i większe poematy są właśnie opowieściami poetyckimi. Krytycy (wyćwiczeni w odczycie i rozumieniu wierszy z końca XX wieku, komunikatów poetyckich, przeważnie krótkich, lirycznych, skupionych na samozachwytach albo wyznaniach rozpacz, zbanalizowanych autotragediach niezliczonych twórców powielaczowych) w ostatnim półwieczu nabrali zbiorowego przekonania, iż epika w poezji nie istnieje albo jest przestarzała, lub po prostu nudna, albo – co zdumiewające – niepoetycka. Tak, epika za taką ostatnio uchodzi, a to miłośników poezji bulwersuje. Dlaczego nie krytyków? Może dlatego, że są tolerowani bez sprzeciwu, ponieważ jest ich bardzo mało; a więc są w cenie i sami znajdują się poza krytyką?

Tacy badacze literatury potrafią z ogromną łatwością prześlizgiwać się nad tekstami poetyckimi dłuższymi niż jedna strona druku (przechodzącymi na następną stronę), zapewne dlatego, iż dla ich pełnego, głębokiego odczytania trzeba zawracać i nawracać, doczytywać treści schowane, streszczone, skondensowane, ujęte metaforycznie lub zakamuflowane.

Poezja, zwłaszcza w wydaniu Wrocławskiego, to nie piosenki z założonym przez tekściarza ułatwieniami dla słuchacza, totalną banalizacją treści i głupawym przekraczaniem dopuszczalnych norm rytmizacji, zgrzytliwego „brzmieniowania” i kulawego rymowania. Zwłaszcza poezja wymagająca, epika spleciona w jednym uścisku z liryką – tak trudna w pisaniu i (pewnie dzięki dużemu wkładowi pracy) łatwa w czytaniu – jak u Wrocławskiego.

Poeta stawia jednak wymagania większe niż tylko odczytywanie. Te teksty trzeba rozumieć i przeżywać, a więc odbierać z zaufaniem i zarazem skupieniem. Wśród niemal 170 utworów, zawartych w tym tomie, są tak różne tematycznie i znaczeniowo, jak różnią się swym sensem powieści u doświadczonego prozaika. Każdy poemat w jakiś sposób żyje własnym życiem i gdyby nie konieczność ekonomiczna i techniczna, należałoby je wszystkie wydawać w osobnych książeczkach. Czasem jest to analiza poetycka wydarzeń w starożytności, czasem na dzisiejszej ulicy albo w odległym od Europy pałacu, a zawsze tu i teraz. Paradoks? Nie, to tylko rozległość wiedzy i wyobraźni Bohdana Wrocławskiego.

Za każdym razem coś zaskakującego... To niekiedy poetyckie eseje, które starają się zamykać swój temat w jakiejś własnej skończonej encyklopedii wiedzy i uczuć, w scalającej geometrii, w jakimś własnym wielokącie. Polecam jako przykład „niemal-całokształkowej-figury” wiersz „Dziewczynka”, niezwykle (jak większość pozostałych utworów w tomie), chwytający za gardło:

*Budzi cię zimno przytulasz dłonie do
policzków
słyszysz
jak przez cienkie ścianki tyka słoneczny zegar
krwi
[tu trzy strony potężnej wypowiedzi..., po
czym zakończenie:]
rozmawiasz z motorniczym o pogodzie po-
lityce
i małej dziewczynce
którą ktoś znalazł
na opuszczonym śmietniku
między niebem i szlochającą z rozpacz
ziemią*

Książka fascynująca, kto ją zdobędzie, będzie z wzajemnością też zdobyty – przez poetę Wrocławskiego.



Bohdan Wrocławski, *Wiersze wybrane*,
Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2022,
s. 322, oprawa twarda,
ISBN 978-83-63143-86-2.

Andrzej Wołosewicz

Peryferie jako poetycki topos, czyli Bohdana Wrocławskiego centrum świata w Kątach Rybackich

Wrocławski udowadnia, że poetycki język opisujący świat może być źródłem zachwyty. Oto wiersz „Il Silenzio – studium w szarości”, otwierający jego „Wiersze wybrane”:

*Mężczyzna siedzi przy stole
książki na parapecie przysłaniają mu światło
W półmroku czyta wiersz Roberta Lovella o umieraniu
od dłuższego czasu próbuje zrozumieć swoją śmierć – rozpisuje ją
niemal w sposób sceniczny
jakby stawiał znaki interpunkcyjne przy każdym oddechu
już wie że można być scenarzystą reżyserem i aktorem
a gra w każdym akcie komedii
jest niczym wpływanie małego strumienia
w ciszę oceanu
zauważył że znajomi telefonują do niego coraz rzadziej
w gruncie rzeczy
nie przeszkadza mu to – odczytuje jako znak umykającego czasu
W wyobraźni stara się odnaleźć siebie dawnego
słucha grającą na trąbce Il Silenzio Melisse Veneme
aż do tego momentu
w którym orkiestra włącza się w krwiociąg utworu
powraca do książki Lovella
szelest kartek wytrąca równowagę w pokoju
powietrze przepływa spokojnie przez jego wyciągniętą dłoń
i ginie gdzieś w zupełnie nieokreślonej przestrzeni
za otwartym oknem
Kiedyś myślał że śmierć nigdy nie będzie jego udziałem
dziś dostrzega – każdego dnia jakaś mała część ciała
opuszcza go
przemierza ogromne przestrzenie kosmosu
pozbawiona jego oddechu*

przerażona ginie w ciszy nie do zaakceptowania
 to codzienność i jej tło
 odczytane jakby znajdowało się za brudną szybą
 którą swoją obecnością
 pokaleczyły liczne sztormy krzyki mijających pór roku
 nadal próbuje odnaleźć nieodległe przecież fragmenty młodości
 i dzieciństwa do których chce się uśmiechnąć
 ale wargi zaledwie wykrzywają się
 w jakimś niezrozumiałym szaleńczym grymasie niepokoju
 mężczyzna odkłada książkę na stolik
 przez chwilę zatrzymuje dłoń na jej okładkach – jest w tym czułość
 całej biologicznej potęgi wszechświata
 powrót do muzyki wydaje mu się zbyt śmiały
 dlatego odwraca się do światła
 i przez moment kieruje wyobraźnię
 do pobytu Norwida w Domu Świętego Kazimierza w Iwry
 być może przywołuje kogoś jakiegoś Michała Zaleskiego
 czuje narastający ucisk w piersi
 próbuje podnieść dłoń na wysokość serca
 słyszy coraz głośniejszą muzykę
 natrętność grającej trąbki wydaje mu się nie do wytrzymania
 Il Silenzio wyszeptuje
 chcąc wzrokiem odnaleźć płaszcz którym mógłby się przykryć
 trąbka milknie
 dłoń podniesiona do serca opada takim gestem
 który wyrównuje wszystkie niedoskonałości świata

Właśnie język, nie sam świat, ten wszak pokraccanie nam coraz bardziej i coraz trudniej o wspólne miejsca, one raczej nas różnicują i wcale nie muszą kogokolwiek zachwycać, tylko dlatego, że zachwycają autora. U Wrocławskiego jest inaczej. Jego wiersze same się opowiadają, one są pisane od człowieka do człowieka. Jeśli się upieram – a się upieram – iż wiersz jest jednostką rachunkową w rozmowie poety ze światem, to rozmowa, którą wiedzie Wrocławski jest klarowna, czysta, przepełniona jasnością nawet, gdy widać – a widać – ile siły go to kosztuje, gdy pisze wiersze przerażająco dosłowne, choćby te o swoim odchodzeniu, bo tom pożegnalny i w treści i w nastroju. Widać w tych wierszach, że poeta wie o odchodzeniu więcej niż nam o tym mówi, choć dzieli się przecież przeżywaniem, doświadczaniem odchodzenia dość obficie. Tę jasność, całą prawdę tej jasności otrzymujemy jak na dłoni, doświadczamy jej, możemy jej dotknąć: jeżeli pisze o miłości, to miłość ma imię. Jeśli pisze o dłoni, to czujemy jej dotyk. Bezpośredniość odczuwania, którą funduje nam poeta to jest szczególny dar dla czytelnika. Dawno nie dotykałem tak świata, a tak napraw-

dę drugiego człowieka poprzez wiersze, Bohdanie. Mogłbym w tym miejscu napisać, iż te wiersze są wzruszające, bo są, ale to byłoby zbyt mało. One są poruszające, poruszają te pokłady ludzkich emocji, które są odległe od zgiełku codzienności (choć są w niej głęboko zanurzone, bo to ona nas kształtuje), więc dzielenie się nimi wymaga otwartości i... odwagi, duchowej, psychicznej, międzyludzkiej. Wrocławski w „Wierszach wybranych” na tę odwagę się zdobył już od samego początku, od pierwszych dwóch wierszy – oto drugi:

Ostatnia fala

Bogusi

Już wiem odpłynąłem zbyt daleko od brzegu
 abym dał radę abym miał jeszcze siłę powrócić
 I ta ciekawość tego co jest za horyzontem
 Dlatego proszę nie stój dłużej
 w deszczu na brzegu
 Nie patrz jak drobinami piasku przelewa się ostatnia fala
 i zastyga w świeży kopczyk niepamięci
 Wróć do domu
 Zaparz gorącą herbatę z cytryną
 Wiesz że także ten wiersz został osierocony
 Wyciągnij dłoń Zapewne będzie drżała
 To szczegół bez znaczenia
 Rozłóż palce w ten sposób w który
 ja je rozkładałem przed pocałunkiem
 Widzisz przepływające w poprzek dłoni światło
 Czujesz ciepły oddech
 na opuszkach palców który powoli
 przesuwają się wzdłuż dłoni
 To płynie ostatnia fala
 pełna kolorowego krzyku mew
 słońca zapadającego się w głąb szlochów
 Morza z dnem otwartym
 jak rozłupany sztormem orzech

Spójrzmy na didaskalia. To tylko dłonie, wiatr, ciepły oddech, woda a nad nią (kolorowy!) krzyk mew, okruchy gestów jak okruchy życia – a ile w nich pełni, ile mówią. Wydobyć z normalności wrażliwość i piękno, wydobyć z niej wrażliwość na piękno, to poetycka robota najwyższej próby. Uwrażliwić, upięknąć czytelnika wcale mu nie ka-

dząc, pisząc po prostu o sobie i od siebie udaje się mało komu w dzisiejszej literaturze, stawiającej na łamanie językowe, na eksplorację często wykraczającą poza komunikatywność poetyckiego przekazu, bo trzeba być oryginalnym, wyróżnić się, zaskoczyć. Nie trzeba, nasz świat jest tak naprawdę pod podszewką codziennej multiplikującej się kakofonii dość prosty, tylko trzeba dojrzeć, by to dostrzec.

Wrocławski ma na to dostrzeganie własny sposób, jawiąc nam się jako klasyk, kontynuator klasyki w jej najlepszym wydaniu. „Lepi” bowiem swoje wiersze, swoją rozmowę ze światem z tych samych doświadczeń, sytuacji, momentów, obrazów, spojrzeń, gestów, słów i półsłów, niedopowiedzeń, rozmów, milczenia, spojrzeń i zamyśleń, które są, bywają udziałem każdego z nas i robi to w n a s z y m języku, n a s z y m w tym sensie, że nie sili się na wymyślanie poetyckich praw grawitacji od nowa, nie prywatyzuje swojego poetyckiego idiomu w sposób, który blokuje lekturę, choć przecież ma ów idiom bardzo swój, bardzo zindywidualizowany, niepowtarzalny, charakterystyczny i ciągły, bo taki sam od początku, od „Linii krat” (Wydawnictwo Morskie, 1967) poprzez „Inny smak księżycy” (Wydawnictwo IBIS, 2006), „Skazanego na peryferie” (Wydawnictwo Piarze.pl, 2018) aż po „Wiersze wybrane”. Wrocławski klasykiem jest, bo... na nic się nie sili, pisze tak swobodnie, iż ta swoboda aż... czytelnicy dech zapiera. I to nader często. Zwracam uwagę na tę swobodę także dlatego, że mówię tu o c z y t e l n i c z e j swobodzie autorskiego pisania, jakby to dziwnie nie brzmiało: chodzi więc o moją, czytelnika swobodę i łatwość odbioru a nie o łatwość samego pisania, której za Wrocławskiego nie orzekam. Więcej nawet, jestem głęboko przekonany o nieprzebranym morzu karpeli duchowych i językowych, które są ukryte za każdą literą „Wierszy wybranych”. To wynika z atmosfery narzuconej czytelnikowi przez odchodzącego poetę. Bo – bądźmy uczciwi – to tom pożegnalny. Wróć proszę, Czytelniku, do dwóch pierwszych, zacytowanych tu wierszy. Tak nie pisze się ani na początku poetyckiej drogi, ani w drugiej czy trzeciej młodości, tak się nie układa wyboru wierszy po drodze, tak się układa wybór ostatni. Odchodzący poeta Bohdan Wrocławski wie, iż to, co w życiu najważniejsze nie jest ani krzykliwe, ani nachalne, ani ekstrawaganckie. Wie, że najważniejsze sprawy, rzeczy, sytuacje dzieją się na co dzień, wydarzają się w naszej zwyczajności, dotykają naszej skóry, naszego bólu, naszej gruboskórności (bez której byśmy nie przetrwali) i wrażliwości (dzięki której jesteśmy, a przynajmniej bywamy, bardziej ludzcy), miłości, lęku, radości, żalu, śmiechu i łez. To wszystko wyjawiają nam kolejne wiersze Wrocławskiego, ot, choćby takiej jak „Zdjęcie z autografem”. Powtórzę jeszcze raz – tylko poezja k l a s y c z n i e d o s k o n a ł a pozwala dostrzec w codzienności i zwyczajności jej n i e z w y c z a j n o ś ć i n i e c o d z i e n n o ś ć. Dostrzec i umieć przekazać tych kilka wartych przekazania spraw np. że jest muzyka, muzyka rangi tej, którą śpiewa Ella Fitzgerald, która śpiewała całą sobą, która śpiewała właściwie całym swoim życiem, do którego głos był tylko/aż dodatkiem:

Zdjęcie z autografem

*Zaparkowałem na niewielkim klifie
wszechstronne morze wdzierło się szarym kolorem
w górę aż do nieba z nisko zawieszonymi chmurami
listopad otwierał swój dwudziesty pierwszy dzień 2017 roku
W Apollo Theater w nowojorskim Harlemie 21 listopada
w kulisach niewyraźnie rysuje się postać Chicka Webba
zaplątany między oświetleniowcami i akustykami z bólem głowy
po wczorajszym przyjęciu
zastanawia się po jaką cholerę przyjechał do teatru
miast siedzieć w domu i szykować program swojej orkiestry
na sylwestrowe zakończenie wkrótce mijającego 1934 roku
Wkładam kasety do samochodowego radia
Ella Fitzgerald and Her Faunos Orchestra
Tej debutującej Elli Fitzgerald
słuchał w kulisach nowojorskiego teatru w Harlemie Chick Webb
mimo bolącej głowy czarna dziewczyna wydała mu się objawieniem
krwią która powinna pulsować najlepszymi rytmami
w prowadzonej przez niego orkiestrze
Po jego śmierci ona przejęła orkiestrę
W dziesięć lat później
w czasie powstania warszawskiego w nieodległym Milanówku
urodziłem się ja
słuchając zupełnie innych rytmów brzmiących na zewnątrz
W latach siedemdziesiątych na aukcji kupiłem zdjęcie Elli z jej autografem
nie było już jej na tym świecie
na fotografii stała prosto z dłońmi odstającą od reszty ciała
jakby chciała jeszcze wykrzyknąć wyspiewać zamkniętą przestrzeń zdjęcia
być może powiedzieć tylko mi coś bardzo ważnego artystycznie
zaskoczyć tym razem nie śpiewem ale gestem uskrzydlającym scenę i jej kulisy
jakiś matorwy cień zarysowany na fragmencie kurtyny
ostro kontrastował z sukienką pełną kolorowych kwiatów
autografem napisanym niedbale cienką szminką do ust
który wdzierał się na wysokie czoło
w uplecione do góry włosy spięte szeroką jedwabną opaską
W młodości wyobrażałem sobie że odwiedzę kiedyś Newport News pójdę
brzegiem James aż do tego miejsca w którym wpada ona do zatoki Chesapeake
i małych drewnianych butwiejących ze starości dokach odnajdę tamten
świat i rytm nieodległej przecież murzyńskiej muzyki
Nie odwiedziłem Newport News ani Beverly Hills
ani Stanów Zjednoczonych*

*w licznych przeprowadzkach gdzieś zginęło zdjęcie Elli
Jest rok 2017 klif na brzegu Bałtyku pośród sosnowych drzew na parkingu
w starym samochodzie siedzi siwy mężczyzna
słucha śpiewającej Elli Fitzgerald
i jak mały chłopiec oddaje się ciągle wszechobecnym w nim marzeniom*

Wrocławski też pisze całym sobą, dlatego jego wiersze, każdy z nich, są jakoś totalne, pełne, całościowe. Gdyby nie pisał całym sobą, gdyby nie pisał „bebeczami” – przepraszam za to określenie, ale ono jest w tym miejscu uczciwie, niezbędne nawet – też zapewne dostalibyśmy dobre wiersze, ale bardziej ukierunkowane w swoim przekazie, powiedziałbym – bardziej zindywidualizowane, nie totalizujące sytuacji autora i odbiorcy.

Być może ta łatwość czytelniczego odbioru poezji Bohdana Wrocławskiego bierze się z pominięcia tej – zawsze kuszącej – chęci przypodobania się publiczności poprzez odróżnienie, własny język, własne przesłanie, w których poszukiwaniu brniemy czasami zbyt daleko zapominając o tym, co wiedział już Heraklit a przypomniał Wittgenstein: język już u swych źródeł jest społeczny, wspólny, nie jest prywatny. Prywatny język nie istnieje, co dla poetów bywa kłopotliwe o tyle, że chcemy, co normalne, wyróżnić się własnym myśleniem, własnym głosem, własnym idiomem poetyckim, w końcu to my piszemy swoje wiersze a nie ktoś inny. I to normalne, ale stanowi jedynie zewnętrzne poetyckiego przekazu. Nie warto na nim się skupiać szukając poetyckich geizerów i wodotrysków. Warto robić z tego inny użytek – tak jak czyni to Wrocławski. Jego wiersze pisane są z poziomu pewnej podskórnej, cielesnej wręcz głębi naszego życia, są pisane z tego poziomu, który jest gatunkowo nam wspólny. I stąd ta łatwość dotarcia do czytelnika ze swoim przekazem, którą widzę – tak Cię czytam, Bohdanie – u Wrocławskiego. Jeżeli jestem na poziomie wspólnoty, także językowej (bo nie ma prywatnego języka i „prywatnych” ludzi, co określił już Aristoteles, definiując nas jako istoty społeczne właśnie), to pewien wspólnotowy sposób porozumiewania się, mówienia do siebie i podobieństwo odczuwania, odbierania świata, mamy jakoś zagwarantowany, zabezpieczony. I to, moim zdaniem, w sposób naturalny wykorzystuje Wrocławski. Zwróćmy choćby uwagę na to, jak swobodnie w jednym wierszu pojawia się u niego, bezkolizyjnie obok siebie funkcjonując, kilka osobowych sposobów narracji: myślę tu o pisaniu, prowadzeniu wiersza z poziomu „my”, ale i – w tym samym wierszu – z poziomu „ty” czy z poziomu autorskiego „ja”. Widać to choćby w wierszu:

Urodzony w nocy

*Prawdopodobnie ktoś kto urodził się w środku nocy
w momencie w którym wiatr przyciska oddech do ziemi
a stada średniowiecznych czarownic
opuszczają nas
zrozumie
nadszedł czas sztormu
najbardziej intymne sny cofają się w głąb lądu
śpimy w zdumieniu które charakteryzuje
niemowlęta z zaciśniętymi koło głowy piąstkami
nikt nie grzeszy grzech pierworodny
został zmazany lub zaginął tak
jak ginie echo wśród oszalałych
piasków pustynnych
powoli wymijamy się z naszymi pragnieniami
potrzebą biegania na bosaka po porannych trawach
osypanych rosą
chęcią trzymania kobiecych dłoni
przy swoich wargach
oddechem
starszym niż groty skalne na obrzeżach Pienin
w gruncie rzeczy
wiecznie budzi się w nas to
co jest najbardziej kruche
jakieś gesty na peryferiach cywilizacji
imperium rzymskiego odtłupane fragmenty ceramiki
na których nie zdążyliśmy zapisać własnego imienia
z nadzieją że odczytają je inni
klucze bocianów
w ciągłej wędrówce między kontynentami
cień nieuchwytnego natchnienia
które czasami odwiedza nas w dni świąteczne
ale przecież dostrzegamy to aż nazbyt wyraźnie
umierają wiersze
ich skrzydła trzepocą nerwowo
w poprzek naszej zadumy
i rozwieszanej w kącie pajęczyny
lub odwiedzają nas
pola bitew pełne rudych ruchów
w ciszy tak skondensowanej
że nikt nie może jej odczytać*

pragniemy powracać nawet wtedy
 kiedy zamarznię w nas
 wszystkie nie odczytane myśli
 milczysz zafascynowany swoją obecnością
 palce w głębinach odczytują ostrość wrzosów
 traw nadbrzeżnych
 pawich oczu na skrzydłach
 schnącego od wiatru motyla
 rdzy rozkładającej nasze wzruszenia
 trzeszczą poszycia dachów pęka więźba
 niczym bukiet rozlanego mleka
 stygnie niebo osypane spróchniałym drewnem
 w poprzek naszych ciał otwierają się autostrady
 w upalne poranki wysycha krwiobieg
 alfabet zbyt ciasny abyśmy mogli w nim
 zapisywać nasze zdumienia
 być może
 tymczasem spadł pierwszy wiosenny deszcz
 na krawędzi dachu starego domu usiadł anioł
 ruchem pełnym zniecierpliwienia
 poprawiał opadające pióra
 był garbaty
 coś szeptał zbyt jednak odległego
 od czasu w którym zablądził
 abyśmy stojący na poboczu jego westchnień
 mogli to odczytać i zrozumieć
 jego twarz rozkapryszonego dziecka
 nieskoordynowane ruchy skrzydeł
 krople uderzające w rynnę ich muzyka
 w środku gwarne miasta
 dotarły do mnie w tym czasie
 kiedy niebo spurpurowiało
 od wysiłku zachodzącego słońca
 zrozumiałem nigdy nie uda mi się odlecieć
 skrzydła nasączone wodą i niespełnieniem
 w czasie zamieci śnieżnej przemarzły
 strzępią się
 z nich kolorowe sny fantastyczne piaskowe wydmy
 zamki
 ołtarze
 składające się do wewnątrz rozgorączkowanego ciała
 szkwał oczyszczający maszty

z resztek żagli i naszej zadumy
 cóż można czcić bardziej od własnego pogaństwa
 i barbarzyństwa
 milkną w nas pałace Rzymu
 błagania gwałconych kobiet dym pożarów
 oczyszczający ulice z zarazy
 galerie pełne
 wyobraźni starych mistrzów
 cóż można czcić bardziej od własnej niechęci
 być może nic nie znaczące skrzywienie warg Hamleta
 kłus małych tatarskich koników
 dochodzący do naszych pragnień
 ze środka średniowiecza
 stosy palonych przyzwyczajęń
 cywilizacji osieroconej z naszej godności
 ciał niebieskich wypalonych przerażonych
 brakiem światła i tlenu
 wiecznie krążący wokół obojętności wszechświata
 jak my spadający ze szkolnych tablic
 w głąb własnej dorosłości
 wiecznie szukający miłości i spełnienia

Ale żeby nie było tak łatwo z tą łatwością, to powiedzmy od razu, że klasyczność Wrocławskiego, o której już wspomniałem, wynika także z tego, iż jest on poetą kultury i to kultury z czasu, gdy była ona – przy całym swoim zróżnicowaniu – czymś jednym: dzieliliśmy wtedy świat na świat kultury i świat barbarzyństwa (także tego „cywilizowanego” barbarzyństwa), prostactwa (nie mylić z prostotą). Wtedy jeszcze zdegenerowanych form życia, a więc i kultury nie nazywaliśmy pop-kulturą, bo kultura w naszym pokoleniu dopiero ledwie zaczynała się pauperyzować, u-pop-kulturować, dowcip zaczął przegrywać z rechotem, sznyt szarmanckości i kindersztuba zaczęły przegrywać z wulgarnością i chamstwem, także językowym. Wrocławski pisze swoje wiersze w starym dwubiegunowym paradygmacie: kultura – barbarzyństwo, dlatego jego wiersze są m o c n e, bywają p o t ę ż n e, bo stoi za nimi owa kultura i są w y c o f a n e, o d c h o d z ą c e, jakoś przegrane, bo przegrana jest kultura, z której wyrastają. Ale to już nie jest kłopot Wrocławskiego ani mój, chociaż tęsknotę i nostalgię za odchodzącym światem w nich widać aż nadto wyraźnie. Nie martwię się jednak, Bohdanie, pomny przesłania z „Lamparta” Tomasso di Lampedusy, gdy o jednym z bohaterów powiada się tak: „Myśl o śmierci rozpogadzała go zawsze, tak jak zawsze niepokoiła go śmierć innych ludzi, dlatego że ostatecznie jego śmierć będzie może przede wszystkim śmiercią całego świata.”

Świat poetycki „Wierszy wybranych” jest ubogacony o wiersze szczególnie mi bliskie, bo dedykowane poetyckim przyjaciołom Wrocławskiego, których miałem zaszczyt znać i ja. Wymieńmy kilka tytułów „Z praskich przedmieść odnotowani”, „Wracając do Kątów Rybackich”, „Łatanie żagli”, „Ktoś jeszcze łka”. Te wiersze też należą do kultury, kultury ludzkiej i poetyckiej wspólnoty dusz i serc, dłoni i spojrzenia, radości i żalu, dumy i lęku – które dzielimy ze sobą. Wiesz, Bohdanie, iż ta wyliczanka nie zastąpi tego, o czym myślę i o czym myślisz Ty, pisząc i wspominając Andrzeja, Krzysztofa, Jerzego...

Kultura, wszystkie do niej odniesienia, dzieją się w tej poezji w sposób naturalny, nie są tylko wtrącanymi błyskotkami, znamionującymi erudycję autora – pełnią one funkcję spoiwa intelektualno-emocjonalnego, którego się nie wyjaśnia, bo jest oczywiste jak oddychanie, słuchanie (muzyka), podanie dłoni. Kultura w wierszach Wrocławskiego jest jego intelektualnym DNA, dlatego dzieje się ona w nich w sposób bezkolizyjny, jakby mimochodem, niemal niezauważalnie, niejako przy okazji. Ten sposób operowania kulturą, jej elementami (obrazy, utwory muzyczne, sceny filmowe czy teatralne, literatura) pozwala na coś, czego w takim natężeniu i sposobie nie znajduję nigdzie indziej, pozwala mianowicie pocie przenieść ją na peryferie swego świata, peryferie dwojako rozumiane, raz – że na ów nadmorski skrawek ojczyzny z wyboru w Kątach Rybackich a dwa – że pozwala wyewoluować ją w prywatnym doświadczeniu, które zawsze jest jakoś peryferyjne wobec ogromu świata. Peryferiami i na peryferiach jako poetyckim topossem Wrocławski operuje znakomicie. Dlatego to, co u innych często jest nieprzekraczalne, dwudzielne, kultura i przyroda, tutaj stanowią jedno: spójny kosmos poetycki, kosmos w starym, pierwotnym a zapominanym często znaczeniu – porządku. W „Wierszach wybranych” Wrocławski porządkuje siebie, swój świat, spuściznę życiową i literacką, pamięć, uczucia (przywołane akapit wcześniej wiersze, poświęcone żonie i przyjaciołom). To porządna robota, Bohdanie, możesz być zadowolony. Ja jestem wielce.



Kąty Rybackie

Karl Grenzler

Kąty Rybackie

Bohdanowi Wrocławskiemu

to
przejsie graniczne
między światami
między epokami

tędy porusza się z
pewnością siebie
wytrawnego wędrowca

wsparty na kosturze
zapatrzony w morze
upewnia się
każdego dnia że
środek nieskończonego
jest wszędzie

budowniczy
słownych katedr i
przydrożnej kapliczki
wpatrzonej w niewidoczne
wysłuchany w ciszę

tuż za wodą
kopernikowskie zawirowania
świecą dniami
jaśniej nocami

na pokrytym gontem
dachu świątyni
przechodzenia pomiędzy
przysiadły
anioły stróż
śpiących gości

O Let Me Weep

zalew wiślany wypełniają

mieszające się wody
łzy rozpaczy
łzy nadziei
łzy radości

dno pokrywają
na przemian
sedymenty
przypuszczeń pewników
piasku i martwych roślin

nieopodal kończy się
wędrowka wód od
pierwszego krzyku narodzin do
bezdechu nieskończonej przestrzeni

Czersk

na początku

polana w środku borów
czerska struga
staw i młyn
przy berlińsko-
królewskim trakcie
na wzgórzu kościół

pokolenia gburów
leśnych ludzi
bartników drwali
twórców krajobrazu

na tablicach
bożego pola
ich nazwiska

ich twarze
odbijają się

w niezliczonych
lustrach
tego miasta

Miasteczko jesienią

spoglądam w
okno kamienicy
czyste zadbane ze
storczykami na parapecie
z widokiem wprost
na wejście do kościoła

jeszcze trzy dni temu
wyglądała z niego
jak zwykle od lat
starsza siwa pani

z opuszczonego okna
dobrze widać
jak w kondukcje
wyprowadzają z kościoła
starszą siwą panią

która codziennie
wyglądała z okna
kamienicy z widokiem
na wejście do kościoła
w miasteczku jesienią

Lustra

noc zapachniała koszmarami
nie masz już zielonych oczu
rozbiło się lustro marzeń
wspólny czas przeminął
muszę pozwolić sobie odejść

niemoc digitalnego
przytulenia

przecinkami pocałunków
przerywana rozmowa

umknęły wypełnione
szeptami noce

była moim błędem
miłość?

poznałem słowa
przeraźliwie ostateczne

dotarłem tu
skąd wszędzie jest
blisko nawet tam
daleko

w odnowionych murach
słysząc szepty starego
mieszkania
czasem światło odbija
się w lustrze
którego dawno już
nie ma

wychodzę z domu
a moje odbite w
lustrze ja podążyło
w drugą stronę ku

przeszłości
trochę na wskroś

to czego nie ma
ma się dobrze we
mnie spokojnie
podszeptuje melodię
nuci mlekiem pachnie
włosów dotyka
prowadzi ufnie do
innych luster

jedno w wielu
trzy w jednym
nieskończoność w
nieskończoności

Odfruwanie

twoja twarz
sepiowy kolor
przedwiosennego pola
zaprasza ptaki
dobrych wspomnień
chcę ją pocałować ale
twoje usta już nie moje
w białą niegdyś ścianę
wtapiały się motyle
naszych uniesień

obcy otworzył drzwi
podmuchał wiatr
zdmuchnął światło
świec na kominku

zaczęło się wielkie odfruwanie

Płaszcz

stary
zawsze modny
bez koloru
mówią że czarny
pod nim
ciepło
nigdy zimno
z ptasich skrzydeł szeptów
obejmuje czule
połaciami dobrej woli
wyprany wysycha
całkiem wyprasowany
pewny siebie lotem
deszczowych jaskółek
gotowy unieść
w każdej chwili
zapinany na guziki
czujnych zielonych oczu
zasuwany
jakubowymi drabinami
opasany horyzontem
lazurowego morza
wakacyjnych wspomnień
zbroja
dobrych myśli
i uczynków
z wieszaka oczekuje
nowych przygód
płaszcz kurtyna
w teatrze świata

stara kobieta w
płaszczu nocy
na ogniu czasu
miesza w kotle
pokrytym runami
gęsty wywar z
plusów i minusów

zer i jedynek
przyprawia szczyptą
błądzących fotonów
mamrocze zaklęcia w

języku który rozumiem
tylko czasami
jaką chimerą słowo
to się stanie



Benedykt Kroplewski

Karl Grenzler

Zdecydowanie jestem psem (fragmenty)

Dzisiaj

Zdecydowanie jestem psem. Tak myślę i byłabym niepokieszona, gdyby okazało się, że jest inaczej. Bardzo różnię się od dwunożnych nie tylko wyglądem, ale również postrzeganiem rzeczywistości, sposobem jej analizowania, a przede wszystkim zdolnością jej przekształcania. To, co na przykład dla mnie jest rozpadem materii, oni nazywają czasem. Przeliczają go i mierzą na wszystkie możliwe sposoby, we wszystkich możliwych zastosowaniach, od historii poczynając, poprzez astronomię i astrofizykę, na fizyce atomowej, a ściśle mikrofizyce kończąc. Posługują się przy tym skalą od parseka do milisekundy.

Dwunożni nazywają mnie Czika. Są to: przeważnie moja służba, zwana panią i panem, a osobowo Renatą i Staszkiem, również przedstawiciele zaprzyjaźnionych z nimi stad i cała reszta innych, określanych ogólnie mianem Onych Bezmaciów.

Dzisiaj

Mateusz po ukończeniu siedmiu i pół miesiąca zaczął samodzielnie stać, zaraz po tym wyrosły mu pierwsze cztery ząbki, którymi cierpliwie wyrąbał w litym drewnie swojego łóżeczka centymetrowej głębokości wgłębienie. Pewnie ubzdurzał sobie, że jest bobrem.

Karol zastanawia się intensywnie nad tym, jak wmówić mu, że jest królikiem. Gdyby to się udało, mógłby

wpuścić go do ogródka i mieć z tego podwójny pożytek. Malec najadłby się tanio i do syta, a on nie musiałby kosić trawy.

Mateusz ma już teraz zadatki na prawdziwego mężczyznę, nawet w pieluchy sika na stojąco.

Dzisiaj

Georg Friedrich Händel jest od dłuższego czasu obecny prawie we wszystkich mediach. Prawie, ponieważ wykluczyć należy tę większość, jaką produkuje się dla masy bezmózgich odbiorców. Dwieście pięćdziesiąt lat minęło od śmierci kompozytora, który większą część swojego życia spędził w Anglii. Dzięki ogłoszeniu tego roku rokiem Händla, można nasłuchać się do woli nawet jego mniej znanych kompozycji.

Tylko wytrawni znawcy klasyki wiedzieli, że skomponował więcej utworów, niż muzyczny geniusz wszech czasów, **Johann Sebastian Bach**. Obaj kompozytorzy nigdy nie spotkali się osobiście. Kiedy Bach dowiedział się, że szanowany przez niego kolega przebywa w swoim rodzinnym mieście Halle, natychmiast wysłał mu zaproszenie do Lipska. Niestety, Händel cały czas pobytu w Niemczech poświęcił swojej umierającej matce, kobiecie, którą kochał najbardziej.

Oprócz wspaniałej i wiecznie aktualnej muzyki połączyła ich taka sama

przyczyna śmierci. Obaj cierpieli na zaciemę. Oddaleni od siebie ponad tysiąc kilometrów, poddali się operacji temu samemu, bardzo wówczas modnemu chirurgowi Taylorowi. Po dokonanej operacji nastąpiło zakażenie, które doprowadziło do zgonu. Po latach okazało się, iż Taylor był po prostu szarlatanem.

Wydaje mi się, że u tych, do których dotarła ta historia, straci na znaczeniu powiedzenie, które często wypowiadają niedowiarkowie, iż „chłop w szpitalu na oko umarł”...

Dzisiaj

Listopadowy dzień z zapachem opadających liści. W dzień zaduszny pytam siebie, czy przygotowana jestem na dzień ostateczny, jakiego rodzaju życzyłabym sobie pochówku. Ciąg myśli przerwało mi często nasuwające się pytanie: Dlaczego w wielu miastach nieopodal zakładów pogrzebowych dla zwierząt znajdują się chińskie restauracje? Czyżby właściciele tych zakładów kasowali podwójnie? Poza tym jak mam interpretować starochińskie przysłowie, które powiada, że „Pies, który głośno szczeka, jest niedogotowany”?

Dzisiaj

Dowiedziałam się, jak łatwo jest znaleźć szczęście i jak szybko można je znowu stracić. Dla tego doświadczenia moje medium w osobie Karola wybrało się za siódmą górę i siódmą rzekę do swoich ukochanych Borów Tucholskich. Pogoda dopisała i można było wyruszyć do lasu na grzyby. Karol bardzo lubi godzinami spacerować po lesie o różnych porach roku, najbardziej jednak jesienią, w słoneczny dzień, kiedy las spowity jest

kolorami kończącego się lata od zieleni, poprzez odcienie brązu i żółci z przeświecającą bielą babiego lata.

Na rozstaju leśnych dróg Karol, Jurek zwany Wujkiem oraz UdwiłkUmło zostawili samochód, do koszyków włożyli scyzoryki i po butelce piwa. Umówili się za pięć godzin w tym samym miejscu. Każdy ruszył w swoją stronę. Kiedy spotkali się znowu, porównali zawartość koszyków i wybrali „króla” grzybobrania, którym znowu został Jurek zwany Wujkiem. Może to dzięki przebytej operacji zaćmy, dzięki której jakoś widzenia poprawiła mu się tak bardzo, iż widzi więcej, niż powinien... A może jest to po prostu szczęście. Jurek zaprotestował i na potwierdzenie swoich słów opowiedział, co przydarzyło mu się przed niespełna dwoma godzinami w środku lasu. Otóż tak z niczego, może z zarośli wyłoniła się postawna ładna kobieta, która twarz miała bardzo niebieską. Po czym zapytała: „Czego szukasz?” Jurek odpowiedział zgodnie z prawdą: „Szczęścia i grzybów”. Ona na to: „Szczęście już znalazłeś”. Rzuciła okiem do koszyka i zażądała: „Daj piwo”. Jurek znowu zgodnie z prawdą stwierdził: „Już wypilem” i usłyszał: „To szukaj grzybów”... Rozejrzał się dookoła, ale kobieta zniknęła bez śladu.

Tą drogą dowiedziałam się więc, że szczęście można znaleźć łatwo, ale żeby go nie stracić, trzeba mieć zawsze w zanadrzu piwo.

Dzisiaj

CendrykBrenzler zaśpiewał na ślubie córki swojego przyjaciela Mariana S. Sowy „Ave Maria” Franza Schuberta. Stał samotnie na galerii organów. Zaśpiewał tak pięknie, iż bez mała wszyscy

mieli łzy w oczach. Po wykonaniu utworu oparł się rękoma na poręczy chóru. Nagle poczuł delikatny dotyk, usłyszał ciche: dziękuję. Obejrzał się i zauważył młodą zakonnicę, organistkę. Ona ciągnęła dalej: To była najpiękniejsza interpretacja tego utworu ze wszystkich, jakie słyszałam. Następnie rzuciła okiem na oparte dłonie i zawiedzionym głosem powiedziała: Jaka szkoda, że jest pan żonaty!

Dzisiaj

Na ekranach kin pojawił się film o życiu i twórczości cygańskiej poetki, Papuszy. Przy okazji przypomniał mi się nieporuszony w tym spektaklu epizod z jej życia, opowiedziany Karolowi przez nestora zielonogórskich literatów, Janusza Koniusza. Pewnego razu głodująca poetka złapała wałęsającą się w okolicy kure, z której ugotowała posiłek dla całej rodziny. Hodowca stadka kur, sąsiad Papuszy, podał ją do sądu pod zarzutem kradzieży drobiu. Została skazana na karę grzywny i kilka dni aresztu. Cygan-ka (świadomie stosuję tę nazwę, ponieważ Sinti i Roma to pojęcia naukowe, a ja nie mam uprzedzeń) nie pogodziła się z wyrokiem, ba, nie czuła się winna, nie popełniła przecież żadnego przestępstwa, wszak kura jako stworzenie Boże i nie może należeć do nikogo. Miejscowi pisarze, a także językoznawca, orientalista i badacz kultury indoeuropejskiej, Jerzy Ficowski wniesli pozew o złagodzenie wyroku. Sąd nie przychylił się do tego wniosku. Nieświadomość, lub nieznamość prawa nie zwalnia nikogo od odpowiedzialności karnej. Karę grzywny pokryli literaci, ale kary aresztu nie dało się w żaden sposób uniknąć. Zamknięcie

przyzwyczajonego do bezkresów Cygana jest niemal równoznaczne z karą śmierci. Ludy koczownicze mają niezwykle genetycznie uwarunkowaną tendencję do klaustrofobii. Świadomi stanu ducha Papuszy pisarze apelowali, gdzie się dało. Kary nie zmieniono, ale wyrozumiały sędzia zgodził się na kompromis. Oczywiście nieoficjalnie. Drzwi do celi mogły przez cały czas pozostać otwarte, poza tym, mógł jej ktoś towarzyszyć. W Oddziale Zielonogórskim Związku Literatów Polskich sporządzono listę zgłaszających się dobrowolnie pisarzy, którzy zdecydowali się na moralne wsparcie poetki. Najdłuższe dyżury przejmowali młodszy stażem literaci, do których należał wówczas Janusz Koniusz. Dzięki tej solidarnościowej akcji Papusza odbyła karę aresztu bez grożącej jej tragedii. Niestety, tematów poruszanych podczas rozmów w celi nikt nie przekazał dalej.

Wracając do poprawności politycznej. Placек cygański nazwano po-prawnie placikiem bez stałego miejsca zamieszkania.

Dzisiaj

Wujek, a do tego Jurek skarżył się, że przez pół wieku strzyżony był dla oszczędności przez żonę i do tego krawieckimi nożycami, ale jego ślubna Ulsia potrafi raz w miesiącu wydać sześćdziesiąt złotych na strzyżenie jej ukochanego psa.

Dzisiaj

Młoda malarka Jemanda wyszła za mąż za czterdzieści lat starszego od niej znanego pisarza Jądrusia. Była jeszcze uczennicą liceum, kiedy po przeczytaniu jednej z powieści zakochała się

w jej autorze. Różnica wieku nie stanowiła dla niej problemu, ważniejsze były geny jej przyszłych dzieci, dwóch chłopców: Jadrusia juniora i Rumulusia. Dość należy, że jest niezwykle piękną, wysoką i dobrze ukształtowaną kobietą. Po kilku latach wspólnego pożycia nauczyła się radzić sobie z opanowywaniem technicznych problemów dnia codziennego, o których jej humanistycznie myślący mąż nie miał żadnego pojęcia. Pół biedy, kiedy musiała zmienić przepaloną żarówkę. Gorzej było z awarią pralki, czy lodówki. W pierwszym przypadku radziła sobie piorąc w wannie przy pomocy znalezionej w babcinym łamusię tarcie. W drugim, wykopała dół w ziemi na trawniku przed domem, po czym włożyła go folią i gazetami i włożyła do niego duży garnek z wodą. Po umieszczeniu w nim masła i innych szczelnie zamkniętych środków spożywczych, przykrywała go pokrywką, folią i warstwą darniny. Ot i problem został rozwiązany. Tylko sąsiedzi spoglądali dziwnie, starając się unikać jakichkolwiek z nimi kontaktów.

Renta męża po opłaceniu czynszu nie wystarczała na utrzymanie rodziny z dwójką dzieci. Jemanda po kilku próbach sprzedaży obrazów olejnych i grafik doszła do wniosku, iż tą drogą nie uzupełni rodzinnej kasy. Z ciężkim więc sercem porzuciła malarstwo na jakiś, w domyśle, przejściowy czas. Znalazła pracę w szpitalu, połączoną z medycznym doksztalcaniem. Pół tygodnia uczestniczyła w kursach, następne pół, odbywała praktyki. I tak przechodziła z oddziału na oddział, aż trafiła do prosektorium! Po wstępnych trudnościach takich jak: przyjmowanie i zatrzymywanie w sobie pokarmu, szok zapachowy, opanowanie

uczuć wstrętu i strachu, doszła do wniosku, że na tym oddziale można najlepiej zarobić.

Dzięki jej wykształceniu, robiła nieboszczykom najpiękniejsze makijaże i ubierała ich najbardziej elegancko. Inne, konieczne na tym oddziale czynności sprawiała jej mniej przyjemności, ale po czasie wykonywała swoją pracę jak każdą inną. Podczas jednej z rozmów, przedstawiła Karolowi wszystkie pozytywne aspekty jej nowego zajęcia następująco: poza wysokim wynagrodzeniem, może zaoszczędzić przynosząc mężowi z pracy pasującą sztuczną szczękę, lub po zgonie, wypchać go trocinami, posadzić przed maszyną do pisania, żeby dzieci myślały, iż tatuś nadal pracuje...

Dzisiaj

Znowu spotkania literackie w pięknym Poznaniu z niezliczonymi zabytkami architektury wszystkich wieków i stylów. Widoczne zewsząd wieże szczytą się jedne spadzistymi dachami, inne barokowymi kopułami. Krzysiu, tutejszy niewidomy poeta, muzyk, właściwie bard, co roku słyszy, jaką szkodą jest, że nie może widzieć swojej pięknej żony. Odpowiada na to, iż ogląda ją tak, jak inni chcieliby zobaczyć. Karola zafascynowała czytana przez niego strona z wierszem. Biało na białym!!!

Krzysiu przyznał się, że kiedyś, towarzysząc żonie w kuchni przez pomyłkę dotknął tarki. Przejechał po niej opuszkami palców, po czym stwierdził, iż takiego głupiego tekstu w życiu nie czytał...

Dzisiaj

Na spotkaniu literackim, na którym Karol czytał fragmenty książki „Podobno jestem psem“, któryś z uczestników spotkania zadał pytanie: „Od kiedy ma pan wątpliwości, dotyczące tożsamości osobowościowej?“. Odpowiedź brzmiała: „Od szczeniaka“...

Dzisiaj

Zerszula nie stosując żadnych diet do późnego wieku zachowała szczupłą kobiecą figurę, z której zawsze była dumna. Lubiła lepkie spojrzenia przechodzących obok mężczyzn, a najbardziej bawiły ją próby zaglądania jej w dekolt. Te zuchwałe, jak i te niby od niechcenia. Zawsze jednak zachowywała dystans, nie miała w sobie nic z kokietki.

Nie specjalnie przepadała za towarzystwem, należy podkreślić, iż „ludzkim“. Najważniejszymi stworzeniami Bożymi były zwierzęta, a psy przede wszystkim. Znosiła jakoś najbliższą rodzinę. Po śmierci męża Udwilka otoczona psami, Kubą i Figą dbała o to, żeby w jej wypielegnowanym ogrodzie przez cały dzień słyszeć było śpiew ptaków. Czas swój wypełniała oglądaniem seriali telewizyjnych i uprzyjemniała to jedzeniem. Słodczyce były ważną pozycją w jej jadłospisie, tak jak orzechy, jednak zdecydowanie dominowało mięso i jego przetwory. To ostatnie nie mogło być chude, ponieważ nośnikami smaku są kości i tłuszcz. Szynka bez białej otoczki nie mogła znaleźć się na jej stole.

Podczas pobytów u mamy Karol podejmował się różnych obowiązków, łącznie z gotowaniem. Codziennie było coś pieczone, smażone, albo i jedno i drugie. Zapachy z kuchni rozchodziły

się po domu, ogródka i dalszej okolicy. Nie tylko psom ślinka z pysków kapłała. Wszyscy byli zadowoleni, ponieważ jak mama, tak i syn mieli te same upodobania kulinarne, ten sam smak. Często na kolację serwował gotowaną lub pieczoną golonkę. Któregoś popołudnia Zerszula przyglądając się wypakowaniu zakupów zapytała: Kupiłeś tylko dwie golonki? A jak nam nie wystarczy? Coś się stało, że musimy tak oszczędzać? Karol uspokoił ją, iż nic takiego nie nastąpiło i nie ma prawa nastąpić. Zaproponował, że teraz ugotuje i upiecze te golonki, które są, a jak będzie za mało, dokupi. Na szczęście wystarczyło, nawet z pomocą Kuby i Figi.

Pewnego ranka Zerszula zasiadła do śniadania z okularami na czubku głowy i po przywitaniu stwierdziła, że musi zmienić okulary, ponieważ przez nie dobrze nie widzi. Do piątej rano musiała czytać książkę bez nich. Czy rzeczywiście zachodziła potrzeba wizyty u okulisty?

Będąc w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat wybrała się z Kasiką, żoną jej siostrzeńca, na wędrowną podróż po sklepach. Wracając z zakupami do domu potknęła się na schodach wejściowych, odwróciła się i tak skomentowała: Kasik, co to będzie na starość, skoro już teraz się przewracam?

Dzisiaj

Per Lucy ze stołecznego miasta Krakowa twierdzi, że jest rzadkim przykładem teściowej, której się nie powiodło. Okazało się, iż jej synowa jest bardziej wredna niż ona sama. Są sobie tak bliskie, jakby piły mleko od tej samej krowy.

Jest jednak wspaniałą matką syna, utalentowanego i cenionego sportowca. W trosce o jak najdłuższą trwającą karierę bardzo dorosłego już dziecka sama cierpi na kolana skoczka i łokieć tenisisty. W obawie o skutki potknięć podczas doganiania tramwaju, zaopatrzyła się w nałokietniki na kolana i nakolanniki na łokiecie.

Zerszula Umło była nie mniej troskliwą matką. Podczas spotkań rodzinnych bywało, że jej synowie w ferworze rozmów upijali się dosyć skutecznie. Następnego dnia wstawali jak nowonarodzeni, natomiast ich niepijąca alkoholu matka budziła się z okrutnym bólem głowy, przekrwionymi oczami i zaczerwienionym nosem. Morał zaś taki z tej historii, iż mamusi zawsze i wszędzie bardzo kochają swoich synków.

Syn Per Lucy pokazał swojemu lekarzowi zdjęcia rentgenowskie stawów mamy. Ten zaś zapytał, czy mamusia raczy jeszcze chodzić. Kiedy dowiedział się, iż rzeczona osoba w biegu do dojeżdżającego na przystanek tramwaju próbuje rozwinąć skrzydła, stwierdził, że w tym przypadku należy albo usunąć skrzydła, albo zamontować kółka.

Ostatnio u Per Lucy szalamąci prawdopodobnie sam Tencokusi. Dzień przed wyjazdem na urlop upadła tak niefortunnie, iż niewiele brakowało, a oprócz ortopedy potrzebowałaby stomatologa. Na dworcu, tuż przed odjazdem pociągu okazało się, że mylnie pokierowana tablicami informacyjnymi stoi na niewłaściwym peronie. Cała poobijana i obolała ruszyła schodami na właściwy peron. Pendolino dyszał już i syczał, chociaż żar nie buchał mu z brzucha, a z nieba wysokiego. No i... stało się, na

przedostatnim schodzie postawiła stopę tak nieszczęśliwie, że skrzyknęła ją ekstremalnie. Już w Borach Tucholskich, po dziesięciu godzinach oczekiwania na siorze w Chojnicach mogła zaprezentować swoje sponiewierane ciało chirurgowi. Ten po obejrzeniu zdjęć rentgenowskich i obdukcji osoby, ni to stwierdził, ni to rzucił przed siebie pod nosem: Wygląda pani na bardzo poobijaną. Per Lucy uśmiechnęła się na to i bąknęła, iż zupa była niedosolona. Wyjechała z gabinetu na wózek z nogą bardzo gustownie usztywnioną gipsem.

Z urlopu nici. Następnego dnia wyruszyła z powrotem do Krakowa bez bagażu urlopowych wrażeń... A raczej z bagażem niemiłych przeżyć. Bóle Tucholskie stały się nowym stałym pojęciem w jej jakże bogatym słowniku.

Całe nieszczęście skwitowała jej przyjaciółka, ograniczając się do jednego stwierdzenia: Dobrze Ci tak! Chciałaś się cichcem wymknąć w Bory Tucholskie beze mnie?

Jej koszmarny przewodnik usłyszał zdanie przyjaciółki Per Lucy i chcąc być równie dowcipny doszedł do wniosku, że może lepiej, iż stało się tak, a nie inaczej, bo jaki byłby „obciach”, gdyby Per Lucy wywinęła takiego „orła” na środku kościoła podczas zwiedzania Czerska.

Dzisiaj

Karol przekonał pewną uroczą ekspedientkę w sklepie sprzętu gospodarstwa domowego, iż przez wszystkie czasy ludzkiej historii z pewnością więcej mężczyzn zginęło od patelni niż od miecza. Po dwóch dniach zabrakło patelni we wszystkich sklepach w Czersku, centrum Borów Tucholskich.

Dzisiaj

Pewna prawidłowość dwunożnych bardzo wpływa na jakość codziennej rzeczywistości. Co trzecie pokolenie wychowane w dobrobycie ogarnia hedonizm. Zasady swoich rodziców, bliższych, lub dalszych przodków młodzi dorastający zaczynają uważać za przestarzałe. Zrywają ze starym porządkiem. Sięgają po nowe! I... znajdują je po lewej stronie mocy. Otwierają starą puszkę rewolucji od francuskiej konserwy, do dziewiętnastowiecznego komunizmu i socjalizmu, ze wszystkimi ich aberracjami. Przy okazji zapominając o zawsze aktualnej zasadzie, która mówi o rewolucjach, które pożerają swoje dzieci. Nieodparta chęć zmian dotyczy wszystkich dyscyplin i zaułków...

Malują sobie na koszulkach wizerunki znanych terrorystów, między innymi takich jak: Lenin, Stalin, Mao, „Che” Guevara, Arafat... Bezwzględnie domagają się likwidacji z życia publicznego religii, tradycyjnych wartości i ogólnie obowiązujących norm etycznych. Niektórzy politycy tego nurtu kładą nacisk na zniesienie historii jako przedmiotu nauczania w szkole, albo studiów akademickich. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że niektórzy mądrzejsi pójdą po rozum do głowy, wyciągną wnioski z przeszłości i zaczną uczyć się na błędach.

W tych systemach profitują przede wszystkim głupi i wierni idei, ale również inteligentni cynicy, cienie – lalkarze. Kto nie jest „poprawny” politycznie, jest szykanowany i w zależności od epoki lub położenia geograficznego więziony i nierzadko zabijany w imię dobra społecznego. Terror demokracji...

Kiedy tylko okaże się, iż już nie ma żadnej prawdy oprócz naszej, że inne ideologie są wrogię postępowemu myśleniu, u każdego normalnie myślącego, nie obciążonego psychicznie człowieka powinny zapalić się wszystkie czerwone światełka i zadzwonić wszystkie dzwonki, jeżeli nie jest za późno, nie wyłączyli prądu i nie przetopili dzwonków.

Człowiek staje się przedmiotem całkowicie podporządkowanym idei nadrzędnej w systemie, w którym on sam jest najwyższą wartością. Zredukowany do roli trybiku w maszynie systemu, posłusznego wyborcy większością głosów, niewymagającego konsumenta skromnych dóbr doczesnych i ograniczonych środków spożywczych, daje mandat destrukcyjnej intelektualnie i moralnie władzy.

W każdej epoce, w każdym zakątku świata, bez względu na naród i język, gdzie do władzy dochodziły ideologie lewicowe, codzienność wyglądała podobnie.

Karol w podróży do jednego z takich państw przekroczył granicę w nocy. Dzieci jeszcze spały w swoich fotelikach na tylnym siedzeniu. Była zima, nad ranem śnieg zaczął topnieć, krajobraz spowity był mgłą, miasta wyglądały ponuro. Szare, poobijane z tynku domy, zabłoczone chodniki i ulice, którymi poruszały się brudne po dachy kopące auta i autobusy komunikacji miejskiej oraz szaro ubrani bladzi zmęczeni przechodnie. Twarze ludzi nie wyrażały emocji, wskazywały na przechodzenie długiej chronicznej choroby. Jak okiem sięgnąć hałdy brudnego śniegu.

Dzieci zaczęły się budzić, przecierać zaspane oczęta, nagle zastygły w połowie ruchu, przerażone zapytały

tatę gdzie jesteśmy? Karol zaczął również wodzić wzrokiem po okolicy, po czym pełnym powagi głosem oznajmił: Jesteśmy w czarno-białym filmie.

Dzisiaj

Starość jest podarowaną wartością dodaną, żadnym przekleństwem.

Dzisiaj

We wszystkich krajach rządzonych według idei lewicowych filarem władzy oprócz niezwykle sprawnych służb bezpieczeństwa publicznego, wściekle i bezmyślnie broniącej poprawności politycznej cenzury, była między innymi propaganda, a na jej usługach statystyka. Na podstawie jej danych tak zwane „demoludy” przewyższały postępem wszystkie kraje „innych porządków” systemowych. Dostatek ludu był najwyższym dobrem partii rządzącej i motorem ich posunięć.

Ogromna większość społeczeństwa odżywiała się kapustą, małą garstką mięsem, ale statystyczne wszyscy jedli gołąbki.

Dzisiaj

Jesiennym wieczorem Karol wybrał się na cmentarz towarzyszyć Natce w porządkowaniu rodzinnych grobów. Zastał ich zachód słońca, mrok spowił całą okolicę. Nagle zauważyli chaotycznie i w pośpiechu od grobu do grobu błędzącą postać. Od czasu do czasu pojawiała się światełko latarki lub telefonu, którym oświeślała kolejne groby. Natka, która jest osobą z natury otwartą na bliźniego, pośpieszyła z pomocą błędzącemu i zapytała: „Jak się pan nazywa? Może będę umiała wskazać pana miejsce...”.

Karol zaniemówił, a nieznany zniknął gdzieś w mglistych ciemnościach nocy.

Dzisiaj

W pewnym kraju co weekend obchodzi się dni klekota. Najlepiej obserwuje się to zjawisko w dowolnym bloku mieszkalnym. Około południa zaczyna rozchodzić się gdzieś w okolicy pierwszego piętra po lewej stronie charakterystyczne klap klapklapklapklapklap... Chwilę później klepanie rozlega się dwa piętra wyżej, do tego włączają się następni w poziomie, pionie i na ukos. Kiedy jedni kończą, zaczynają inni. I tak co najmniej godzinę trwa ten kakaofoniczny koncert na tłuczki, deski, sztuki mięsa, wypełniając całą wewnętrzną przestrzeń domu. Klap klapklapklapklapklapklap... I tak czczony jest co tydzień święty dzień potrawy narodowej – klekota!!! Klap klapklapklapklapklapklap...

Dzisiaj

Najbardziej szanowaną instytucją społeczną w Borach Tucholskich ubiegłego stulecia, a nawet od zamierzchłych czasów, była po prostu babcia. Ta najukochańsza opiekunka, pocieszycielka, karmicielka, kucharka nad kucharkami z niczego, wychowawczyni tego najgłębszego, co pozostanie na zawsze, nauczycielka, ale też katechetka. Babcia, która uczyła modlitw w dwóch językach, prowadziła do kościoła, celebrowała święta, śpiewała zapomniane pieśni, opowiadała bajki, wyjaśniała tajemnice, nie tylko wiary. A nade wszystko kochała bezwarunkowo. Babcia Helena była właśnie taką babcią...

Najważniejszym świętem kościelnym jest Wielkanoc, czyli Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa –

Odkupiciela. Gwoli chronologii i praw związku przyczynowo-skutkowego równie ważnymi są święta Bożego Narodzenia. Przede wszystkim dla dzieci. Bo choinka, Gwiazdor, albo Mikołaj, Aniołek – lub śląskie Dzieciątko. Dla dorosłych uroczysta msza o północy, czyli pasterka.

Wieczera wigilijna składa się z różnych postnych potraw, dla wielu koniecznych z dwunastu, ilu apostołów. W tej części świata przede wszystkim z opłatka, którym dzieli się wszyscy obecni z nieobecnymi, barszczu z uszkami, zupy grzybowej, rybnej, sałatki warzywnej, smażonego karpia, pstrąga w zalewie, szuby, ciasta i kompotu z suszonych śliwek i innych bakalii.

Smażyło się dzwonka z karpia, a z łbów i pozostałych resztek także innych ryb, gotowało się zupę rybną.

Każde święto wiąże się z właściwą sobie ofiarą. Według babci Heleny ofiarą święta Bożego Narodzenia był karp. Bowiem w jego głowie ukryta jest późniejsza męka Pańska. Z rozgotowanej głowy karpia na oczach zdumionych dzieci wydobywała i rozkładała na talerzu symbole tej męki: kościane miniaturki krzyża, młotka i trzech gwoździ.

Jakże Cię brak dla naszych dzieci, babciu Heleno...

Dzisiaj

Każdy zawód kojarzony jest z atrybutami, które tylko i wyłącznie należą do jego przedstawicieli. Przy awarii lub montażu instalacji sanitarnych, korzystającemu z serwisu zawsze zostanie zaprezentowany biust hydraulika. Zawsze, to znaczy bez względu na wiek

i budowę ciała pracownika. Czy wszyscy hydraulicy dają sobie szyc spodnie na miarę?

Dzisiaj

Prawie pięć lat po katastrofalnej nawałnicy Bory Tucholskie raz jeszcze nawiedziły potężne wichury. W nocy w promieniu dziesiątków kilometrów w domach na dwa dni zabrakło prądu. Mieszkający na obrzeżach nawałnicy nie zdawali sobie sprawy z siły żywiołu, który szalał w niedalekiej odległości. Oślepiły telewizory, ogłuchły radia, nie było światła, żeby cokolwiek poczytać lub zająć się jakimiś innymi czynnościami. Większości nie pozostało nic innego, jak wcześniej pójść do łóżka. Dotyczyło to również znajomej pary małżeńskiej. Zarówno żona, jak i mąż namiętnie rozwiązywali krzyżówki, uprawiali sudoku i inne łamigłówki. Już w łóżku ona szepnęła „<Włóż> od tyłu“, on po krótkim namyśle krzyknął „Żółw“...

Tymczasem walcząc z wichurą nocny autobus przemierzał ponad tysiąc kilometrów z pasażerem Mateuszem, zmierzającym w Bory Tucholskie spędzić ferie zimowe razem z tatą.

Dzisiaj

Pewna pani w wieku nieco młodszym od średniego, stała niezdecydowana w drogerii przed regałem z farbami do włosów. Nic dziwnego, ponieważ paleta dostępnych barw była oszałamiająca. Sprzedawczyni Natka zaofiarowała jej pomoc, pytając o ewentualne preferencje kolorystyczne. Pani rozejrzała się błędnym okiem po sklepie, wskazała Karola i wybąknęła: „Takie srebro jak u tego

pana.” Ten z uśmiechem powiedział jej, iż takim kolorem się nie maluje, na niego trzeba sobie zasłużyć.

Dzisiaj

System komunistyczny jest filozofią, nauką, wiarą, stylem życia i najbardziej kompleksową doktryną państwową. Zbawienie dla całego - bez reszty - świata! Wpłynął twórczo nawet na ewolucję. W krajach opanowanych przez ten system pojawiły się nowe specja, między innymi człowiek radziecki i kurczak na kartki. Ten ostatni osiągał wielkość gołębia i miał zapach zdechłej mowy. Zgodnie z regułą, że się jest tym, czym się odżywia, a z pasz dostępna była tylko mączka rybna. Pomimo swoich mankamentów kurczak na kartki okazał się po latach lepszym wytworem ewolucji, niż chorobliwa patologia, jaką okazał się człowiek radziecki. Niestety, nie wymarł całkowicie, ponieważ jego geny odziedziczyli członkowie niektórych kast na całym świecie za zachód od Moskwy, szczególnie wokół niej samej i nie mniej dookoła Berlina i Paryża.

Na marginesie dodam, iż zdobywało się takiego kurczaka, pokonując maratońskie kolejki. Były różne; przewidywalne, czyli linearne i nieprzewidywalne, czyli zakręcone jak świńskie ogony. W tych ostatnich stało się znacznie dłużej.

Dzisiaj

Śniła mi się mongoidalna mordą, łypiąca spośród łba świńskimi oczkami. I w nocy łupnęło!!!

Teraz zrozumiałam babcię Helenę, która wspominając wojnę, mówiła

o modlących się kobietach, które prosiły Boga, żeby Niemcy się obronili, żeby Armia Czerwona nie zdobyła miasta... Niestety, stało się inaczej. Nastąpił czas niewoli i trwał przez następne czterdzieści i cztery lata.

Im dłużej trwała obrona przed atakami wszechpotężnej siły zła, tym bardziej opadały maski i odsłaniały się prawdziwe, paskudne, zachłanne, zakłamanie gęby zachodnioeuropejskiego lewactwa.

Dzisiaj

Niemcy
z radością
bez mała jednomyślnie
wpadli do czerwonego wora
i zostali
czarnym ludem Europy.



Benedykt Krolewski

Wiktor Mazurkiewicz

Najładniejsze są drzewa gdy kwitną

zwłaszcza stare

kora pomarszczona
oddech nieco słabszy
ale lśnią
kolorami spokoju
i mądrości

Introdukcja wygasa

jeszcze powtórki
znane motywy
wreszcie śmiałe frazy
trafiają w sedno

scena kameralna nabiera klimatu

nie ma już tremy
wzmaga się wrażliwość
nuty środka coraz bliżej głębi

za moment skończy się improwizacja

oboje wiedzą
główny koncert
zabrzmi pod batutą
kompozytora

Przystanek Łęczycka-Warmińska

czternasty stycznia
i krztyna wiosennej aury

wysiadła
drobną postać osłania liryczny płaszcz
w kolorze harmonii i wyciszenia

krótka fryzura blond
dopełnia nastrój twarzy

idzie
głowa nieco pochylona
jakby szukała dobrej nowiny
przed sobą
na drodze

im bardziej się oddala
tym więcej pytań

zniknie
zaraz za zakrętem

pozostaną nieodgadnione metafory
rozbuchana wyobraźnia
i przystanek

na pożądanie

Z profilu i en face

Ryszardowi Tomczykowi (1931-2020)

w radomskim domu
jedynek syn – *cudowny brzdąc*
potem wybrzeże studia
młodzieńcze ambicje

dopiero tu – gdzie Galeria EL
I LO przy Pocztovej
i dom przy Ratuszowej
rozwinął skrzydła

wymagający
najbardziej wobec siebie
fanatyk pracy przy sztalugach

i edytorze tekstów
bujna wyobraźnia uwieczniana
w oleju pastelach akrylu
– techniki własne i mieszane

notatki zmieniane na wspomnienia
wielopoziomowa struktura

krążył między
kontrowersją i obiektywnym widzeniem

gdy wzniosłe cele zagrożone
– nieprzejeźdźny
dorodne grono przyjaciół
otaczały obfite kiście oponentów

w borowiackim Linówku relaks
– wymiana starych sztachet
brydż szachy smakołyki
kielbaski z grilla
lub pieczone nad ogniskiem

żarliwy dyskutant
lubił śpiew i rodzinne biesiady

Ryszard
Rysiek
Rysiu
Ryś

nieodżałowane dobro rodzinne

i nie tylko

Rodowita petersburżanka

Nadzieździe Chodeckiej (1892-1964)
– mojej nauczycielce

córka lekarki
i prawosławnego księdza
dziewczęce fantazje łączyła z nauką
haftu
na carskim dworze

gdy dziejowy szkwał zmiatał imperialny
porządek
z płaczem pochowała matkę w dębowej
szafie

z mężem Mikołajem osiadła w grodzie
nad Brdą
uczyła francuskiego i gry na fortepianie

i ja – małolat – chodziłem do niej
z etiudami Czerne pod pachą
za śmiganie po klawiaturze jak po lodzie
nagroda – nuty *Schlittschubläufer Walzer*

to dzięki niej
tato siadał przy mnie wsłuchany
w *Miliony Arlekina*
Marsz Radetzkiego
w ulubione arie z *Wiktorii i jej huzara*

Żuczek
kudłaty Wojtuś
i kot Fibich – wylegujący się na czarnym
skrzydle
to wdzięczne troski jej wdowiego życia

z dużego portretu na ścianie patrzył car
Aleksander III
doświadczona kataklizmem
na pobliskiej szafce postawiła małe
zdjęcie wodza

odwiedziny w szpitalu
ostatnim spotkaniem

Boczna ścieżyna

wydeptana nieplastelinową osobowością

szanuje niepospolitość
samotność
– najlepiej we dwoje
od wielu lat nosi niewyprasowane ko-
szule
sandały obowiązkowo na skarpetach

od dziecka przy muzyce
upodobał sobie niepoważny jazz
lubi gdy przy instrumentach
zakwita wdzięk

wtedy współ ze smyczkiem
strunami kontrabasu
klawiszami
poszerza się odbiór

właśnie teraz Barbara Dennerlein
rozpościera skrzydła nad klawiaturami
– *The Lady is a Tramp*

a on zasłuchany i wpatrzony
sący wykwintne Gyokuro Kyoto

Las

a pamiętasz jak czekałaś w nocnej ko-
szuli
by być pierwszą?
jak mogłaś zapomnieć
jesteś jedyną w tym lesie której klęcząc
wpinałem do włosów poziomkowe
kwiaty

jedyną dla której las ten grał arię nie na
jednej
a na wszystkich swoich strunach

a pamiętasz jak szukałem przytulnej
dziupli
i ty mi pomagałaś mówiąc – ciepło ciepło
cieplej – słowa gorąco już nie zdążyłaś
jakieś błagania
błyszczące oczy
muzyka twojego oddechu stała się
tchnieniem
tego lasu nigdy nic tak nie poruszyło
ogarnęła zazdrość
chciał zaszumieć ale mu zakazałem
cóż to za trudny las

i bardzo proszę
już nigdy nie mów
że nie jesteś pierwsza

Taki starzec Zosima (7)

gdy zapukano do drzwi,
ocknął się z zadumy.

oprócz powitania usłyszał:
Jezus powiedział:
– *Ty jesteś Piotr czyli Skala,*
i na tej Skale zbuduję Kościół mój,
a bramy piekielne go nie przemogą,

krucjaty,
inkwizycja,
lawendowa mafia,
pedofilia,
pieniądze i przepych.
Jan Paweł II przeproszał za grzechy
Kościoła,
papież Franciszek chciałby Kościoła
ubogiego

dla ubogich.

powiedz, czy to jest ten Kościół Jezusa?

starzec długo milczał,
w końcu rzekł:

– na placu budowy dzieją się różne
rzeczy,
a ta budowa wciąż trwa.

Wykres przemijania

na początku nie było słowa
spojrzenia śmigały – nieprzypadkowe
podchody zmyślne zabiegi
aż pojawiło się słowo

zamieszkali na najwyższym piętrze
z widokiem na połacie pięciolistnej
koniczyny
na horyzoncie plany spod znaku
młodości
dążenie gwar rodzinny
pełnia

nadszedł czas niższej kondygnacji
panorama z podbalkonową zielenią
wśród kwiatów uciążliwe owady
nieraz sroka skrzeczała ostrzegawczo

linia wędrówki dawno minęła apogeum
trafli na parter
w świetle okna – najbliższe jutro
Erroll Garner grywał obojgu
ulubione *Autumn Leaves*

coraz częściej grymas bezsilności

bez słowa

Późnojesienny kalejdoskop

można już nie dostrzegać
wszechogarniających kolorów
fruwających nici przędnych
nie odczuwać zapachu lasu o poranku

co innego obrazy
odwzorowane w rogu Amona
winorośl usta skrzydła – w złotym
obramowaniu
bluzka z parzenicą i czerwona przepaska
we włosach
a to dopiero wiosna

sekretnie ścieżki za akademikami
ciemny szmaragd jeziora kortowskiego

bywały letnie dni
z ciemnymi chmurami
zimy też
jedna szczególna – od 11 lutego
– złowróżbne dźwięki aparatury na
OIOM-ie
oczekiwanie
błękit rozwartych oczu

czasami uśmiech
częściej grymas
w drugim pokoju modlitwa

teraz
herbaciane róże w granitowym wazonie
komponują się
z jesiennym wystrojem

Tomasz Stężala

BURZA

Ze zbioru „Kolejny dziennik snów”

- Pogoda się psuje, będzie padać... -
mruknęła żona, która przechodziła obok.

- Co? A tak, przyda się deszcz –
odparłem machinalnie, podnosząc wzrok
znad książki. Zatrzymała się na skraju tarasu,
krytycznie oceniła stan warzywniaka i ogrodu.
Potem rzuciła mi pełne przygany spojrzenie i coś tam niezrozumiałe,
po niewieściemu burknęła, znikając we wnętrzu domu.
Skrzywiłem się (jak zwykle) na tę małżeńską rutynę,
na teatr odgrywany w niezliczonych rodzinach przez niezliczone pokolenia.

Niestety, żona miała rację. Pod względem ogrodu.
Wbrew jej woli, ba, wbrew rozsądkowi zlikwidowałem część
ogrodzenia, przez co zwierzyna z rosnącego o rzut beretem lasu mogła swobodnie
wchodzić na posesję i wyżerać owoce naszej pracy.
I co z tego, że z poświęceniem dyżurowałem długimi nocami,
starając się przepłoszyć zające, sarny, jelenie i zwłaszcza dziki.
Kuszący zapach świeżych warzyw czy spadających owoców przyciągał je jak magnes.

Odruchowo zerknąłem w lewo, na Łucję.
Moje spojrzenie padło na stalowo-szklaną konstrukcję,
jakby fragment z mostka nowoczesnego wycieczkowca
czy awangardowego wieżowca z centrum wielkiego miasta.
Oczywiście nie dostrzegłem Łucji, gdyż pokryte specjalną folią szkło
nie pozwalało wzrokowi wnikać do wnętrza, choć światło dość
swobodnie penetrowało konstrukcję.

Mocniej dmuchnęło, zabrzęczał kubek na szklanym stoliku,
więc westchnąwszy, zabrałem powieść oraz naczynie i zwolekłem się z leżaka.
Trzeszczenie desek tarasu poruszyło nuty sumienia,
przypominając mi o kolejnej odwlekanej robocie.
Ewidentnie taras, pergola i szopa, w której miałem swój warsztat
oraz skład wszystkiego wymagały pilnych napraw.
Z tym, że drewno było coraz droższe, a domowy budżet
został mocno nadszarpnięty w ubiegłym roku...

- Coś ci mogę... - ugryzłem się w język,
wchodząc do kuchni i bacznie się rozejrzałem.
Żona, moja wieloletnia (czasami zdawało się, iż odwieczna) towarzyszka życia
szykowała obiad.

- Czekaj, otworzę ten słoik! Tyle razy powtarzam,
że masz mnie wołać, kiedy coś takiego robisz!
Spojrzała na mnie gniewnie, ale odstawiła słoik na blat.

- Wiesz przecież, sama nie mam siły,
ale ty nie wpadniesz na pomysł, iż potrzebuję pomocy.
Jurek z Agnieszką i dzieciakami będą wkrótce, a ja jestem w prosku!

- Jasne, przepraszam, już biorę się za obieranie ziemniaków –
rzekłem pospiesznie, wzdychając w duchu.
Mniej niż dwie godziny temu sama kazała mi odpoczywać,
wypić kawę, poczytać. Fakt, trochę mnie znużyło,
musiałem w ciepełku przysnąć i straciłem rachubę czasu.
Brak czujności, brak gotowości do poma-

gania... Znów wpadłem na tę odwieczną minę.

- Dobrze, są w piwnicy, weź więcej! – odparła nieco mniej nadąsanym głosem. Potem, przed snem będzie mi robiła kolejny wykład o konieczności dzielenia pracy, że ona jest zmęczona, że lekarz, że... A ja będę przytakiwał, może i przeproszał i obiecywał poprawę. I pogodzeni zaśniemy.

Idąc, wszedłem do narożnego pokoju. Latem lubiłem to miejsce, pełne chłodu bijącego od grubego, ceglanego muru ze starymi, jeszcze poniemieckimi meblami, zebranych z okolicznych szop i strychów, odnowionych moimi rękami. Klimatyczną zgodność psuły jedynie i aż przeszklone drzwi oparte na metalowej ramie i takowej solidnej framudze. Gdyż drzwi pochodziły z innego świata, podobnie jak reszta konstrukcji za nimi.

Delikatnie nacisnąłem kłamkę i pchnąłem. Podały się z lekkim syknięciem, potem otworzyły bezszelestnie. Znalazłem się w długim na około pięć metrów pomieszczeniu, które zwężało się klinem, obniżając jednocześnie. Coś, jak dziób statku. Wnętrze wypełniało światło, ale takie dyskretne, nie rażące oczu, pozwalające się odprężyć. Do tego było tu bardzo, bardzo cicho. Na palcach podszedłem do antycznego, pluszowego fotela, który był naczelnym meblem pomieszczenia. Obok stał niewielki stolik, puste krzeselko, a przy ceglanej ścianie regał na książki mojej konstrukcji. Położyłem dłoń na oparciu i spojrzałem na Łucję. Dziecko wpatrywało się w las, który dzięki konstrukcji i potężnym powierzchniom szklanym zdawał się być na wyciągnięcie ręki. Delikatnie pogłaskałem Łucję po głowie. Drgnęła, jakby wybudzona ze snu,

podniosła na mnie wzrok. Uśmiechnąłem się serdecznie tak, jak tylko dziadkowie to umieją robić. Dziecko mrugnęło, po czym wróciło do obserwacji. Sprawdziłem jeszcze, czy ma picie i maślane babcine ciasteczka, i dyskretnie wycofałem się.

Łucja jest dzieckiem autystycznym. Do tego ma alergię, agorafobię i co tam jeszcze. Odziedziczyła je po ojcu, mężu naszej córki Marysi, który zaraz po jej przyjściu na świat bezsensownie zginął w wypadku. Maryśka, świetnie zapowiadająca się ekonomistka i manager w dużej firmie, załamała się, przez co opieka nad jej córką przeszła w niczyje ręce. I niech tam sobie doktory i psycholodzy gadają co chcą, ale ja wiem, iż choroba Łucji spowodowana była zaniedbaniami jej matki, walką sądową i bzdurnymi kuracjami. Dopiero po przejściu żony na emeryturę i moim ograniczeniu pracy, dzięki wyjazdowi do nadzalewowego domku udało się odwrócić chorobę dziewczynki. Maryśka w końcu pozbiierała się, poznała dość sympatycznego faceta, inżyniera w stoczni, z którym mają Krzyśka. Jednak Łucja nie zdobyła serca nowego taty, który na kolejnym grillu, mocno napity wyznał przyszywanemu teściowi, że i boi się małej - i zwyczajnie nie ma dla niej serca. Zachowywał się wobec dziecka poprawnie, ale tylko tyle. Cóż, doceniłem jego szczerość.

Sam nie wiem, dlaczego ta mała tak chwyciła mnie za serce. Prawie nie było z nią kontaktu, choć czasami zaczynała śpiewać albo naśladowała głosy ptaków. Mimo zaledwie sześciu lat potrafiła czytać, choć dla obserwatora było to tępe wpatrywanie się w kartki książeczek. Potem jednak, niezbyt wprawną ręką Łucja odrysowywała kolejne scenki, ciesząc na-

szsze serca. Stąd też wziął się mój pomysł na przebudowę, czy raczej odmienienie naszego domku. Poniemiecki piętrowy, z kadyńskiej cegły, o grubych ścianach, które według źródeł były wcześniej elementami jakiejś innej, dużo starszej budowli, pewnie obronnej. W czterdziestym piątym dziadkowie żony przybyli tu z krakowskiego w grupie żołnierzy AK, uciekając przez komunistyczną bezpiekę. Zajęli opuszczoną budowlę, odremontowali ją, potem - jak to bywa - to podupadała, to znów piękniała. Wreszcie prawie ruinę dostała moja żona (bo nikt z rodziny nie chciał tego miejsca przejąć) i tak, w wolnych chwilach, zaczęliśmy ją remontować. Trochę daleko od naszego miasta, ale z górnego piętra i strychu jest zwłaszcza jesienią i zimą fajny widok na Zalew i Mierzeję. Tak więc nasz czas dzieliliśmy między mieszkanie w bloku w dużym mieście a nasz ceglak w odludziu.

Tutaj zauważyliśmy, iż Łucja, siedząc na tarasie i wpatrując się w las uspokaja się; jakby i smugi uśmiechu pojawiały się na jej twarzyczce. Maryśka zaczęła nam ją zostawiać na coraz dłużej, a my nie mieliśmy serca, by przypomnieć własnemu dziecku, że to ona jest opiekunem Łucji, a dziadkowie jedynie ją wspomagają.

Niestety, każdy większy hałas, mocniejsze światło powodowały lęki u wnuczki i konieczność ciągłego czuwania przy niej. Z drugiej strony, potrafiła wstać z ulubionego fotela i ruszyć ku płotowi, kiedy na skraju lasu pojawiały się sarny lub wszechobecne dziki. I stąd się wziął mój pomysł.

To znaczy przyśnił mi się, pewnie pod wpływem filmów SF. Ale także rozmów z moim przyszywanym zięciem,

który pracował przy budowie statków i wiele opowiadał o tym, jakie cuda montują, jakie mają problemy z techniką, z jakością otrzymywanych z hut i walcowni materiałów.

- Cholera – pieklił się – nie mogą postarać się, by o te kilka procent poprawić jakość? Niewiele im przecież brakuje, do wypełnienia norm obciążeniowych. Potem my mamy z tym problem, a zwłaszcza ja, bo stary każe mi się pozbyć tego złomu.

- A huta nie przyjmuje?

- Część idzie z Indii albo Turcji, albo skądś jeszcze i dla nich koszt odesłania jest większy niż wytworzenia, więc wolą płacić kary.

- A budowlanka?

- Dla nich to nieodpowiedni materiał, do tego trudny w spawaniu i w ogóle drogi. Wolą po taniości kupować na przykład od ruskich.

- Ale da się z tego wymodelować coś takiego? – sięgnąłem na półkę, gdzie miałem swój szkic.

- Pewnie... ale po co? – stał się podejrzliwy. Wtedy wyjaśniłem mu pomysł, jego wkład i zyski. Milczał dłuższą chwilę, szarpiać wąsa potem krótko odburknął, że to moralny szantaż, ale wziął sprawę do serca. Już po miesiącu przesłał mi kilka fotek spawanego szkieletu. Miał on inny kształt niż planowałem, uduchowiony, lecz bardziej przeszklony. Wytlumaczył, że skorzystał z odrzuconych przy produkcji elementów, które udało mu się nabyć okazjnie. Potem wszystko stanęło, gdyż przyszły idiotyczne zakazy covidowe, wreszcie okazało się, iż nie ma odpowiednich szyb albo ludzi do roboty. Gdy wspomniałem żonie o kosztach (oczywiście stwierdziłem w rozmowie z przyszy-

wanym zięciem, że pokrywamy wydatki), aż zaniemówiła. Przełknęła tę pigułkę, bo tak jak i ja kocha Łucję, ale wieczorem zapytała, czy tej inwestycji nie można wykonać taniej. Posprzeczaaliśmy się, bo niepotrzebnie weszła mi na ambicję. Uruchomiłem swoje budowlane kontakty, dotarłem do huty szkła, gdzie udało mi się zamówić odpowiednie szyby. Przyjechał nawet technik od nich, pojechaliśmy do murowańca, gdzie w szopie złożone były już profile. Facet zagwizdał z podziwu, po swoim pomierzył i poobliczał, podał wstępny termin. Ja dokonałem przedpłaty i ciężarówka, z klnącym na dojazd szoferem, wyładowała szkło. Specjalne, foto-coś tam, samoczyszczące, zabezpieczone folią. Gdy żona pojechała do sanatorium, zebrałem ekipę i po tygodniu mozołu ustawiliśmy konstrukcję na fundamencie, wypawaliśmy, wstawiliśmy w profile szyby, potem wystarczyło tylko położyć podłogę, wyregulować zawiasy i było gotowe. Na weekend przyjechała Maryśka z Łucją. Dziecko na początku bało się, ale potem, chwilę posiedziawszy w swoim fotelu, zajęło się otoczeniem i staliśmy się dla niej zbędni. Przesiedziała tam kilka godzin, tylko raz wychodząc do toalety. Na widok nowego elementu naszej hacjendy i informacji o wydatkach (oczywiście, nie powiedziałem o wszystkich) rodzina była zaszokowana, a moja żona zbladła. Nasz syn, Jurek, skwitował całość kwaśno, po swojemu, synowa była obrażona, że faworyzujemy Łucję, ale po krótkiej awanturze udało się sprawy ustawić w odpowiedniej kolejności i życie pomału zaczęło wracać do normy. Adaś i Grzesiek z ekscytacją przespali się w „akwariu” i nowa inwestycja wreszcie została zaakceptowana. Co prawda Maryśka zaczęła

wykorzystywać nadmiernie naszą opiekę, ale poza rytualnym zwracaniem jej na to uwagi cieszyliśmy się z pobytu wnuczki, która stawiała się spokojniejsza i bardziej otwarta. Kilkakrotnie nawet przytuliła się do żony, mnie poczochnęła albo chwyciła za rękę i wyprowadziła na długi spacer do lasu.

Zamieszanie, czyli Jurek z rodziną, zważyło się tuż przed obiadem.

- Synuś zawsze wyczuje twoją kuchnię – mruknąłem do żony, która w odpowiedzi zmiażdżyła mnie spojrzeniem. Tradycja. Wrzask chłopców, tokanie Jurka i matki, skrzywiona mina Agnieszki zakończyły okres spokoju w domu nad Zalewem. Chłopcy pobiegli do akwariu, z którego bez większych namawiań wyszła też Łucja. Zignorowała dorosłych, grzecznie umyła ręce i usiadła na swoim miejscu. Obiad zjedliśmy w spokoju, poza drobną przerwą na pospieszne zebranie prania z ogrodowej suszarki, którą porywy wiatru poczęły zbyt mocno szarpać.

Po obiedzie zabrałem się za zmywanie, pozwalając dzieciom i wnukom nacieszyć się żoną i miejscem. Chłopcy byli pod wrażeniem jakiegoś filmu czy komiksu (nie nadążam za nimi) i wypadli do ogrodu, by wprowadzać swój własny scenariusz w życie. Potrzebna im była też Łucja, ale ta zrażona krzykami poczęła się trząść, więc została zaprowadzona do „akwariu”, gdzie w ciszy mogła kontemplerować zabawę stryjecznych braci. Na tarasie, gdzie przenieśli się dorośli, zrobiło się głośno od wrzawy i połajanek rodziców. Agnieszka siedziała nadąsana, co rusz spoglądając na „akwariu”. Czując zbierającą się burzę, chwyciłem swój kubek z kawą, by zmyć się do swojego warsztatu.

- Mam robotę – burknąłem do wszystkich i nikogo.

- Może zbudujesz, tato, coś dla chłopców? – dogoniło mnie jej pytanie. Odruchowo chciałem zignorować ją udając, że nie dosłyszałem (lata w budowlance przytępiły moje zmysły), ale agresywny ton zatrzymał mnie w pół kroku. Odwróciłem się, unosząc pytająco brwi. Zmrużyła oczy, co było oznaką zbliżającej się wojny. Jak Jurek z nią wytrzymywał? Że też nie uciekł, jak ojciec Agnieszki od jej matki, terroryzującej fochami wszystkich dookoła.

Zerknąłem na syna, który udawał, iż wpatruje się w jakiś element muru. Czyli przyjechali z ustaloną przez Agę taktyką, jeno Jurek, między młotem a kowadłem, bał się zagać.

- O co ci chodzi, córciu? – ociepliłem głos – Masz coś konkretnego na myśli? Jak widzę, obaj zdecydowanie wolą tu zabawę na świeżym powietrzu niż siedzenie w domu... Są kreatywni, jak widzisz wykorzystują taczkę i... Odległy trzask gromu odwrócił moją uwagę. Wprawdzie wiatr osłabił i słońce grzało, ale nad Zalewem, na horyzoncie, widać było ciemniejące chmury. Agnieszka wykorzystała moment:

- Jurek i ja uważamy, że faworyzujesz Łucję – gestem wskazała na akwariu.

- Już o tym rozmawialiśmy – zaostrzyłem ton, marszcząc brwi.

- Dowiedziałem się, ile wydaliście... ile wydałeś faktycznie na tę szklaną klatkę. – Jurek wreszcie włączył się do walki. Co gorsza, żona wbiła we mnie swe zielone oczy.

- I co z tego? Ja nie podliczam waszych wydatków. Nie mówię, ile

Agnieszko wydajesz na torebki czy buty, ani ty synu na samochód czy narty. Wykorzystacie z tego miejsca, a ja nie korzystam z waszych zakupów i przedsięwzięć. Więc o co znów chodzi?

- Ale nie traktujesz Adasia i Grzesia tak, jak Łucję.

- To znaczy – jak mam ich traktować? Są dziećmi autystycznymi? Mają alergię i fobie? – podniosłem głos, coraz bardziej wkurzony.

- Babciu!? – Adaś wpadł na taras, nie zważając na narastający kryzys. Jego puchowatą twarz oblewał rumieniec radości, a iskry skrzyły się w oczach – może Patryk i Przemek bawić się z nami? I Miś?

Żona popatrzyła na mnie. Nie lubiłem psa sąsiadów, który zbyt często kopnął doły w ogródku i potrafił pozostawić „minę”. Do tego już raz capnął Grzeska.

- Tylko żebyście nie podeptali moich grządek i kwiatków. A Patryk niech pilnuje psa, aby nikogo nie ugryzł.

- Dobra! – i już go nie było.

Poczułem zmęczenie.

- Chyba się położę na chwilę – zmieniłem temat.

- Nie uciekaj od tematu, w końcu trzeba z dziećmi porozmawiać. Powiesz, ile naprawdę wydałeś na „akwariu”? – żona wbiła mi szpilę.

- Mówiłem ci przecież.

- Ale z tego, co słyszę, to nie byłeś do końca szczery...

- A czy jest to ważne? Istotne, że Łucja lepiej się czuje, że...

- Słyszałam, że.... – Agnieszka rzuciła kwotę. Przesadzoną, ale nieznaczną. Żona zamilkła zaskoczona. Spora część naszej „żelaznej” rezerwy na ciężkie czasy znikła.

- Bez mojej wiedzy? – małżonka wytrzeszczyła oczy. Znałem to spojrzenie, było bardzo niedobrze.

- Dowiedziałem się, iż można by to było zrobić za połowę ceny – dorzucił zdradziecko synek.

- Można było, nawet taniej. Albo wcale. I to my... ja miałem wybór i ja to zrealizowałem! Mój dom, moja decyzja. Chcecie to teraz zburzyć? – to było bardziej do żony. Znów podniosłem wzrok na nadciągające chmury pod wpływem odległego, ale wyraźnego trzasku.

- Nie o tym mówimy, tato, ale o tym, że faworyzujesz Łucję. – Jurek zaczął się nakręcać.

- Mama to może przyznać, że faworyzowałem ciebie – odwar knąłem. Przerwaliśmy, bo dzieciaki przebiegły mimo, wrzeszcząc. Przynajmniej chłopcy dobrze się bawili.

- Nie zauważyłem... – odparł Jurek.

- No dobrze, to co miałbym niby zrobić, by wyrównać rachunki? – położyłem akcent na drugą część zdania.

- No... – głos Jurka zamarł, bo od skraju lasu dobiegł nas okrzyk przerażenia. Dorośli zgodnie poderwali się z siedzeń, ale ja już biegłem.

- Adaś, wracajcie! Wracajcie! – zacząłem krzyczeć dostrzegając niebezpieczeństwo.

Cała czwórka stała jakieś dwadzieścia metrów, w lesie, wpatrzona w coś, co je unieruchomiło. Bez namysłu, tratując żoniną rabatę i grządkę z grochem, puściłem się ku temu, co wystraszyło dzieciaki. Dzikie zwierzę, drapieżnik polujący na łatwą, ludzką zdobycz.

Trzask grzmotu ogłuszył mnie i rzucił na pień najbliższego drzewa. Oszołomiony poderwałem się, plamy wirujące przed oczyma, z żołądkiem podchodzącym do gardła, czując stające dęba włosy. Pierwotny, rodzicielski instynkt pchnął mnie ku zagrożeniu.

Trzask!

Trzask!

Krzyczałem, ale nie słyszałem własnego głosu. Nagle dostrzegłem plamę *T-shirtu* i schwyciłem chłopca. Pojąłem tylko jego wytrzeszczone, przepełnione strachem oczy; zacząłem go ciągnąć ku domowi. Potem dostrzegłem płową sierść i rogi przemykające obok, żółtą koszulkę Grześka, twarz Jurka szarpającego się z kimś lub czymś. Na skraju lasu uderzył nas podmuch i ciężkie krople deszczu. Z trudem rozróżniałem otoczenie w zapadłej pomroce.

Trzask!

Czas zwolnił, w błysku ujrzałem zarys „akwarium”, wyglądającego jak kosmiczny statek i cień stojącego w nim dziecka, które na coś wskazywało.

Kolejny piorun uderzył o kilkadziesiąt metrów w rosły buk, który wcześniej zasłaniał nam widok. Zaczęły spadać na nas gałęzie, liście, spory kawał drewna przeleciał nad którymś z nas i z trzaskiem wyrzucił w „akwarium”. Puściłem ciągniętego dzieciaka i padłem na czworaka, gubiąc żoniny obiad.

- Tato, żyjesz?! – Jurek szarpał mnie za ramiona. Nie słyszałem go, ale unosząc głowę zrozumiałem ruch warg.

- Tam – wybełkotałem, podnosząc się jak pijak. Wicher rzucił się na nas, spychając na akwarium. Kątem oka zauważyłem wyrwane okno na piętrze ceglaka. Znów mnie oślepiło wyładowa-

nie, lecz oparty o konstrukcję posuwałem się w kierunku, który wskazał mi cień Łucji. Kolejny błysk pozwolił zlokalizować białą plamę o kilka kroków od akwarium i coś ciemnego, co tą biel szarpało. Wycharczałem i zataczając się, zapierając od wichru, ruszyłem w tamtym kierunku. Z chaosu pamięci przywołuję jasną twarz dziecka i kształt drapieżnika. Kopnąłem go, potem, jak opowiadał Jurek, szczupakiem rzuciłem się na to coś (duży, zdziwały pies, a może wilk?). A dalej już nie pamiętam.

*

Potem pamiętam promień światła, który wcisnął się pod powiekę. Chciałem się przekręcić, ale przeszył mnie ból, zmuszając do znieruchomienia. Jak spod wody dobiegł mnie elektroniczny dźwięk, potem odezwały się głosy i znowu zasnąłem.

*

- Dziadek! Zbudź się! Dziadek! Uciskana dłoń z wbicią w nią igłą zabolała. Z trudem otworzyłem oczy, ale chwilę trwało, zanim odzyskałem ostrość widzenia.

- Dziadek... – głos należał do Łucji. Biel i zieleń, nad głową poblask monitora. Byłem w szpitalu?

- Już nie śpię ... wydusiłem z siebie.

- Dziadek... – mała istotka przytuliła głowę do mojego ramienia.

- Widzisz, ona mówi – to była żona. Dostrzegłem napuchnięte od płaczu oczy i plaster na czole.

- Co...

- Proszę nie męczyć pacjenta! – głos należał do pielęgniarki, która czujnie

zajrzała do pokoju. Odwróciłem się w jej stronę i wymusiłem uśmiech.

- Obudził się pan... Jak się pan czuje?

Zebrałem się w sobie:

- Na tyle dobrze, żeby zaraz stąd wyjść.

- Cieszę się, że ma pan dobry humor, przekazać ordynatorowi. A państwo macie jeszcze chwilę – uśmiechnęła się i wyszła.

- Łucja mówi? Przytula się? – choć chciałem to powiedzieć szeptem, to zdrętwiałe gardło wydało skrzeczący głos.

- I uratowała Adasia i praktycznie nas.

Uniosłem brwi w zdumieniu.

- Jurek mówi, iż zobaczył ją, jak pokazuje na Adasia w czasie błysku, potem wyszła z akwarium i zaciągnęła nas do środka. Dom mocno ucierpiał, poszły dwa okna i zerwało część dachu. A taras...

- A rodzina? – przerwałem niecierpliwie.

- Adaś, tak jak ty, jest pogryziony i poturbowany, choć jutro mają go wypisać. My wszyscy oberwaliśmy od odłamków szkła i latających gałęzi. Pewnie po badaniu przyjdą Jurek z Agnieszką.

- Pretensje... – przypomniałem sobie kłótnię.

- Nie, chcą ci podziękować za „akwarium” i za Łucję. Twoja konstrukcja przetrwała nienaruszona.

- Hm, mówisz, że są zniszczenia? Jak wyjdę, to wezmę się za to. Teraz chyba przychylniej spojrzysz na moje pomysły?

Elbląg, 02.08.2023

Z życia Donimira – przypowieści

Donimir i rzeka życia

Donimir zatrzymał się nad rzeką, gdzie spotkał młodego człowieka, który płakał nad utratą ukochanej osoby. Donimir wskazał na rzekę i powiedział:

– **“Spójrz na tę rzekę. Jej wody nigdy nie zatrzymują się, ale zawsze płyną do morza. Tak jak życie – nigdy nie stoi w miejscu, ale zmierza ku czemuś większemu. Twoja ukochana nie odeszła na zawsze. Stała się częścią oceanu, który jest jak Bóg – nieskończony i pełen miłości. A ty? Jesteś jak ta rzeka. Płyniesz, uczysz się, rośniesz. I kiedyś też dotrzesz do oceanu.”*

Młody człowiek spojrzał na rzekę i poczuł, jak jego żal zamienia się w nadzieję. Donimir dodał:

– **“Życie to nie tylko to, co tracimy, ale też to, co zyskujemy w drodze.”*

Donimir i drzewo życia**

W środku lasu Donimir spotkał kobietę, która czuła się zagubiona i pozbawiona celu. Zaprowadził ją do starego drzewa, którego korzenie sięgały głęboko w ziemię, a gałęzie dotykały nieba.

– **“To drzewo jest jak twoja dusza”* – powiedział Donimir. – **“Jego korzenie to twoja przeszłość, doświadczenia, które dały ci siłę. Gałęzie to twoje marzenia, które sięgają ku niebu. A pień? To terazniejszość – moment, w którym jesteś. Nie musisz wybierać między korzeniami*

a gałęziami. One są jednością, tak jak ty jesteś jednością z tym, kim byłeś i kim się staniesz.”

Kobieta dotknęła drzewa i poczuła, jak jej serce napęłnia się spokojem. Donimir uśmiechnął się:

– **“Życie to nie linia prosta, ale krąg. Wszystko, co było, jest i będzie jest ze sobą połączone.”*

Donimir i lustro duszy**

Pewnego dnia Donimir spotkał mężczyznę, który był pełen gniewu i nienawiści do świata. Donimir podał mu lustro i powiedział:

– **“Spójrz w nie. Co widzisz?”*

Mężczyzna odpowiedział:

– **“Widzę siebie – człowieka, któremu świat wyrządził tyle krzywd.”* Donimir uśmiechnął się łagodnie:

– **“A teraz spójrz głębiej. Za gniewem, za bólem. Co tam jest?”*

Mężczyzna milczał, ale po chwili jego oczy wypełniły się łzami.

– **“Widzę... dziecko. Przestraszone i samotne.”*

Donimir położył dłoń na jego ramieniu: – **“To dziecko to twoja prawdziwa istota. Gniew to tylko maska, którą nosiłeś, by chronić swoje serce. Ale teraz możesz ją zdjąć. Miłość, którą nosisz w sobie, jest silniejsza niż jakakolwiek krzywda.”*

Mężczyzna spojrzał w lustro raz jeszcze i zobaczył nie tylko swoje odbicie, ale też światło, które zaczęło w nim płonąć.

Donimir i wiatr przemiany**

Donimir wędrował przez pustynię, gdzie spotkał kobietę, która czuła się uwięziona w swoim życiu. Powiedziała:

– **“Czuję się jak piasek, który wiatr niesie bez celu.”*

Donimir wskazał na horyzont:

– **“Widzisz te wydmy? Każda z nich została ukształtowana przez wiatr. Piasek wydaje się bezbronny, ale to właśnie on tworzy piękne formy. Ty też jesteś jak piasek. To, co wydaje ci się chaosem, może stać się początkiem czegoś nowego. Wiatr to przemiana, a ty jesteś jej częścią.”*

Kobieta spojrzała na wydmy i poczuła, jak jej serce napęłnia się nadzieją. Donimir dodał:

– **“Nie bój się wiatru. On wie, dokąd cię prowadzi.”*

Donimir i ogród serca**

W jednej z wiosek Donimir spotkał starszego mężczyznę, który narzekał na swoją samotność. Donimir zaprowadził go do ogrodu i powiedział:

– **“Ten ogród to twoje serce. Każda roślina to relacja, którą kiedykolwiek miałeś. Niektóre kwitną, inne uschły. Ale ziemia wciąż jest żyzna. Możesz zasadzić nowe nasiona, jeśli tylko zechcesz.”*

Mężczyzna zapytał:

– **“A co, jeśli nasiona nie wyrosną?”*

Donimir uśmiechnął się:

– **“Nawet jeśli nie wyrosną, to sama próba jest aktem miłości. A miłość nigdy nie idzie na marne.”*

Starszy mężczyzna spojrzał na ogród i poczuł, jak jego serce napęłnia się wdzięcznością.

Donimir i światło w ciemności

Pewnej nocy Donimir spotkał kobietę, która bała się ciemności. Powiedziała – Nie widzę drogi przed sobą, boję się że zblądzę.

Donimir zapalił małą lampkę i powiedział. Ciemność to tylko brak światła. Ale nawet najmniejsza iskra może rozświetlić drogę. Twoje serce jest jak ta lampka. Wystarczy, że je zapalisz, a ciemność przestanie być straszna. Kobieta spojrzała na lampkę i zrozumiała, że jej własne serce może być źródłem światła. Donimir dodał, nie musisz widzieć całej drogi. Wystarczy, że zobaczysz pierwszy krok.

Tak oto zakończyliśmy wędrówki Donimira, w których towarzyszył mu sztuczny intelekt. W kolejnej części Donimir, po doświadczeniu tego, co każdy z nas może odnaleźć w sobie, wyruszy w dalszą drogę. Tym razem jednak bez dominującego głosu AI. Bo Donimir odnalazł to, czego tak naprawdę każdy z nas pragnie – nieraz nieświadomie.

Czas przemian

Donimir. Nie był królem, ani wojownikiem, ani nawet uczonym. Był wędrowcem, który zmierza przez życie – tym, który słucha i który widzi więcej, niż pokazują oczy. Donimir przemierzał świat, nie po to by zdobywać, ale by zrozumieć. Jego życie było pytaniem, a każdy krok odpowiedzią. Miał w sobie coś, jakby światło, które nie pochodziło z zewnątrz, ale z głębi jego istnienia.

Pewnego dnia Donimir dotarł do miejsca, które znał od dawna, do starego, tysiącletniego dębu, stojącego na wzgórzu, z dala od zgiełku świata. To drzewo było jak żywa księga, której kora zapisała historię niezliczonych pokoleń. Donimir usiadł pod nim, oparł plecy o jego potężny pień i zamknął oczy. Nie szukał niczego – po prostu był. Godziny mijały, a Donimir zagłębiał się w ciszę. Nie myślał o przeszłości, nie planował przyszłości. Był tylko tu i teraz. I wtedy, jakby sam wszechświat postanowił przemówić, doznał czegoś, czego nie da się opisać słowami. Ogarnęła go miłość – nie ta zwykła, ludzka, ale miłość bezwarunkowa, czysta, jak źródło, bijące w samym sercu istnienia. Poczuł, że wszystko, każda istota, każdy kamień, każdy atom jest częścią tej samej wielkiej całości. I że ta całość jest doskonała, nawet w swoich niedoskonałościach.

Przez trzy dni i trzy noce Donimir siedział pod dębem, nie jedząc, nie pijąc, nie poruszając się. Był jak kamień, który jednak w środku płonął ogniem zrozumienia. Gdy wstał, nie był już tym samym człowiekiem. Nie musiał szukać odpowiedzi, bo stał się odpowiedzią. Nie musiał pytać, bo stał się pytaniem. Donimir ruszył

w drogę, ale teraz jego wędrówka miała inny cel. Nie chodziło już o to, by nauczać, ale by przypominać. Donimir mówił – Miłość to nie uczucie, jakie wybierasz. To stan, w którym rozpoznajesz siebie w innych. Wolność to nie brak kajdan, ale zrozumienie, że kajdany są tylko iluzją. Szacunek to uznanie, iż każda istota, czy to człowiek, czy mrówka, czy drzewo ma swoje miejsce w wielkiej układance istnienia. A szczęście? Szczęście to po prostu bycie sobą, bez lęku, bez żalu, bez oczekiwań. Ludzie, którzy go słuchali, czuli, jakby coś w nich budziło się z długiego snu. Niektórzy płakali, inni uśmiechali się, jakby przypomnieli sobie coś, o czym dawno zapomnieli. Donimir nie był guru, nie był prorokiem. Był tylko lustrem, w którym ludzie mogli zobaczyć swoje własne światło. A tysiącletni dąb? Ten dąb pozostał na wzgórzu, jak strażnik milczenia. Mówiono, że kto usiadzie pod nim i wsłucha się w jego szum, ten usłyszy echo nauk Donimira – echo, będące nie słowem, ale uczuciem, nie dźwiękiem, ale ciszą. Tobie też Donimir przypomina.

– Życie nie jest problemem do rozwiązania, ale tajemnicą do przeżycia. Nie szukaj odpowiedzi na zewnątrz, one są w Tobie. Miłość, wolność, szacunek – to nie są rzeczy, które zdobywasz. To są rzeczy, które już masz. Po prostu o tym zapomniałeś. Przypomnij sobie. I żyj. Po prostu żyj.

Przemówienie o Miłości

Donimir stanął przed tłumem ludzi, pytających go, czym jest prawdziwa miłość. Donimir im odpowiedział.

Miłość to nie uczucie, które przychodzi i odchodzi. Miłość to stan bycia. To decyzja, by widzieć światło nawet w najciemniejszych chwilach. Miłość to nie to, co czujesz, ale to, co robisz. To wybór, by przebaczyć, nawet gdy boli. To gotowość, by dać wszystko, nie oczekując niczego w zamian. Miłość to nie coś co znajdujesz. To coś, czym się stajesz. Ludzie zamilkli, a ich serca napełniły się ciepłem. Donimir dodał: Kochajcie nie tylko tych, którzy są łatwi do kochania. Kochajcie też tych, co was ranią, bo to oni najbardziej potrzebują waszego światła.

O cierpieniu

Pewna kobieta zapytała Donimira dlaczego cierpienie istnieje? Dlaczego Bóg na to pozwala?

Donimir spojrzał na nią łagodnie i odpowiedział.

Cierpienie jest jak ogień. Może nas spalić, ale może też nas oczyścić. Nie przychodzi po to, by nas złamać, ale by nas przemienić. Gdyby nie cierpienie, nigdy nie poznalibyśmy siły, drzemiącej w naszych sercach. Nigdy nie zrozumielibyśmy, czym jest współczucie. Nigdy nie nauczylibyśmy się kochać głębiej. Cierpienie to nie kara, ale lekcja. A Bóg? On nie powoduje cierpienia, ale jest z nami w każdym płaczu, w każdym bólu, w każdej chwili zwątpienia.

Kobieta poczuła, jak jej serce napełnia się spokojem, a Donimir dodał.

Nie pytaj: dlaczego cierpisz. Zapytaj, czego możesz się nauczyć.

O Wolności

Donimir stanął przed grupą młodych ludzi, którzy czuli się uwięzieni w swoich życiowych wyborach. Powiedział. Wolność to nie brak kajdan. Wolność to stan umysłu. Możesz być wolny nawet w więzieniu, jeśli twoje serce jest pełne miłości i możesz być niewolnikiem nawet w pałacu, jeśli twoje serce jest pełne strachu. Prawdziwa wolność zaczyna się wtedy, gdy przestajesz szukać jej na zewnątrz, a zaczynasz szukać jej w sobie. To wolność od gniewu, od lęku, od przeszłości. To wolność bycia sobą bez względu na to, co mówią inni.

Młodzi ludzie spojrzeli na niego z nadzieją, a Donimir zakończył. Nie szukaj wolności tam, gdzie jej nie ma. Ona już jest w tobie. Wystarczy, że ją tam odnajdziesz.

O Przebaczeniu

Pewien mężczyzna zapytał Donimira, jak mogą przebaczyć komuś, kto zranił mnie tak głęboko?

Donimir odpowiedział. Przebaczenie to nie zapomnienie. To nie oznacza, że ból znika. Przebaczenie to decyzja, by przestać nosić ciężar nienawiści w swoim sercu. To wybór, by zrozumieć, że ten, kto cię zranił, prawdopodobnie sam był zraniony. Przebaczenie to akt miłości wobec siebie, bo nienawiść to trucizna, którą pijesz oczekując, że zabije kogoś innego. Przebaczone jest dlatego, iż oni na to zasługują, ale dlatego, że ty zasługujesz na spokój. Mężczyzna poczuł jak ciężar znika z jego serca, a Donimir dodał: przebaczenie to klucz, otwierający drzwi do twojej własnej wolności.

O Śmierci

Donimir stanął przed rodziną, która straciła bliską osobę. Powiedział: Śmierć to nie koniec. To tylko przejście do innego stanu istnienia. Wasz bliski nie odszedł na zawsze. Stał się częścią wiatru, muskającego wasze twarze, częścią słońca, ogrzewającego wasze serca, częścią waszych wspomnień, które nigdy nie znikną. Śmierć to tylko zmiana formy. Miłość, jaką dzieliliście, pozostaje. Ona nigdy nie umiera.

Rodzina poczuła ulgę, a Donimir zakończył. Nie płaczcie, iż odszedł. Uśmiechajcie się, że był i kochajcie, bo miłość jest wieczna.

O Prawdziwym Bogactwie

Pewien bogacz zapytał Donimira. Czy pieniądze mogą dać szczęście? Donimir uśmiechnął się i odpowiedział. Pieniądze mogą kupić łóżko, ale nie sen. Mogą kupić dom, ale nie domowe ciepło. Mogą kupić lekarstwa, ale nie zdrowie. Mogą kupić rozrywkę, ale nie radość. Prawdziwe bogactwo to nie to, co masz, ale to kim jesteś. To miłość którą dajesz, spokój, jaki nosisz w sercu i chwile, które dzielisz z innymi. Pieniądze są jak narzędzia, mogą pomóc, ale nie mogą zastąpić duszy. Bogacz zamyślił się głęboko, a Donimir dodał, nie gromadź skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól niszczą. Gromadź skarby w swoim sercu, gdzie nic nie może ich zabrać.

O Nadziei

Donimir stanął przed tłumem ludzi, którzy stracili nadzieję. Powiedział, nadzieja to nie przekonanie, że wszystko będzie dobrze. To wiara, iż nawet jeśli nie będzie, to i tak znajdziemy w sobie siłę, by iść dalej. Nadzieja to płomień, który świeci nawet w najciemniejszą noc. To głos, co szepcze. Nie poddawaj się, nawet gdy wszystko się wali. Nadzieja mówi, to tylko burza. Po niej przyjdzie słońce. Ludzie poczuli, jak ich serca napędniają się światłem, a Donimir zakończył. Nie szukaj nadziei na zewnątrz. Ona już jest w tobie. Wystarczy, że ją tam odnajdziesz.

Ostatnie przemówienie Donimira

Donimir stał na wzgórzu pod tysiącletnim dębem, otoczony tłumem ludzi, którzy przybyli z najdalszych zakątków świata. Byli tam młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, ludzie wszystkich kultur, religii i przekonań. Każdy z nich czuł, że ten dzień jest wyjątkowy. Donimir, co przez lata wędrował nauczając o miłości, wolności i jedności, miał przemówić po raz ostatni. Jego oczy, zwykle pełne ciepła i spokoju, teraz błyszczały jak gwiazdy, jakby widziały coś czego inni nie mogli dostrzec.

Gdy podniósł rękę, tłum zamilkł. Nawet wiatr zdawał się cichnąć, a liście dębu przestały szeleścić. Donimir spojrzał na ludzi, a jego głos choć cichy, dotarł do każdego serc

Słuchajcie, nie przyszedłem tu, by was zbawić. Nie przyszedłem tu, by was naprawić. Wy nie jesteście zepsuci. Nie przyszedłem tu, by was oświecić. Wy już

jesteście światłem. Przyszedłem tu tylko po to, by wam przypomnieć, że wszystko czego szukacie już jest w was. Nie musicie iść daleko. Nie musicie się zmieniać. Nie musicie zasługiwać. Po prostu jesteście i to wystarczy.

Jego słowa były jak kamień rzucony w tafłę jeziora, fale rozchodziły się powoli, dotykając każdego, kto stał na ich drodze. Ludzie wstrzymali oddech, czując jak każde zdanie przenika ich na wskroś. Widzę wasze życie. Widzę jak biegacie, jak walczycie, jak pragniecie. Widzę, jak szukacie miłości w oczach innych, a nie widzicie jej w swoich. Widzę, jak szukacie wolności w świecie, który sami sobie skuliście. Widzę, jak szukacie szczęścia tam, gdzie go nie ma. Mówię wam, że szczęście nie jest tam, gdzie je gonicie. Szczęście jest tam, gdzie stoicie. W tej chwili, w tym oddechu, w tym sercu, bijącym w waszej piersi.

Donimir spojrzał na tłum, a jego oczy były jak lustro, w których każdy mógł zobaczyć siebie, takim - jakim był naprawdę. Bez masek, bez lęków, bez iluzji. Nie musicie być kimś innym. Nie musicie być lepsi, mądrzejsi, silniejsi. Nie musicie zasługiwać na miłość, na szacunek, na życie. Jesteście już tym, czym jesteście i to jest doskonałe. Wszechświat nie popełnia błędów. Każdy z was jest dokładnie tym, kim powinien być. Nie ma przypadków, nie ma błędów. Jest tylko życie, płynące przez was, jak rzeka do oceanu.

Jego głos stał się jeszcze cichszy, ale każde słowo było jak uderzenie dzwonu, które rozbrzmiewało w sercach słuchaczy.

Nie bójcie się ciszy, nie bójcie się samych siebie. W ciszy znajdziecie odpowiedzi,

jakich szukacie. W ciszy usłyszycie głos, który jest waszym prawdziwym głosem. To nie jest głos, mówiący wam, co robić. To jest głos, który mówi wam kim jesteście i to wystarczy. Wystarczy, że to usłyszycie, reszta przyjdzie sama.

Donimir zamilkł. Jego oczy zamknęły się, jakby odpoczywał po długiej podróży. Ludzie stali w milczeniu. Każdy czuł, że coś się w nim otwiera, że coś zagubione, zapomniane, powraca, przypomina się.

A potem Donimir odwrócił się i odszedł. Nie powiedział już ani słowa. Zniknął w cieniu dębu, jakby stał się częścią jego korzeni, jego liści, jego ciszy. Ludzie czekali – ale on nie wrócił. Donimir zamilkł. Nie dlatego, że nie miał już nic do powiedzenia, ale dlatego iż powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Reszta należy do Ciebie.

Nie szukaj odpowiedzi tam, gdzie ich nie ma. Nie szukaj miłości tam, gdzie jej nie znajdziesz. Nie szukaj wolności tam, gdzie jest tylko więcej kajdan. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w Tobie. Po prostu bądź. Bądź sobą. To wystarczy. To zawsze wystarczy. Przypowieść o Donimirze przypominają o kilku uniwersalnych prawdach, które są ważne.

1. Prostota jest kluczem do zrozumienia.

Donimir nie używa skomplikowanych słów ani filozoficznych konstrukcji. Jego przesłanie jest proste. Przypomina, iż najważniejsze prawdy nie muszą być skomplikowane. Często są ukryte w codzienności, w oddechu, w chwili ciszy.

2. Wszystko, czego potrzebujemy, jest w nas.

Donimir nie przynosi ludziom niczego nowego. Przypomina jedynie to, co już wiemy, ale zapomnieli. To przesłanie, które dotyczy każdego z nas. Prawdziwa mądrość nie pochodzi z zewnątrz, ale z wewnętrznego zrozumienia.

3. Cisza ma moc.

Donimir milczy, ale jego milczenie jest pełne znaczenia. To przypomina, że czasem najpotężniejsze przesłania nie są wyrażane słowami, ale ciszą, obecnością, byciem.

4. Jesteśmy częścią większej całości.

Donimir mówi o jedności, o tym, iż każdy z nas jest częścią wszechświata. To myśl, która inspirowała do spojrzenia na świat z perspektywy współzależności i harmonii.

Do czego inspirowa

Donimir przypomina o wewnętrznym świetle, o miłości, wolności, zrozumieniu. Zadaniem Donimira nie jest tworzenie nowych prawd, ale przypominanie tych, co już istnieją.

Do szukania piękna w prostocie. Te przypowieści inspirowały, by zawsze dążyć do klarowności i prostoty w przekazie. Najgłębsze prawdy nie potrzebują ozdób. Wystarczy, że są wypowiedziane z serca.

Do doceniania ciszy. Donimir pokazuje, iż milczenie może być bardziej wymowne niż tysiące słów. Wystarczy by czasem po prostu być, bez słów, bez analiz, bez ciągłego działania.

Do spojrzenia na świat z perspektywy jedności. Te przypowieści przypominają, że wszystko jest ze sobą połączone: ludzie, natura, idee. To pokazuje, by zawsze szukać połączeń, a nie podziałów.

Przypowieści o Donimirze mówią, iż najważniejsze jest bycie obecnym w sobie, w świecie, w chwili. Mówią, by zawsze przypominać o tym, co najprostsze i najważniejsze, że miłość, wolność i zrozumienie są w nas, że cisza ma moc, a jedność jest naszą naturą.

Dziękuję za tę wspólną wędrówkę z Donimirem i z całego serca życzę Tobie dobrostanu.



Benedykt Kropiewski

Bartłomiej Toszek

WYBORY MISS

Najpiękniejsza stanęła już na honorowym miejscu, witana grzotem oklasków. Spływające łzy powoli rozmazywały jej makijaż, usta drżały z emocji. Z całej sylwetki emanowało jednak poczucie szczęścia.

- Brawo! Brawo! – wołała publiczność.

- A oto, proszę państwa – rozległ się głos konferansjera – nadeszła ta chwila! Ubiegłoroczna miss przekazuje swoje insygnia nowej, by mogło się rozpocząć kolejne panowanie!

Brawa nie ustawały. Poprzednia miss zbliżyła się do nowowwybranej i stanąwszy na niewielkim, drewnianym stołeczku (obie panie dzieliła duża różnica wzrostu) ucałowała ją głośno w oba policzki, a następnie zarzuciła jej na plecy swój płaszcz. Był to czerwony, zamszowy płaszcz, obszyty białą lamówką w czarne ciapki, która miała imitować gronostajowe futro. Od częstego używania (płaszcz bowiem był przechodni, a kolejne miss używały go jako szlafroka) zdążył się już miejscami powycierać i spłowić. Następnie, zdjęła plastikową koronę, którą umieściła na głowie swojej następczyni, zgrabnie umocowując solidną gumką do majtek. Na koniec, delikatnie wysunęła się z przepasującej ją papierowej szarfy, którą podniosła z ziemi i włożyła na nową miss, spinając z wyczuciem kilkoma agrałkami.

- Wie pan – szepnął z zażenowaniem przewodniczący jury do stojącego obok dziennikarza znanej zagranicznej agencji – jesteśmy przecież dosyć ubogim krajem...

NAUCZYCIELE

Pani Bogumiła, nauczycielka matematyki w liceum, nerwowo spoglądała na zegarek. Była już prawie pierwsza po południu. Niecierpliwym ruchem poprawiła kołnierz koszuli i niechętnie popatrzyła na klasę.

- Na dzisiaj koniec – powiedziała – ale odrobimy to w przyszłym tygodniu.

Cichy entuzjazm, jaki pojawił się na twarzach uczniów, tak jak przypuszczała, po jej wyjściu zamienił się w chórny ryk radości.

- No, cóż – pomyślała – odbiję to sobie na was kiedy indziej.

Tymczasem jednak nie mogła marnować ani chwili. Przecież każda była tak cenna. Chwyciwszy mocniej dziennik, pędem wbiegła na pierwsze piętro budynku. Chociaż do dzwonka było jeszcze daleko, już na schodach zderzyła się z koleżankami, chemiczką Anną i polonistką Wioletką. One także zmierzały w tym samym kierunku.

Stopniowo na korytarzu gromadziło się coraz więcej nauczycieli. Przychodzili z parteru, schodzili z drugiego piętra, wymykali się cicho ze swych sal, pozostawiając osłupiałe klasy, albo ostentacyjnie głośno zamykali drzwi, aby później przemknąć się korytarzami szkolnymi na paluszkach. Każdy z nich, prowadzony tym samym pragnieniem, podążał tam, gdzie pozostali. Świadomość łamania obowiązujących reguł i sięgania po zakazany owoc powodowała, że ich twarze spływały potem, oczy były rozbiegane, a ręce drżały podnieceniem.

Niemal jednocześnie dopadli ubikacji, znajdującej się naprzeciwko pokoju nauczycielskiego. Jeszcze tylko zamknąć drzwi i okna, upewnić się, że nikogo nie ma w kabinach i już można rozpocząć ceremonię. Polonistka wolno wyjęła z kieszeni dwie wymięte paczki papierosów.

- Dzisiaj – wyszeptła z radością – dzisiaj wystarczy dla wszystkich...

PARKING

Wszystko zaczęło się kilka miesięcy temu, kiedy panu Grzegorzowi spod ósemki ukradziono forda. Nie byłoby to nic szczególnego dla pozostałych mieszkańców osiedla, gdyby nie fakt, że podobnie jak w przypadku innych kradzieży (które ostatnio bardzo się nasiliły) nie udało się ustalić jej sprawcy. Blokady, alarmy, monitoring – to wszystko okazało się nieskuteczne. Po kradzieży forda jednogłośnie podjęto decyzję o spotkaniu wspólnoty mieszkańców i przedyskutowaniu sprawy. Po długiej dyskusji przyjęto wreszcie propozycję zorganizowania nocnych dyżurów. Za złapanie złodzieja dyżurni mieli otrzymać nagrody, gdyby jednak podczas ich dyżuru zniknęło kolejne auto, mieli zostać ukarani naganami.

Rzeczywiście, system szybko wprowadzono w życie i już jakiś tydzień później nasz parking został uznany za dosyć bezpieczny. Zdarzały się oczywiście przypadki, iż ktoś z dyżurnych poturbował gówniarza, który próbował porysować auto, ale przecież tego nie można było traktować poważnie. Dopiero w połowie lipca wydarzyło się coś naprawdę istot-

nego. Około północy, pełniący dyżur panowie Roman i Tadeusz zauważyli skradającą się postać. Obaj zareagowali błyskawicznie, rzucając się na napastnika i obezwładniając go. Okazało się, że jest nim groźny włamywacz, którego od kilku lat poszukiwała policja. Mieszkańcy osiedla z radością skonstratowali, że wprowadzony system dyżurów jest skuteczny. Samo wydarzenie było szeroko komentowane w mediach lokalnych. Ja sam udzieliłem w tej sprawie wywiadu w lokalnej telewizji.

Wówczas, na kolejnym zebraniu osiedlowym postanowiono zarejestrować ze spół, pełniący dyżury jako stowarzyszenie. Wyłoniono jego władze i określono strukturę organizacyjną.

Mijały dni, a nasze stowarzyszenie (co raz częściej określane też jako związek) funkcjonowało bardzo aktywnie. Wkrótce rozciągnęło swoją działalność na całe osiedle, strzegąc samochodów wszystkich jego mieszkańców. Przyznano nam także lokal.

Pod koniec lipca, nowy członek zarządu, pan Adolf znowelizował nasz statut, powodując, iż organizacja stała się jeszcze bardziej prężna. Na jego wniosek nieporęczne określenia: „organizacja”, „stowarzyszenie” zastąpiono na wpadającą w ucho „unię”. Pełna nazwa brzmiała: Unia Obrony. Po zmianach statutowych każdy członek miał obowiązkowe dyżury, od których nie wolno się było uchylać (pod groźbą grzywny, do których egzekucji powołano komórkę windykacyjną). Zakupiono także odznaki z napisem „UO”, a także pałki – które w założeniu miały służyć odstraszaniu potencjalnych przestępców. Ze składu zarządu wyłoniono szefa, którym został pan Paweł.

Mówiło się o nas coraz więcej, w tym również w mediach ogólnokrajowych i zagranicznych. Rozpoczęliśmy szkolenia grup z innych osiedli, miast i regionów.

Niestety, wkrótce pan Paweł musiał ustąpić. Złapanego złodzieja samochodów pobił bowiem tak bardzo, że ten zmarł w szpitalu. Silne wsparcie opinii społecznej i przychyłność organów sądowych sprawiły, iż wkrótce pan Paweł znów był z nami. Jednak w międzyczasie jego funkcję przejął pan Adolf. Zresztą zaczęły do nas dochodzić niepokojące pogłoski, że ten Paweł to jakiś niepewny element, który w przeszłości opowiadał się za resocjalizacją. No, kogoś takiego nie mogliśmy przecież tolerować w naszych szeregach.

Adolf wprowadził mundury, stopnie i dystynkcje. Każdy z nas dostał uniform organizacyjny. Potem przyszła kolej na straszaki, a wreszcie prawdziwą broń.

Czasem, kiedy dochodzą mnie pogłoski o wybuchających tu i ówdzie zamieszkach, zastanawiam się, czy dobrześmy to wszystko urządzili. W gruncie rzeczy chodziło tylko o ochronę parkingu, a nie przejęcie władzy w kraju. Mimo wszystko jednak cieszę się, iż numer mojej legitymacji partyjnej to 18 – daje mi to szereg przywilejów, zastrzeżonych tylko dla najstarszych działaczy. Kto wie – może kiedyś zastąpię nawet Adolfa na jego stanowisku?

ODKRYCIE

Szedłem sobie lasem, kiedy nagle go zauważyłem. Nieduży, właściwie całkiem

małutki człowieczek w czerwonej czapeczce.

- Hej, hej! – zawołałem.

Spojrzał na mnie chłodno.

- Słucham pana, o ile do mnie się pan zwracał... A w ogóle proszę nie krzyczeć. Słyszę doskonale, kiedy mówi się do mnie normalnym tonem.

Głupio mi się zrobiło, toteż zdołałem z siebie jedynie wydukać:

- Chciałem tylko... yyy... to znaczy... to wy istniejecie?!

- Naturalnie. Przecież nasza egzystencja została już wykazana w szeregu dzieł naukowych, z których wystarczy chociażby przytoczyć „O sierotce Marysi...” czy „O królewnie Śnieżce”. Niestety, większość ludzi nadal uważa na za istoty bajowe, a nie za integralny, acz wyaliewany substancjonalnie składnik ich teraźniejszości, dodajmy – teraźniejszości wegetatywnej...

- No, tak – przerwałem – ale jesteś, to znaczy, ale pan jest taki mały i...

- Och – zachnął się – cóż za przykład ludzkiego prymitywizmu. Wszak ilość nie jest równoznaczna z jakością! Co pan wie o naszej kulturze, sztuce, literaturze? Kiedy wy błędziście jeszcze na manowcach romantyzmu, my już wkraczaliśmy w erę postmodernizmu, a stanowiące dla was wyzwanie problemy społeczne były już przez nas dawno rozwiązane.

Popatrzył na mnie z nieukrywanym lekceważeniem i dodał z przekąsem:

- Ech, wy... ludzie...

Po czym odwrócił się i zaczął iść w swoją stronę. Rozdeptałem go. Co się będzie taki wymądrzał...

ZDRADA

Lady Barbara popadała w coraz większą desperację. Chociaż od dnia ślubu z sir Humphrey'em minął już niemal rok, małżonek nie wykazywał najmniejszego zainteresowania swoją młodą, piękną żoną nawet nocą. Po wielu bezowocnych próbach przypodobania się mu, lady Barbara zmieniła taktykę i popełniała niezliczone *faux pases*. Jedynym, co udało się jej osiągnąć było jednak to, że sir Humphrey odzywał się do swojej żony coraz rzadziej i skąpiej. Wreszcie, znając ogromne znaczenie, jakie jej mąż przywiązywał do honoru swojej rodziny i swojego osobiciście, lady Barbara postanowiła uchwycić się ostatniej deski ratunku...

Kiedy więc pewnego wieczoru, sir Humphrey wszedł do sypialni swojej żony i zastał ją w objęciach kamerdynera, radość lady Barbary nie miała granic, gdy zobaczyła jak jej flegmatyczny mąż bez słowa zdejmując ze ściany dubeltówkę. Przez moment po plecach kochanków przebiegł zimny dreszcz. Gdy jednak sir Humphrey bez słowa wyszedł z sypialni, uświadomili sobie, iż przecież jutro rozpoczyna się sezon na bażanty.

Dziwnym trafem, następnego dnia zamek Clarendon spalił się wraz z lady Barbarą oraz kilkoma osobami ze służby, w tym kamerdynierem Peterem. Sir Humphrey dowiedział się o tym dopiero po powrocie z polowania. Wiadomość o tragedii przyjął mężnie – jak na potomka jego rodu przystało.

BAJKA

(O królownie zaklętej w żabę)

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami i morzami żył sobie stary król, który miał trzech synów. Każdy z królewiczów był piękny i silny, a mądrością podzielili się tak, że najstarszy miał jej najwięcej, średni – średnio, a najmłodszy – najmniej.

Pewnego razu król wezwał synów do siebie, ale że staruszek miał już sklerozę i nie pamiętał, o co mu chodziło, odesłał ich z powrotem. Kilka razy tak posyłał po nich i odsyłał, aż wreszcie za którymś razem powiada:

- Dzieci moje, czas wam już żony wybrać. A że jest to sprawa ważna, postanowiłem, iż ten, który wybierze sobie najpiękniejszą dziewczynę, ten właśnie obejmie po mnie koronę i królestwo.

Zaraz też wezwał król wróża, który ze starych podań zaczerpnąwszy wzorów orzekł, że każdy królewicz powinien strzałę wystrzelić, a tam gdzie ona padnie – iść i małżonkę brać.

Szybko więc starszy królewicz przybiegł z kuszą i z niemałym trudem ją naciągnąwszy, wypuścił strzałę na zachód. Długo leciała jego strzała, długo podążał za nią królewicz, a przybywszy do wielkiego miasta odnalazł strzałę zatopioną w piersi urodziwej dziewczyny. W ten sposób pierwsza z kandydatek na królową odpadła.

Drugi z młodzieńców przytaszczył wielki łuk i wystrzeliwszy zeń strzałę, pobiegł jej śladem na północ, aby ujrzyć swój cel. A były nim sioła wiejskiej zagrody, z których średni królewicz wywiódł swoją żonę – córkę sołtysa. Ale, żeby cudownym zdarzeniom, w które obfitują baj-

ki stało się zadość, królewicz otrzymał także cudowną piszczałkę. Ilekroć na niej zagrał, tyle razy jego żona przybywała doń w okamgnieniu. I tą właśnie piszczałką, dla większego efektu, zagrał przed królem i zgromadzonym dworem. Niestety! Królowna, przeleciawszy setki mil, z wielkim impetem wyrznęła w mury zamkowe i już jako nieboszczka osunęła się do fosy. W dalszej części bajki występuje już jako strzyga.

Z kolei najmłodszy królewicz, wystrzeliwszy z procy, znalazł na wschodzie swoją wybrankę pośród zielonego stawu. Na nieszczęście, ta królowna była zaklęta w żabę. Była to jednak jedyna spośród synowych, która dotrwała do przedstawienia królowi. Ten zaś, choć ze ściśniętym sercem, spełnił swą obietnicę i oddał najmłodszemu synowi koronę i królestwo.

Wprawdzie dwa dni później zaklętą w żabę królowną znaleziono nieżywą w zamkowym śmietniku, jednak nie zmieniło to postanowienia starego króla. W ten sposób zaczęły się rządy Jana II Młota na Żaby.

PRZYPADEK NIEULECZALNY

- No, i jak wam z nim idzie?

- Nie, proszę pana – odparł ordynator – to nieuleczalny przypadek. Zresztą, chodźmy, sam pan zobaczy.

Pacjent stał w niewielkiej Sali o gumowych ścianach, a my obserwowaliśmy jego poczynania z góry przez lustro weneckie.

- Coś panu pokażę, tylko proszę się nie przestraszyć. Zapewniam, że nic się nie stanie.

Do sali wpuszczono tygrysa. Dziśki zwierz, bijąc ogonem po bokach, na sztywnych łapach, ruszył w głąb pomieszczenia. Jego ślepią skrzyły się ponuro, a uniesione dziaśła ukazywały olbrzymie kły. Z gardła dobiegał głuchy warkot. Wariat wyraźnie się ucieszył i podbiegł do tygrysa.

- Kici, kici! – zawołał. Zasłoniłem oczy. Kiedy je odkryłem, wciąż jeszcze żył. Szybko, jak jaszczurka, wymykał się tygrysowi, biegając wokół niego.

- Berek!

- Sam pan widzi – jęknął lekarz.

Ocknąłem się. Nade mną świeciło lustro, odbijając szarość otaczających mnie ścian. Nie widzę go, ale wiem, iż tam jest i obserwuje mnie. Znowu wpuści tygrysa, a ja znowu będę musiał uciekać, kryć się i chować. I nikt nie wie, że to wcale nie jest zabawa, bo to nie ja jestem szalony, lecz ordynator. Moim zdaniem to nieuleczalny przypadek.

ŁABĘDZIE

Szedłem sobie tą samą przecinką leśną, którą zawsze patroluję, gdy nagle usłyszałem jakieś krzyki i coś jakby geganie. Cicho podkradłem się do miejsca, skąd dochodziły odgłosy. Patrzę – a tam, na podmokłej polance siedzi stado łabędzi. Już chciałem odejść, gdy łabędzie powstały, wstrząsnęły się i odrzuciły pióra, a w ich miejsce na polance pojawiło się dwanaście pięknych dziewcząt. Inaczej niż w bajkach, gdy wyłoniłem się spośród drzew, nie uciekły, a nim ponownie zamieniły się w łabędzie i odleciały,

pozostawiły mi komplet piór i poinstruowały, jak się nimi posługiwać. Oczarowany ich urodą, postanowiłem lecieć za nimi i nałożyłem na siebie pióra. Łabędzie zatoczyły krąg w powietrzu i wolno skierowały się na wschód. A ja zaplątałem się w te cholerne pióra i zostałem na ziemi. Po kilku godzinach zaprzestałem prób odlotu i wyswobodziłem się z kostiumu. Posiedziałem na polance kolejnych parę godzin, a kiedy łabędzie nie wróciły pojechałem do miasta i kupiłem sobie strzelbę. Teraz znowu czekam na łabędzie...

EGZEKUCJA

Antoine Frascatti przyglądał się swoim oprawcom z wysokości szubienicy. Wielkie, nalane gęby amerykańskich wieśniaków wykrzywione wściekłością i triumfem. Nawet strach nie był w stanie wyprzeć obrzydzenia, jakie w stosunku do nich odczuwał. Gęsty tłum, dość jednostajnie ubrany w przyszarzałe od kurzu łachy, szemrał między sobą, od czasu do czasu wybuchając głośniejszym gwarem. Kat, który przez chwilę naradzał się z szeryfem, teraz odszedł do balustrady szubienicy (Frascatti nigdy nie mógł nadziwić się precyzji, z jaką Amerykanie montowali swoje narzędzia do uśmiercania) i pochyliwszy się ku zgromadzonemu, zawołał:

- Uciszcie się, uciszcie!

Tłum zafalował, zwracając się w stronę szubienicy i milkł stopniowo. Po głośnym okrzyku kata, rozległ się szemrzący głos szeryfa, który przypomniawszy przewinienia oskarżonego, uzasadnił pokrótce decyzję mieszkańców, wskazu-

jąc na jej umocowanie w zasadach prawa i moralności. Jego mowa została nagrodzona brawami. Następnie spytano, czy Frascatti pragnie przemówić, a gdy przecząco potrząsnął głową, szeryf odwrócił się do kata i skinąwszy ręką, powiedział po prostu:

- Już.

Frascatti poczuł, jak podłoga umyka mu spod stóp, a mocny sznur zaciska się na szyi.

- Bogu dzięki – pomyślał – gdyby zaciśnął się wyżej, złamałbym kark.

Usłyszał jeszcze okrzyk zgromadzonego tłumu i po kilku konwulsjach zawisł nieruchomo. Mieszkańcy, milcząc, powoli odchodzili do swoich domów. Na samotnej polanie pozostał tylko poruszający się na wietrze nieboszczyk.

Z nastaniem nocy Antoine Frascatti odczepił sznur i odszedł z niegościnniej okolicy.



Benedykt Kropiewski

Magdalena Zybowska

Uwielbiam jazdę autobusem

Przedemną dwie kobiety w średnim wieku:

- Mąż tej z góry

- Asi

- Tak, wczoraj znów był u Kaśki

- Ta baba rozwala takie przykładowe małżeństwo

- Biedna Asia o niczym nie ma pojęcia a ten kozaczek codziennie chadza do Kaśki

- Dobrze żeby ktoś jej powiedział

- No

- To może my?

- Nie

- Dlaczego?

- Bo jej nie lubimy.

Koniec rozmowy i zmiana tematu

Zadzwoiła do mnie koleżanka:

- Cześć Madziula, wiesz kupiłam sobie cały osprzęt do strzyżenia. Teraz to dopiero mój men będzie pięknie wyglądał... hehehe

- Powiedz mi tylko jak zrobić żeby nie było widać tego cholernego odcięcia pomiędzy górą a bokami i tyłem?

- Wiesz jednak bez cieniowania nie wygląda to najlepiej ...

Z automatu przypomniał mi się tekst mojego faceta

- Cześć ale wiesz ... gdy kupisz sobie zestaw garnków to nie oznacza, że umiesz gotować!

Dzięki temu nie stajesz się MasterChefem kuchni ...

- Madziula no tak fakt ... masz rację. Pieprzę to... ogolę Go na łyso.

Taka sytuacja dzisiaj

- Hej fajnie, że jesteś była w pobliżu

- Cześć wchodzi... kawa czy herbata?

Kilka minut luźnej rozmowy

- Sorki mąż dzwoni.

- Coś się stało kochanie? Wiem, wiem...

O co Ci zaś chodzi? Od kilku godzin siedzę u Magdy... Kolejne kilka minut rozmowy

- Ejjjj Twój mąż dzwoni

- Cześć

- Magda czy Aśka jest u Ciebie?

- Tak, jest

- A o której przyszła?

- Nie patrzyłam na zegarek

- Dobra, dzięki i fajnego weekendu.

Hymmm ... Nie komentuję jej oszustwa bo to ich życie ... nie będę za nikogo kłamać ... faktycznie nie patrzyłam na zegarek ... Tak się zastanawiam jak bardzo

trzeba być głupim a może naiwnym żeby dzwonić do koleżanki swojej żony co by potwierdzić jej wersję wydarzeń? Dziecinna i śmieszna sytuacja.

Faceci ...

- Powiedziałeś jej, że nie masz dziewczyny? dlaczego?

- Bo nie mam!

- Tak, a ja to niby kur... co?

- Ty jesteś moją kobietą.

Zdziwienie kobiety i pewność tego facecia rozwalające

W poczekalni u fryzjera

- Miśku co się stało?

- Nie mówiłem, że coś się stało

- O co Ci chodzi?

- Kto powiedział, że tak jest?

- Co zrobiłam?

- To jest właściwe pytanie... patrzyłaś na tego mężczyznę tak jak na mnie 13 lat temu.

- Żartujesz ?

- Już widzę Was w kawiarni wpatrzonych w siebie

- Ja widzę nas w hotelowym pokoju

- Żartujesz?

Nastała krępująca cisza ...

Medycyna pracy/badania!

Nawet nie wiem jak to nazwać

- Leki na stałe jakieś?

- Tak

- Pod kontrolą specjalisty jest?

- Tak

- Rodziła?

- Tak

- Operacje jakieś były?

- Tak

- Zakrywamy jedno oko i czytamy trzecią linijkę, teraz drugie oko i ta sama linijka od końca

- 60/50/90 Pani zawsze ma takie niskie ciśnienie?

- Tak

- To dobrze, nie za niskie, aaa dobrze

- Albo jest Pani zdrowa albo nie, więc jak ocenia Pani swój stan zdrowia bardzo dobrze, dobrze, średnio, źle?

- Dobrze

- Proszę tu podpisać pod moją pieczęcią.

Kiedys chociaż podstawowe badania zrobili i przynajmniej osłuchali człowieka.

Co to miało być?

Nie od dzisiaj wiadomo, że mężczyźni nie lubią i nie chcą chodzić do lekarza. Znamy te wszystkie dziwne wymówki typu: „nic mi nie jest”, „nie martw się” albo „samo przyszło samo pójdzie” itd. Tym razem wzięłam termin specjalnie najpóźniej jak się dało wystarczyło tylko wyjść dosłownie pół godziny wcześniej

z pracy. Normalnie ręce mi opadają bo ta cholera i tak nie poszła do lekarza. Wymówka „nie udało się skończyć wcześniej” Nie od dzisiaj też wiadomo, że potrafię być wredna ale żeby nie było dobre serducho mam więc nic mnie to nie obchodzi jutro ostatnia szansa na odwiedzinę lekarza.



Benedykt Kroplewski

Filozof w labiryncie lego



Benedykt Kropiewski

*Dość wytoczyli bań próżnych przed domy kalecy,
Żyją, jak żyli, bezwolni, głusi i ślepi.
Nie współczuj, szkoda łez i żalu,
Bezbarwni są, bo chcą być szarzy.
Ty wyżej, wyżej bądź i dalej
Niż ci, co się wyzbyli marzeń.
(...)*

W. Bellon, *Bukowina II*

*Pamięci Władka Nadopty – Majstra Biedy
z Miasta Lwowa (15.05.1922 – 18.06.2005)*

Cofnijmy się o dwie dekady. 21 lat temu w numerze 2/59 (2002) *Ruchu Filozoficznego [RuF]* (ss. 215-217) jego redaktor naczelny, logik i filozof – prof. Leon Gumański (1921–2014), zamieścił niewielki tekst, zatytułowany *W sprawie granic filozofii*.

Punktem wyjścia logika były słowa jednego z poprzedników na stanowisku naczelnego *RuF* – Tadeusza Czeżowskiego. Pisał on tak: „Nazwa *f i l o z o f i a* obejmuje zwykle zespół dyscyplin, dotyczących zarówno świata, jak człowieka w nim, do których zalicza się najczęściej jako poszczególne *n a u k i f i l o z o f i c z n e*: metafizykę, teorię poznania, czyli epistemologię (gnoseologię), estetykę, logikę, psychologię i historię filozofii. Wiąże je między sobą wspólny rozwój historyczny, podobieństwo w traktowaniu zagadnień, związki treściowe oraz pewien charakterystyczny

stosunek do nauk zarówno przyrodniczych, jak humanistycznych i matematyki. Stosunek ów polega na tym, iż pewne nauki filozoficzne a) mają za przedmiot inne nauki, rozważając ich zadania, metody, budowę, sposób powstania i rozwoju, b) zajmują się krytyką i analizą twierdzeń i pojęć, które tworzą założenia innych nauk, c) łączą i uzupełniają wyniki, uzyskane przez inne nauki, aby utworzyć z nich jednolitą i systematyczną całość poznania naukowego”.¹

Dla Czeżowskiego i Gumańskiego, a już na pewno dla twórcy w roku 1911 *Ruchu Filozoficznego*, prof. Kazimierza Twardowskiego, filozofia musiała być dyscypliną w pełni naukową. Naukowym zaś było jedynie to, co ściśle podporządkowywało się wymogom logiki.

Prof. Gumański przytacza w przywoływanym tekście zdanie Bertranda Russela: „I think logic is an essential part of philosophy and logic has to be used by philosophy – Postrzegam logikę jako istotę filozofii, stąd filozofia musi posługiwać się logiką”², jako argument za prawdziwością powyższej tezy.

Czas, który łamie kanon dotychczasowego pojmowania filozofii, to według autora *W sprawie granic filozofii* okres po I wojnie światowej. Píše naczelny *RuF*: „(...) procesy, zapoczątkowane jeszcze w latach dwudziestych

¹ Czeżowski T., *Główne zasady nauk filozoficznych*, Wrocław 1959, wyd. 3, s. 224 i nast.

² Edwards P., Pap A., (red.), *A modern introduction to philosophy*, N. Y. 1966, s. 490.

ubiegłego wieku, zwłaszcza działalność Koła Wiedeńskiego, odmawiającego sensu metafizyce i pojawienie się egzystencjalizmu sprawiły, że stopniowo obraz filozofii stawał się coraz bardziej rozmyty. Toteż już w 1971 roku William T. Blackstone (University of Georgia) widział się już zmuszonym uznać, że filozofia nie ma wyraźnie określonej tematyki, zajmuje się niemal wszystkim i ten brak ograniczeń różni ją od nauk szczegółowych.³ (...) Zmusza to do postawienia zasadniczych pytań o istotę i d o p u s z c z a l n e f o r m y filozofowania.⁴

Gumański poprosił następnie o nadsyłanie do redakcji *Ruchu Filozoficznego* „uzasadnionej wypowiedzi w następujących kwestiach:

1. Czy możliwa jest obecnie adekwatna definicja „filozofii”? Jeśli tak, to jak ma brzmieć?
2. Jakie cechy powinien mieć tekst, aby mógł być zasadnie uznany za filozoficzny?”⁵

Apel logika jakiś odzew zyskał. Wielki na pewno nie, bo środowiska naukowe nie są zbyt skore do dzielenia się poglądami na tematy zasadnicze. Tym niemniej rozmawialiśmy wówczas na temat owej mini-ankiety. I np. w dalekim od *RuF* miejscu, bo w znacznie szerszej tematycznie *Ulicy Wszystkich Świętych*, odpowiedzi się pojawiły.

„Należę do kręgu osób, które bliskie są upatrywaniu w filozofii

specyficznej formy kultury. Jakiej „wiedza” jest uprawniona na równi z „wiedzą” nauk przyrodniczych, humanistycznych czy... religii. Gdzie bardziej chodzi o sam **proces dociekania** „prawdy” (możliwej na danym poziomie informacyjnym), niżli o zakomunikowanie światu, iż właśnie ową „prawdę” odkryliśmy i teraz pozostaje już tylko podzielić się z innymi, w dodatku mocno opornymi, gdy chodzi o przyjęcie istotnych *novum*. (...)

[Przez 50 lat, następujących po cytowanej wypowiedzi prof. Czeżowskiego] w zastraszającym tempie rozrosła się liczba „filozofów”, czyli ludzi zawodo- w o, w progach wyższych uczelni, zajmujących się filozofowaniem. O punktach za pochodzenie, wydłużeniu drogi do samodzielności zawodowej poprzez choćby przymus uzyskania nie stosowanego poza „demoludami” stopnia „dr hab.” i okraszaniu nawet książek, dotyczących greckich podstaw filozofii Śródziemnomorza cytata- mi z tow. Lenina – lepiej nie wspominać. **Tak było.** Ale owa byłość rzutuje lawinowo na teraźniejszość polskiego „stanu posiadania” myśli filozoficznej. (...)

Spóźnione o dziesięciolecia tłumaczenia, (...) brak samodzielności myślenia, nade wszystko zaś traktowanie filozofii jako źródła w miarę stabilnych dochodów, przy niewielkim nakładzie pracy (...) prowadzić mogły (i doprowadziły) do stanu, który prof. Gumański określa jako „przejawy beztroskiej ekwilibrystyki pojęciowej czy żonglerki słownej”. (...) Tymczasem śmieszne sumy za translacje, książki i inne, drobne publikacje – nie mogą być zachętą nawet dla początkujących filozofów. Pozostaje ETAT – Bóg, który sprawia, iż myśli krążą wol-

niej i po stałych orbitach. (...) Młodzież szuka dziś wiedzy poza murami uczelni, uniwersytety i akademie traktując jako zło konieczne, niezbędne dla uzyskania dyplomu. (...)

Przyspieszenie, odczuwalne nie tylko w astrofizyce, genetyce czy informatyce (...) pociąga za sobą nieadekwatność aparatury pojęciowej do posiadanego „przed chwilą” stanu wiedzy. Toteż zgodzić mi się wypada z naukami prof. Baumana, który zaleca tworzenie nowych, lepiej przystających do realiów – także płynnych – siatek pojęciowych. (...)

[Interdyscyplinarność prac naukowych i filozoficznych] z jednej strony pozwala (...) ludziom bez wyobraźni skrywać własne braki wiedzy i logiczne błędy za parawanem „nowej jakości”, zazwyczaj jedynie postulowanej. Tym niemniej (...) interdyscyplinarność może być, przy uczciwym podejściu badaczy (czyli dążeniu ku prawdzie i **znajomości** dziedzin, od których **zapożyczają** metody i wiedzę) szansą na wyjście filozofii (i nie tylko jej) z obecnego **zastoju**. Żadnego tam „**końca**”, bo filozofować będziemy raczej po kres ludzkiej cywilizacji, tylko wciąż inaczej.

Owo kolejne już „inaczej” właśnie się staje. I jest szansą – skwapliwie wykorzystywaną – dla dziesiątek jednostek odtwórczych, nie: twórczych, by błysnąć niezrozumiałością lub, co gorsza, niezrozumieniem podstawowych elementów filozoficznej tradycji, serwowanych jako „odkrywcze interpretacje” czy poglądy. (...)

Separując się od realiów, filozofowie stają się po prostu **jeszcze jedną grupą zawodową** o niedookreślonej

dziedzinie zainteresowań – pracując tym na własną zgubę.

Sytuacja obecna przypomina składanie absolutnie sztucznego, wykoncypowanego świata, z doskonale przygotowanych do montażu klocków lego. Każdy klocek to jakiś element śródziemnomorskiej tradycji. Niby je znamy, umiemy ocenić ich wartość poznawczą i realną przydatność. A jednak, biorąc pod uwagę indywidualne preferencje i uwarunkowania badaczy, za **każdą** próbą **każdego** z budowniczych otrzymujemy niemal tożsamy *ersatz* myśli. Nic dziwnego tedy, że poszukiwacze wiedzy, nie znajdując jej w filozofowaniu akademickim, sięgają po aforystykę, wybitne dzieła sztuki i (zróżnicowane) tradycje Wschodu.”⁶

Jeszcze ostrzej rzecz postrzegala Anka Kamińska (dziś Instytut Dziennikarstwa i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie).

„Filozofię zawsze odczuwałam jako przenikanie w bezgraniczność, w bezmiar i bezładność chaosu, dlatego też nie uważam, iżby zachodziła możliwość, a tym bardziej konieczność kreślenia jej granic. (...)

Nie rozumiem, co miałoby oznaczać „właściwe rozumienie terminu <filozofia>”, które rzekomo miałoby być naruszane przez „rozmaite utwory, kwalifikowane przez autorów – a nawet wydawców – jako filozoficzne”. Czy którykolwiek z redaktorów czasopism filozoficznych może poczuwać się do posiadania nieomylnego nadroczumu, zdolne-

³ Blackstone W. T., (red.), *Meaning and existence. Introductory readings in philosophy*, N. Y., Chicago 1971, s. 490.

⁴ Gumański L., *W sprawie granic filozofii*, (w:) „RuF”, t. LIX (2002) nr 2, s. 216.

⁵ Ibid., s. 217.

⁶ Przychodzki L. L., *Legoland*, (w:) „Ulica Wszystkich Świętych”, nr 11 (51), XI. 2003, ss. 6-8.

go kierować umysłami innych i wytyczać im „właściwe” tory? (...)

Być może istotnie właśnie bezgraniczność określa, czy specyfikuje myślenie filozoficzne, to, że w swojej żywiołowości zalewa ono wszelkie sztuczne tamy, nie utrzymując się w „dopuszczalnych formach”. Tak, uważam, iż w filozofii pomieści się sofistyka, retoryka, paradoks, irracjonalizm, subiektywizm, wieloznaczność, słowotwórstwo, poetyckość metafor, emocjonalność stylu, indywidualne formy wyrazu – wszystko, co zdolne jest oddać prawdę o człowieku w świecie. (...)

Nie podejmuję się sformułowania, a tym bardziej sprecyzowania definicji filozofii, ponieważ uważam za wątpliwe czy zbędne jej uściślanie i poddawanie surowym rygorom naukowości. W moim odczuciu **filozofia rozgrywa się poza nauką, we własnej, autonomicznej dziedzinie**, bliższej kreatywności poezji niż opisowi nauk. (...)

Z góry jasno określić kryteria oceny, to w zaślepieniu zastawić sobie wszelki widok. Wszak nie myśli ten, kto z góry już wie. **Myślenie i pisanie filozoficzne zmierza od pytania do pytania, zbudowane jest z pytań i nie zwykło po-przestawać na żadnej odpowiedzi.**⁷

Za chwilę okaże się, dokąd dążymy tym labiryntem z klocków lego. Bo nie jest to wcale wędrówka bez celu. A przynajmniej nie powinna nią być.

Na filozoficznym rynku księgarskim pojawiła się książka prof. Stefana Symotiu-ka, której nadano tytuł *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*. Nadano, ponieważ autor zmarł tuż przed Sylwestrem roku 2016 i przygotowywanego zbioru esejów ukończyć nie zdołał. Uczyniła to, z przy-zwoitym skutkiem, Iwona Zakrzewska, która też napisała wstęp do książki.

Piętnaście tekstów, powstałych na prze-strzeni około 30 lat, było już prezen-towanych w różnych wydawnictwach okazjonalnych. Wiodącymi kategoriami, wokół których konstruuje filozof swój obraz świata, labilny – jak labilną jest hi-storya (tak na poziomie jednostkowym, jak zbiorowym) i jej pojmowanie, są czas i przestrzeń.

Kto oczekiwałby od profesora Symotiu-ka przemyśleń bardziej abstrak-cyjnych – matematyczno-fizykalnych – tego podczas lektury spotka zawód. Był lubelski filozof i pozostał takim w swo-ich książkach – „przyjacielem ludzi”. Dla nich myślał, dla nich pisał, dla nich starał się być wymagającym, ale też intrygu-jącym dydaktykiem. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek, nawet w *stricte* prywatnych rozmowach, pretendował do roli Mistrza. Dlatego w oczach wielu nim był. Tradycja zen powiada, iż Praw-dziwym Mistrzem jest ten, kto nie zdaje sobie sprawy z własnej roli, traktując ży-cie jako misję wobec wiedzących mniej od niego.

Nie powstała dokoła auto-ra *Czasu przestrzeni...* żadna formal-na szkoła humanistycznego myślenia, acz dziwić się temu trudno. Ani realia (kilkanaście lat schyłku PRL-u, potem okres ekonomicznego zamordyzmu Le-

wandowskiego i Balcerowicza) temu nie sprzyjały ani zależności, istnieją-ce w machinach postkomunistycznych uczelni. Twórca jakiegokolwiek kręgu oddziaływania na studentów stawał się natychmiast osobą podejrzaną, wy-ra-stał bowiem ponad mierne otoczenie. A słynny wzorzec – tow. Stalin – skra-cał o głowę wszystkich, którzy nosili ją zbyt wysoko. Rektorzy i dziekani skracać już nie mogli, ale zatruć życie niepokor-nym i w dodatku zauważalnym naukowo pracownikom uniwersytetów potrafili bardzo skutecznie. Dzięki czemu (m.in. – są i inne powody) raporty ONZ za rok 2022 stawiają polskie uczelnie niżej od dwu szkół wyższych Bangladeszu, kraju istniejącego dopiero około 50 lat. Tam zresztą *gros* obywateli to analfabeci.

Co prawda profesor Symo-tiuk nigdy nie napisał autobiografii, a i w kręgach przyjaciół był wstrzeмиę-ziwy w wypowiedziach na swój temat, to jednak – podobnie jak u wielu ludzi myślących – da się jego autoświadomość scharakteryzować następującymi słowy: „Częściej autor tworzy, aby zrozumieć samego siebie, a jeszcze częściej towa-rzyszy mu świadomość, że ani sam siebie nie rozumie, ani nie rozumieją go inni”.⁸ Podstawowe kategorie ostatniej książ-ki ważne były dla autora o tyle, o ile kształtowały miejsce człowieka w świe-cie przyrody, pomagały w powstawaniu kolejnych form kultury i cywilizacji. Skądinąd dobrze pamiętam, iż Stefan Symotiu-ka za jedyną w pełni ukształto-waną **cywilizację** uważał Chiny. Kiedy

z grubsza uporał się z własnym zdaniem na temat przestrzeni i czasu, znalazł inne pola badawcze: filozofię i sztukę Witka-cego czy stany ludzkiego ducha. Poświę-cił im dwie książki, a na tym skończyć nie zamierzał.

Na tle zmienności pojmowania czasu i przestrzeni ukazuje prof. Symo-tiuk problemy z tzw. postępem i jego, niekoniecznie pozytywnymi, konse-kwencjami. Zauważa na przykład: „Tam bowiem [w chrześcijaństwie i nowożytnej teorii postępu] proces doskonalenia się człowieka i świata był pewny, ale stopniowy. Człowiek emancypował się od przyrody etapami, przeciwstawia-jąc jej kulturę i cywilizację. Natomiast w woluntaryzmie oraz skrajnym libera-lizmie Burckhardta i Nietzschego jest on wyemancypowany radykalnie, tyle że nie zawsze korzysta dostatecznie z przysłu-gującej mu kreatywności. Jest to jednak



⁸ Symotiu-ka S., *Biografia jako źródło i przedmiot wiedzy – wprowadzenie do problematyki*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 34.

⁷ Kamińska A., *Ograniczyć bezgraniczne – głos w dyskusji „w sprawie granic filozofii”*, (w:) „Ulica Wszystkich Świętych”, nr 2 (98), II. 2008, ss. 12-13.

jego prywatną sprawą.”⁹ Stefan Symotiuk zauważa, iż ludziom zdecydowanie łatwiej jest funkcjonować w świecie, gdzie procesy historyczne rozwijają się wolniej, mając okresy słabszego napięcia na przemian z przyspieszeniem i większą ilością wprowadzanych zmian.

Jednakże od czasów Antyku mamy do czynienia ze zjawiskiem, które filozof ocenia jednoznacznie: „(...) idea postępu zachęca (a może nawet przymusza) do tego, aby narzucać go innym. Progres to miły koncept dla despotów. Natomiast kunktatorstwo i działanie okrężne może być właśnie wyjątkowo humanitarne i roztropne”.¹⁰

Już Platon wszak, dzieląc ustroje na: monarchię, arystokrację, oligokrację i demokrację w każdym z nich dostrzegał pierwiastki dobra i zła. Tym niemniej akceptował je wszystkie. **Negatywne były dla niego nie ustroje, a – krwawe zazwyczaj – momenty przejścia od jednego do drugiego.** To tam z całą mocą objawiała się istota despotyzmu. Zło niekiedy tylko przywdziewa maski, po czym objawia się w całej okazałości. „Świat społeczny jest bowiem stale tak nietrwale zrównoważony i w tej jego dziwnej płynności wszystko jest prawidłowe, a więc prawidło traci sens. Wojny stale wiszą na włosku, co więcej: stale gdzieś toczą się regionalnie z tendencją do wciągania w swój wir sąsiednich podmiotów”.¹¹

Postęp był i jest wciąż pokupnym dla mas hasłem, wykorzystywanym

podczas przewrotów elit. Niemal za każdym razem postęp dla jednych znaczy tragedię dla innych. Powiada prof. Symotiuk: Teoria postępu jest właśnie takim przypadkiem unicestwienia etyczności „czystej” poprzez strukturę diachronii społecznej. Co więcej – przez kategorię *novum* dopuszcza ona bezinteresowne w sensie „pierwotności” dobro lub zło, wykluczając szansę na równie bezinteresowny „rewanż”, lecz dodatkowo, wskutek służebności każdego czynu wobec ostatecznego postępu i doskonalenia, usprawiedliwia ona zaistniałe zło, czyniąc je „złem koniecznym” lub „najmniejszym złem”, zaś dobro dokonane – odwrotnie – osłabia, gdyż ukazuje je również jako konieczne i instrumentalne, nie zaś dokonane wyłącznie z dobrej woli. W powyższym sensie teoria postępu jawi się jako koncept równie zły, a może nawet jeszcze gorszy od modelu wariabilistycznego, który służył nam tu za punkt odniesienia”.¹²

Jednocześnie jednak istnieją w historii momenty, kiedy postęp polega na odniesieniu do chwil minionych. Dzieje się to jednak rzadko, zazwyczaj wtedy, kiedy władcy (tak materii jak ducha) mają kłopoty i nie wiedzą, jak rozstrzygnąć je na swoją korzyść. „[w późnym Średniowieczu] uświadomiono sobie, że Przeszłość może być lepsza od Teraźniejszości i warto byłoby do niej wrócić lub ją przywrócić światu współczesnemu. Myśl o radosnym powrocie do dawnej czystości wiary i obyczajów tak długo chwiała podstawami Kościoła, że ten zdecydował się na „przelicytowanie” reformatorów ideą jeszcze większego „powrotu” w Przeszłość: ku formom

¹² Ibid., s. 54.

sztuki, kultury, literatury antycznej.”¹³ Niewątpliwie – Renesans był przełomem, tak w sztuce, jak naukach przyrodniczych. Co nie znaczy, by ograniczono się do kopiowania dorobku poprzedników. Na szczęście podążano dalej...

Filozofowie są dla lubelskiego znawcy kultury wyłącznie „użytkownikami” koncepcji, powstałych na gruncie matematyki i jej pochodnych. Powiada tak: „Filozofii (...) nie zależy na zwykłym ustaleniu trwałości świata i porządzeniu sobie z czasowością poprzez jej unicestwienie. Chce ona nie znieść czas i dynamikę, tylko uczynić je pozorem, epifenomenem, pewną ilością o nieistotnej roli. Te geometrie czy matematyki, które rozbijają kontinuum czasowe, niszczą czas zamiast go wytłumaczyć. Nie są więc filozoficzne. Przecinają węzły gordyjskie zamiast je rozwiązywać.”¹⁴

Dany stan wiedzy, tak filozoficznej jak naukowej, trwa na tyle długo, na ile *status quo* potrafią utrzymać tzw. autorytety i formułowane przezeń zalecenia i zakazy. „Nauka współczesna jest (...) pełna zakazów, które w swej genezie są równie irracjonalne, jak zakazy jedzenia wieprzowiny lub inne tego typu przesady. Filozoficzny program szkoły w Erlangen lansuje nawet ideę niezmienników, które byłyby rodzajem kodeksu zakazów, obowiązujących przyrodę tak, jak w przykazaniach Mojżesza aż osiem zakazów miało obowiązywać społeczeństwo. Zakazy są tu nawet

¹³ Symotiuk S., *Wartości i czas w <Panach dworskich> Velázquez’a*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 60.

¹⁴ Symotiuk S., *Filozoficzne aspekty problemu przestrzeni*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 87.

czymś pierwotniejszym niż prawa. Prawa swoją sensowność mają dopiero w świecie zakazów. Szkoła z Erlangen skrzętnie kolekcjonuje owe wzbronienia, jak zakaz Pauliego, nieprzekraczalną stałą Plancka, nieprzekraczalną stałą szybkości światła itp.”¹⁵

A jednak wszystkie kręgi kulturowe, choćby w oparciu o rządzące nimi prawa (pisane i nie) z jakichś względów nie potrafią nie konkurować. Ludzkie współistnienie to głównie rywalizacja, nawet chińska *wu wei* służy osiągnięciu zwycięstwa.

Prowadzi to do osadzenia ludzkości w świecie absurdalnym, czego większość podmiotów przez całe swoje życie nawet nie dostrzega. „Świadomość absurdów w organizacji świata ludzkiego (ale również przyrodniczego) w myśleniu filozoficznym i kreacjach artystycznych jest bardzo wyraźna. (...) Może się okazać prawdziwy i inny fragment snu Nabuchodonozora – utopia, iż „Bóg Nieba wzbudzi królestwo, które nigdy nie ulegnie zniszczeniu. Jego władza nie przejdzie na żaden inny naród.” Wszystko bowiem w świecie heterogeniczności i synkretyzmu jest możliwe. Niemożliwość też jest możliwa.”¹⁶

Zdaje sobie Stefan Symotiuk sprawę, iż tak przyszłość jak teraźniejszość są konstytuowane bardziej przez pragnienia i obawy ludzi, niżli przez zasoby ich wiedzy. Mało tego, zachodzi tu ciekawe zjawisko, dostrzeżone przez filozofa. „Wizje inwazji obcych cywilizacji (...), zniszczenia środowiska naturalnego

¹⁵ Ibid., s. 97.

¹⁶ Symotiuk S., *Czy istnieje historia prospektywna?*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 106.

⁹ Symotiuk S., *Czas historiozoficzny i jego konsekwencje etyczne*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 42.

¹⁰ Ibid., s. 45.

¹¹ Ibid., s. 51.

itp., traktowane są ze stoickim spokojem. Jak gdyby istniało podświadome przekonanie, że w mozaikowej historyczności zmiana fundamentalna zajść nie może. Tak bardzo zanurzeni jesteśmy w historię prospektywną, że prawie nie zwracamy na nią uwagi. (...) Tam, gdzie nie ma w czym lokować nadziei, poczucie brzemienia teraźniejszości staje się nie do zniesienia; skoro nie ma też gdzie „roz-mieszczać koszmarów”, realizują się one w teraźniejszości.”¹⁷

Wizje przyszłości mieszkańców Ziemi nie są, w przypadku prof. Symotiuka zbyt radosne. Postęp doprowadził do ukształtowania postaw eskapistycznych, gdzie szarą i trudną rzeczywistość zastępuje na skalę masową cyber-kultura. Píše filozof: „W najbliższej perspektywie widzę cyberprzestrzeń będzie żył w miastach cybernetycznych oraz uczestniczył w fabułach filmowych (np. jako detektyw).

Ten najbardziej aktualny stan przestrzeni medialnych możemy uznać za fazę „zwycięstwa szlaku nad kręgiem”. Widownia i jej przydział ról społecznych tracą na znaczeniu. Obserwatorzy stają się masowo aktorami. Widownia znika. Szlak wciąż wszystkich w ruch, nie daje szansy na bycie kibicem ani sędzią. Lub tylko stronnikiem. Świat bez obserwatorów jest filozoficznie kuriozalny, lecz do tego cywilizacja zmierza. (...) Cyberprzestrzeń uruchamia (...) tłumy, każe im maszerować. Na razie pojedynczo lub w małych grupach uczestników gier. Ale gra jest tylko treningiem do wyprawy pełnej, masowej. Toteż w sensie

cywilizacyjnym jest ta zmiana nową „totalną mobilizacją” mas, jaka może istniała w trakcie podbojów rzymskich, wędrówki ludów, krucjat lub wypraw kolonialnych. Nie bardzo widać taki rodzaj sztucznej przestrzeni, która stawiałaby opór układowi linearno-kolizyjnemu. Układ zaś taki oznacza albo depersonalizację uczestników (u zwierząt symbolika klucza żurawi), albo wojnę i spychanie się z drogi. W każdym razie zjawisko likwidacji widowni – przegrana *vita contemplativa* wobec symbolicznego *vita activa* – jest nadzwyczaj niepokojące i złowróżbne.”¹⁸

Co tedy pozostaje według Miśtrza z Lublina? Nadzieja i utopia. „(...) Ernst Bloch w dziele *Das Prinzip Hoffnung* uznaje jedną z cnót kardynalnych chrześcijaństwa - nadzieję - za podstawę sposobu istnienia człowieka w świecie. Ważniejszą niż wiara i miłość.”¹⁹

Utopie społeczne zaś stały się w ostatnim okresie jednym ze stałych tematów rozważań myśliciela. Dzięki zajęciu się nimi²⁰ prof. Symotiuk zmienił np. zdanie, dotyczące kontrkultury. Za szkodliwe uznał teraz te jej przejawy, które w swej „pasji czynienia postępu” potrafią rozsiewać wyłącznie niepewność i zło. Inne, jako przydatne społecznie,

¹⁸ Symotiuk S., *Socjokulturowy szyfr „sceny” i „widowni”*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, ss. 148-149.

¹⁹ Symotiuk S., *Eidetyka radości tryumfatycznej*, (w:) *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022, s. 277.

²⁰ *Utopie potrzebne od zaraz*, „TygiEL. Kwartalnik Elbląski”, 2006, nr 6, ss. 48-54 [wywiad ze Stefanem Symotiukiem, przeprowadzony przez Agnieszkę Brytan].

¹⁷ Ibid., s. 114.

zaakceptował. Był również stałym czytelnikiem mieleckiego półrocznika *Inny Świat*, którego nie da się podejrzewać o głoszenie „prawd” powszechnie uznanych. Przyjaźnił się też (bliżej lub dalej) z wielu niepokornymi twórcami, jakich (wcale nie tak rzadko) potrafił wspomagać finansowo.

Filozoficzne podejście do świata cechowało też profesorskiego pupila – dużego kota o imieniu Zenek. Zenek bowiem, w myśl doktryny *Per aspera ad astra* usilnie usiłował nauczyć się latać z poręczy balkonu. Którąś z prób zakończył niczym Ikar. Kolejnego zwierzęcego przyjaciela nikt już w domu autora *Czasu przestrzeni...* nie uświadczyl.

Byłych studentów Stefana Symotiuka rozrzuciło po świecie. Niektórych widziałby kiedyś chętnie w swoim zakładzie filozofii kultury, ale lubelskim

(innym także) autorytetom niekoniecznie potrzebna była konkurencja. W dodatku nieźle już operująca językami obcymi.

Gdyby zresztą profesor był osobą wszechmocną na uczelnianym gruncie, czy chciałoby by mu się prowadzić zajęcia tak, by rozbudzić w młodych ludziach pasję poznawczą i umiłowanie prawdy (tej ich własnej, najprawdziwszej)?

Ludzie odchodzą, myśl jednak zostaje. Pamięć zaś stara się ją chronić przed kurzem codzienności i interpretacjami idiotów.

Symotiuk Stefan, *Czas przestrzeni, przestrzeń czasu*, do druku przygotowała i wstępem opatrzyła Iwona Zakrzewska, ss. 306, Wyd. Norbertinum, Lublin 2022.



Wystawa fotografów prof. Zygmunta Baumana. Od prawej Przychodzki i jego Mistrz – prof. Stefan Symotiuk, Lublin – marzec 2010, fot. Agnieszka Brytan

O kilku motywach, zdobiących nagrobki na cmentarzach katolickich, ewangelickich, mennonickich, żydowskich pogranicza dawnych Prus Wschodnich i Zachodnich



Benedykt Kroplewski

Zagadnienia związane z nekropoliami są kulturowo wieloaspektowe, a w tym niewielkim artykule pragnę zwrócić uwagę na zjawisko wzajemnego oddziaływania motywów dekoracyjnych nagrobków z kilku cmentarzy różnych wyznań, znajdujących się na terenie Żuław Wiślanych oraz dawnych Prus Zachodnich. Rejon ten wybrany został nie przypadkowo, bowiem w granicach obecnej Polski, jedynie tutaj znajdują się stosunkowo blisko siebie cmentarze katolickie, ewangelickie, mennonickie i żydowskie ze stosunkowo licznymi nagrobkami, pozwalającymi dokonać porównania. Powojenny okres największych dewastacji nekropolii wprawdzie już minął (a jest to osobny temat), mimo to nadal wiele pomników nagrobnych ulega zniszczeniu.

Od lat prowadzone są z różną intensywnością badania naukowe, dotyczące nekropolii w tej części kraju, lecz ciągle w niewystarczającym zakresie są one publikowane¹. Praca Bernarda

Schmida, dotycząca Żuław Wiślanych, zawierająca konkretne dane, dotyczące nielicznych nagrobków, nadal pozostaje najważniejszą publikacją także i w tym zakresie². Podstawą pozostaje indywidualne rozpoznanie oraz dokumentacje konserwatorskie, daleko zresztą niepełne, jakie wykonywano w latach 70.-80. XX wieku. Jedynie tam opisane zostały i udokumentowane na kartach ewidencyjnych zabytków ruchomych wybrane nagrobki i często są to jedyne po nich ślady. Opracowanie zbiorcze cmentarzy żuławskich E. Filipskiej pozostają nadal w maszynopisie³.

Na cmentarzach żuławskich – katolickich, mennonickich, protestanckich – jedną z najbardziej popularnych form nagrobków była stela – kamienna⁴ płyta ustawiona pionowo, prostokątna lub o fantazyjnie wyciętych krawędziach,

J. Domino, *Na Żuławskich cmentarzach*, w: *Magazyn Elbląski* XII, 2006, z 3, s. 24-30.

² B. Schmid, *Die Bau- und Kunstdenkmäler des Kreises Marienburg*, *Bau und Kunstdenkmäler der Provinz Westpreussen*, Danzig 1919.

³ E. Filipka, *Cmentarze mennonitów, Żuławy i Dolina Wisły*, dokumentacja naukowo – historyczna PP PKZ Toruń 1978, mpis w archiwum WOZU w Elblągu.

⁴ Nieliczne znaleziska świadczą, iż były też stele drewniane – zachowany przykład z muzeum żuławskiego w Nowym Dworze, wzmiankowane u Filipskiej stela z cmentarza.

¹ Np. zbiór referatów o różnorodnej sepulkralnej tematyce w *Nekropolie Pomorza*, p. red. Józefa Borzyszkowskiego, Gdańsk 2011; *Nekropolie Warmii i Mazur*, p. red. w. Knercer i B. Waclawik; Olsztyn 2016; forma monografii – T. Żurkowska, *Mazurskie cmentarze symbole w krajobrazie*, Olsztyn 2008 r., czy też popularzatorskie, np. R. Klim, *Ślady menonitów w rejonie Nowego Dworu Gdańskiego*, w: „Zeszyty Żuławskie”, nr 1, Nowy Dwór Gdański 1995, s. 41 – 58.

zamknięta prosto albo zwieńczona naczółkiem klasycystycznym, parapetowym, trójkątnym, z akroterionami czy też postbarokowym szczytem o wykroju wklęsło-wypukłego łuku. Jedne zawierają jedynie inskrypcje, inne płaskorzeźbione przedstawienia motywów symbolicznych, nieraz w złożonym zestawieniu. Ocalało stosunkowo wiele tych obiektów, niektóre, przewrócone, przykryte ziemią, czekają na odkrycie i podniesienie (np. stele przy kościele w Tui, reproduktowane przez B. Schmid⁵, uznane za zaginione, odnalazły się pod murami kościoła).



Inne były przenoszone w celu ochrony w inne miejsca, takie jak cmentarz mennonicki w Stogach, czy lapidaria przykościelne np. w Cyganku lub Orłowie, a nawet prezentowane są w Muzeum w Malborku czy Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim. Jeszcze przed II wojną na posesji elbląskiego muzeum ustawiono kilka steli, z czego dotrwała do dzisiaj tylko jedna. Stele znajdowały się także, jak można wnosić z archiwalnych zdjęć, na cmentarzach miejskich, np. w Elblągu, jednak żaden taki przykład *in situ* się nie zachował⁶.

⁵ B. Schmid, op. cit., s. 340.

⁶ Współcześnie ustawiono zapewne dla dekoracji mennonickie stele z żuławskich

W niektórych miastach ostały się cmentarze żydowskie z kilkoma nagrobkami. Forma macewy jest bardzo zbliżona do steli, występują na nich podobne motywy zdobnicze i także na to podobieństwo zwracam uwagę, jako przykład wzajemnego oddziaływania⁷, trzeba podkreślić, niewielkiej społeczności żydowskiej w tym regionie, skupiającej się praktycznie wyłącznie w miastach.

Symbolika nagrobna na cmentarzach Żuław⁸ i dawnego *Oberlandu* jest bogata, ograniczę się jedynie do kilku motywów.

Motyw solarny, mniej lub bardziej czytelny, występuje w kontekście sepulkralnym od tysiącleci. Odnaleźć go można też na XIX-wiecznych stelach żuławskich, umieszczony bywa z reguły w polu wieńczącego naczółka. Cała tarcza słoneczna, jako całość, sama w sobie pełna jest wyobrażeniem światła, blasku, chwały opromieniając osobę zmarłą, przez to także uosobieniem raju,

cmentarzy przy nowym kościele p.w. św. Floriana w Elblągu.

⁷ Oddziaływanie sztuki chrześcijańskiej na żydowską nasiliło się szczególnie w II poł. XIX w., I. Rejdach – Samkowa, *Tradycje i style w sztuce żydowskiej*, w: *Tradycja i innowacja, Materiały Sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki*, Łódź, listopad 1979, Warszawa 1981, s. 150, o ile w innych regionach Polski Żydzi w miastach byli obecni już od Średniowiecza, w większości podkreślający swoją odrębność strojem, językiem i obyczajami to w miastach pruskich zamieszkalili, daleko mniej licznie, dopiero od k. XVIII w., praktycznie całkowicie zasymilowania, nie różniący się od innych mieszkańców. Trudno też stwierdzić czy macewy na terenie Prus były nawiązaniem do form z kirkutów polskich sztetl, czy naśladownictwem płyt z cmentarzy chrześcijańskich.

⁸ J. Domino, *Symbolika na żuławskich cmentarzach*, w: *Poradnik dobrych praktyk ochrony żuławskich zabytków*, Cedry Wielkie, 2009 s. 66 – 70.

którego dostąpiła, doskonałości mieszczącej w sobie antynomiczne znaczenie nieskończoności i całości – a wręcz samego Boga Ojca⁹, przygarniającego duszę do swojego majestatu. Motyw taki znajduje się i na nagrobku w Barcicach, umieszczony na tle wachlarza¹⁰. Na steli w Stogach na słońcu wyryty został krzyż, dla rozwiania wszelkich wątpliwości. W zwieńczeniu steli nagrobnej Marii Schröder z ok. 1859 r. na cmentarzu w Olszanicy tarcza słoneczna ma kształt elipsy¹¹. Dla wzmocnienia symboliki promienistego dysku umieszczano go wewnątrz wieńca, kolejnego symbolu chwały i takie wyobrażenie znajduje się na nagrobku Davida Johanna Wernera z 1862 r. w Olszanicy¹² z napisem *Ruhe Sanft In Grabe*. Czasami motyw pełnej tarczy słonecznej zastąpiony jest motywem kwiatu o ewidentnie solarnej stylistyce, np. na steli Margareth Harder z ok. 1849 r. w Stogach – krąg o spiralnych promieniach umieszczony poniżej trzech gwiazd¹³, podobny motyw we fryzie na nagrobku Anny Wienz z ok. 1853 r. na cmentarzu ewangelickim w Szawałdzie¹⁴, na którym zresztą nie

⁹ D. Forster, *Świat Symboliki chrześcijańskiej*, Warszawa 1990, s. 92.

¹⁰ Intrygująca jest forma wachlarza na nagrobkach. Występuje nierzadko, ale tak naprawdę nie jest do końca pewne, czy jest to rzeczywiście wyobrażenie wachlarza jako takiego o raczej spekulacyjnej wymowie, czy jest to poprzez podobieństwo formalne nawiązanie do przedstawienia połowy kręgu słonecznego. Motyw stylizowanej sieci pajęczej – uderzenie nagłej śmierci wydaje się być nadinterpretacją.

¹¹ A. Rekowska, *Karta Ewidencyjna Zabytków Ruchomych* (dalej w skrócie KEZR), mpis, 1984.

¹² A. Rekowska, KEZR, mpis 1984.

¹³ Filipka, op. cit., t. III, il. 171.

¹⁴ A. Rekowska, KEZR, mpis, 1984, Archiwum WUOZ w Elblągu.

jest to jedyne przedstawienie słońca. Na nagrobku Justine Zernichel z ok. 1860 r. na cmentarzu mennonickim w Okrągłej Łące wyobrażony został kwiat ostu, którego środkowy kwiatostan jest okrągłą, promienistą tarczą¹⁵. Bardzo ciekawa jest kompozycja na zwieńczeniu niewielkiego nagrobka ok. 1928 r. Rudolfa Rilke na cmentarzu ewangelickim w Miłakowie, jedyny zresztą zachowany tam nagrobek. W szczycie jest wprowadzone wyobrażenie kwiatu w duchu jakby zapóźnionej secesji, z mięsistymi, symetrycznymi liśćmi w kształcie serca, jednakże kwiatostan jest także promienistą tarczą słoneczną.

Rysunek połowy słońca, obok znaczenia opisanego powyżej, niesie w sobie jeszcze dodatkowy przekaz. Jako wyobrażenie słońca zachodzącego, kończącego dzień, podkreśla odejście z tego świata osoby upamiętnionej nagrobkiem. Jest także słońcem wschodzącym, oznaczającym świt, przebudzenie do nowego życia w nowym świecie. Przykłady użycia takiego motywu odnaleźć można na steli Abrahama Conrada z ok. 1839 r. w Jezierniku, Abrahama Ensa z ok. 1849 w Stawcu, steli Marii Ens w Stawcu, Anny Dýck z 1845 r. i Petera Dýcka z 1849 r. w Żuławce¹⁶, na steli wspomnianej wyżej Anny Wienz w Szawałdzie czy Anny Regier z ok. 1865 r. w Stogach. Wyobrażenia promienistych ćwierć-okręgów na niektórych bardziej ozdobnych stelach czy *cippusach* oczywiście nawiązywało do symboliki słonecznej, ale bardziej służyło dekoracji, zwłaszcza że na innych pomnikach jako taki ozdobnik narożnika służyły wyobrażenia liści czy kwiatów.

¹⁵ A. Rekowska, KEZR, mpis 1984, Archiwum WUOZ w Elblągu.

¹⁶ Z. Maciakowska, KEZR, mpis 1984, Archiwum WUOZ w Elblągu.

Motyw słoneczny zdobi także jedną z macew na cmentarzu żydowskim w Zalewie. Tu kręgowi słonecznemu, umieszczonemu w szczycie, towarzyszą po bokach dwie gwiazdy.

Za motyw solarny przyjęty może być także gwiazda, szczególnie w układzie większej pomiędzy dwoma mniejszymi.

Odwołaniem do Stwórcy jest umieszczenie w szczycie steli na cmentarzach chrześcijańskich Oka Opatrzności, poprzez promienistą aureolę zbliżone formalnie do przedstawień tarczy słonecznej. Jest to motyw często spotykany. Najlepszym zachowanym tego przykładem jest niska, kamienna, rokokowa stela Petera Philipsena i Doroty Nickeln z 1739 r., umieszczona wtórnie przy ruinach kościoła w Wocławach. Tu Oko Opatrzności umieszczone z dwóch stron, na awersie opromienia baranka, odwołując się w przekazie do ofiary Chrystusa.

Na nagrobku w Lubieniu Wielkim solarna symbolika została multiplikowana. Promieniste Oko Opatrzności znajduje się w centrum promienistego kwiatostanu¹⁷.

Kolumna jest symbolem chwały i majestatu. Złamana lub przewrócona uosabia zniszczenie, upadek, śmierć, utracone życie, zakończenie. Zawiera w sobie przypowieść o znikomości ludzkiej, ziemskiej chwały. Ten motyw z bogatych miejskich nekropolii trafił też na cmentarzyki wiejskie i w rejonie Żuław właściwie tylko tu można znaleźć jeszcze ostatnie takie egzemplarze. Z ok. 1796 r. pochodzi taka kolumna z grobu Jacoba Grunaua z cmentarza menno-

nickiego w Kępniewie¹⁸. Jest to kompozycja, wzbogacona o parę rzeźbionych *putt*, unoszących się na tle kanelowanego trzonu, trzymających feston. B. Schmid zamieszcza zdjęcie podobnego kolumnowego nagrobka z ok. 1853 r. Renaty Cord. Zimmermanna w Starym Polu¹⁹. Niska, kanelowana kolumna z medalionami oplecionymi wieńcem i szeroka głowicą zdobiła nagrobek z ok. 1796 r. Anne Marie Gerth na cmentarzu ewangelickim w Stalewie,²⁰ obecnie przewrócona.

Na cmentarzu żydowskim w Dzierzgoniu znajdowały się dwa nagrobki kolumnowe. Na jednym była to kolumna tokańska, na drugim oplecioną wicią roślinną. Do formy kolumny jońskiej odwołuje się zwieńczenie płyty na dawnym cmentarzu ewangelickim w Miłocinie.

Motyw błogosławionych dłoni na nagrobkach jest charakterystyczny dla cmentarzy żydowskich i przedstawione są też na kilku z tych nielicznych ocalałych macew z rejonu tzw. Prus Zachodnich na cmentarzu w Morągu, Elblągu, Miłakowie, Górowie Iławieckim, na macewie znajdującej się w Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim. Tak jak i na innych żydowskich cmentarzach oznaczały groby kapłanów, potomków

¹⁸ J. Labenz, KEZR, mpis 1985; W. Rynkiewicz – Domino, *Trzy podelbłaskie cmentarze mennonickie, Władysławowo (Wikrowo), Kępnie, Rozgart*, w: *Nekropolie Pomorza*, Gdańsk, 2011, s. 431 – 436; K. Manikowska, *Cmentarze mennonickie jako pamiątka osadnictwa ołędzkiego na terenie dzisiejszego województwa warmińskiego – mazurskiego*, w: *Nekropolie Warmii i Mazur*, s. 99.

¹⁹ B. Schmid, op. cit. s. 6-7.

²⁰ B. Schmid, op. cit. s. 303.

Aarona. Ale... motyw dłoni umieszczony został także na steli Christine Gertrude Lietz z ok. 1853 r.²¹, znajdującej się na katolickim cmentarzu w Marynowach oraz nagrobku Petera Schwarza z 1798 r. na mennonickim cmentarzu w Marezie²². Różnią się one od kohenowskiej gestykulacji z rozstawionymi parami palców. W Marynowach wyobrażenie dłoni, umieszczone na dole płyty, przedstawia je jako złożone do modlitwy. Umieszczone zostały odmiennie od macew, na dole, pod inskrypcją, na cokole. Nie w geście błogosławieństwa ale prośby i modlitwy, Nagrobki w Marezie i Marynowach posiadają szczególnie bogatą dekorację rzeźbiarską wartą oddzielnego artykułu i motyw dłoni wpleciony jest w szeroko rozbudowany przekaz.

Motyw korony, nadzwyczaj popularny na macewach na terenie Polski centralnej i południowej napotkać można także licznie na stelach cmentarzy żuławskich. Na grobach żydowskich może odwoływać się do dekoracji *Tory* i oznaczać grób kapłana albo osoby uczzonej w *Pismie Świętym*, ewentualnie osoby pochodzącej z rodu królewskiego – Dawidowego. Na nagrobkach chrześcijańskich oznacza ukoronowanie całego życia osoby zmarłej, dostąpienia do chwały Bożej, ale rozumiana bardziej nie jako zasługa własna – ale Łaska, udzielona przez Stwórcę lub Chrystusa.²³ Na nagrobkach żuławskich korony przybierały różnorodne formy – od trójpałkowej, mięsistej, utworzonej z liści akantu, poprzez 5-pałkową, 7-pałkową na nagrobku, ustawionym przy ruinie kościoła

²¹ K. Manikowska, op. cit., s. 77.

²² J. Gzowski, KEZR, mpis, 1985.

²³ D. Forster, op. cit. S. 440.

w Steblewie, wreszcie zamknięte diademy. Takie odnaleźć można na stelach cmentarzy mennonickich w Różewie, Stogach czy Żelichowie. Czasami wyobrażenie korony przybiera formę bardziej abstrakcyjną a czasami w kształt korony układa się pęk makówek czy też zwieńczenie jednej makówki.

Jeszcze jeden zaskakujący motyw można znaleźć pośród dekoracyjnych motywów na grobach. Jest to maska, trzymająca w ustach zwisającą wicę roślinną, echo wyobrażeń „zielonego męża” ze średniowiecznych płaskorzeźb. Trudno wyobrażenie to wiązać z jakimś chrześcijańskim przesłaniem. Widzimy je na krawędziach płyty w Marynowach i Michaela Klinge w Steblewie. Raczej należy widzieć w tym motyw czysto dekoracyjny.

Takie motywy jak wicę roślinna, kwiat, złamana róża, złamane drzewo, klepsydra, zgaszona pochodnia²⁴ są uniwersalne, znajdują się licznie na nagrobkach wszystkich, nawet współczesnych cmentarzy a poprzez uniwersalną symbolikę przynoszą czytelne i ogólnie zrozumiałe przesłanie.



²⁴ J. Domino, *Symbolika na żuławskich cmentarzach*, op. cit; K. Manikowska, op. cit

¹⁷ Filipka, op. cit., t. II, il. 43.

HISTORIA SAMOLOTU An-2P „ŻUŁAWY”

Elbląski Aeroklub przez 32 lata użytkował samolot, który przez przypadek stał się ważnym i niespotykanym artefaktem współczesnej historii Elbląga.

Województwo elbląskie (1975–1998) powstało w efekcie reformy podziału administracyjnego Polski, dokonanego przez władze PRL. W wyniku przywołanej reformy z dotychczasowych 17 powołano do życia 49 nowych województw, wśród których było także elbląskie. Stolicą województwa ustanowiono Elbląg, czyli największe miasto na tym terenie, ośrodek administracyjny i przemysłowy.

Inicjatywa, dotycząca zakupu samolotu typu An-2, była bardzo interesująca i ówczesny wojewoda elbląski Leszek Lorbiecki już w roku 1976 podczas jednego z Kolegium Wojewody Elbląskiego sprawę zaakceptował i przekazał do szczegółowego rozpoznania w ręce dyrektora Wydziału Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu, Ryszarda Gronostaja.

Jednocześnie z konsultacjami co do konieczności zakupu samolotu, wydział komunikacji prowadził rozmowy z mielecką firmą, która była producentem tego typu maszyn. Ostatecznie udało się ustalić, że koszt zakupu takiego samolotu to około 3,6 mln ówczesnych zł, a wpłaty miały głównie pochodzić ze środków inwestycyjnych.



Fot. Edward Jaremczuk

Po dyskusji z upoważnionymi pracownikami poszczególnych zakładów pracy ustalono, iż nabytek będzie pełnił rolę samolotu dyspozycyjnego dla 12 pasażerów w lotach z Elbląga na lotniska całego kraju, a koordynacją jego wykorzystania zajmie się Wydział Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu. Ponadto założono, że przy „wylataniu” z pasażerami około 100 godzin rocznie oraz licząc średnio za jedną godzinę lotu kwotę 7 do 9 tys. zł, samolot zamortyzuje się po 5 latach takiej eksploatacji.

Zamówienie na wybrany samolot ulokowano w mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Po zebraniu zadeklarowanej kwoty wytwórnia przystąpiła do realizacji otrzymanego zlecenia. Ostatecznie zostało ono zrealizowane w dniu 22 stycznia 1980 roku. W trakcie odbioru samolotu okazało się, że w okresie poprzedzającym montaż końcowy uległy zmianie ceny jednostkowe i za samolot wykonany w wersji

„salonka” trzeba będzie dopłacić, bo „nowa cena” to już prawie 500 tys. zł. Był to kłopot, bowiem początek roku zawsze jest trudny dla decyzji finansowych. Rozpoczęto negocjacje i ostatecznie ustalono końcową cenę samolotu na 412 tys. zł. Pieniądze szybko przelano na konto wytwórni i samolot mógł odlecieć do Elbląga.

Kiedy tylko samolot An-2 pojawił się na lotnisku w Elblągu, po województwie elbląskim wśród załóg zakładów przemysłowych zaczęły krążyć różnego „kalibru” informacje – niczym te, które opowiadano w Warszawie o „Pogorii”. W obu przypadkach były to złote klamki, skórzane fotele, ubikacje i łazienki w marmurach oraz „opowieści” o przysłowiowych panienkach, które miały gdzieś tam w obu omawianych obiektach leżeć i czekać!

Przedstawiciele władz z urzędu wojewódzkiego w Elblągu już od momentu, kiedy w całej Polsce trwał festiwal strajkowy, nie bardzo wiedzieli, co się z nimi może stać. Przecież tak jest, że ich nikt nie uchroni przed gniewem przedstawicieli zakładów przemysłowych. Kadra kierownicza miała strach wypisany na swych twarzach. Był to taki prawdziwy strach przed tym, co się może jeszcze wydarzyć. I – co było do przewidzenia – pierwszym winnym powstałej w Elblągu sytuacji prozaicznie okazał się niczemu niewinny samolot.

Jak to u urzędników. Po krótkiej dyskusji z zainteresowanymi „płatnikami” ustalono, że najlepszym rozwiązaniem będzie „schowanie” samolotu przed oszałamianą z nienawiści, jedynymi na ten moment sprawiedliwymi, czyli związkowcami z lokalnej „Solidarności”.

Czasu było tak mało, że elbląscy decydenci nie mieli szans na sprzedaż tego dopiero co zakupionego samolotu. Zatem zdecydowano się na inne rozwiązanie, które przynajmniej zabierały z oczu inkwizytorów wzmiankowany samolot. Było to rozwiązanie, które na ten moment dawało szansę. Postanowiono, iż najlepszym rozwiązaniem będzie „wypożyczenie” samolotu do eksploatacji dla Przedsiębiorstwa Usług Lotniczych z Gdańska. Zgodnie z umową wypożyczenia, PUL zobowiązał się do zapewnienia pełnej obsługi technicznej oraz kwalifikowanych pilotów. Strona elbląska w ramach porozumienia będzie miała zagwarantowane, wspomniane wcześniej, 100 godzin lotu rocznie bez dodatkowych opłat na rzecz PUL. Jako ciekawostkę należy przytoczyć informację, że w przypadku braku kompletu 12 pasażerów na konkretny lot, PUL udostępni na dany rejs mniejszy samolot. Dysponentem samolotu An-2 w województwie elbląskim uczyniono Wydział Komunikacji UW. Samolot według przyjętych kryteriów miał odbywać na początek rejs co dwa tygodnie do Warszawy z lądowaniem na lotnisku Okęcie oraz inne doraźne loty na zlecenia zainteresowanych zakładów przemysłowych. W przypadku zamówienia przelotu przez zakład pracy, który wniósł udział finansowy w jego zakup, zlecenia miały być realizowane bezpłatnie.

O dziwo, ta propozycja winna być bardzo atrakcyjną dla firm, które partycypowały w zakupie samolotu. W praktyce zawirowania, związane z pojawieniem się na scenie politycznej Polski „Solidarności” spowodowały, iż chętnych do latania było, jak na przysło-

wiowe lekarstwo. Generalnie w firmach to rozwiązanie traktowano jak swego rodzaju kukułcze jajo. Ta niepewna i nie przetrenowana sytuacja spowodowała, że był samolot, ale chętnych do jego wykorzystania brakowało. Że tak było, niech posłuży jeden z przykładów.



Fot. Witold Sadowski

Pierwszy lot z pasażerami zakupionego samolotu An-2 został zaplanowany na 3 lipca 1980 roku. Samolot miał wykonać lot do Warszawy. Niestety lot odwołano, gdyż nie było pełnej obsady pasażerskiej. Ta premiera komunikacji lotniczej z Elbląga zakończyła się kompletną kląpą. Falstart lotów wykazał, iż dysponent, jakim został Wydział Komunikacji UW w Elblągu, tak naprawdę nie był w pełni przygotowany do pełnienia takich funkcji organizacyjnych. Od razu jawią się pytania, dlaczego w tym konkretnym przypadku nie zastosowano wariantowego (zawartego w umowie) rozwiązania, jakim mogło być przyjęcie wariantu z lotem samolotu o mniejszej ilości miejsc pasażerskich. Ponadto całkowicie zawiodła informacja, nie wspominając o braku nawyków do korzystania z usług transportu lotniczego przez kadrę kierowniczą przemysłu województwa elbląskiego. Być może ta niechęć do

latania nie była brakiem przyzwyczajenia lecz obawą przed wewnętrzną sytuacją, która już wówczas powoli opanowywała Polskę.

Wewnętrzna sytuacja polityczno-społeczna Polski z każdym dniem – licząc od początku lipca 1980 roku – stawała się coraz bardziej skomplikowana, a atmosfera i zaniepokojenie Polaków tym, co działo się wtedy w kraju, było ważniejsze niż cokolwiek innego. Stan krajowych niepokojów społecznych w przypadku samolotu An-2 spowodował, że elbląski samolot do końca 1980 roku praktycznie już nie był wykorzystywany. Oczywiście nie do końca to stwierdzenie było prawdziwe, bowiem w ramach przyznanych godzin, wykonywano nim nieliczne loty turystyczno-krajoznawcze wokół akwenu Żalewu Wiślanego. Ponadto wykonywane były loty propagandowo-turystyczne w ramach świadczeń na rzecz Aeroklubu Elbląskiego. Szkolono także kadrę kierowniczą UW, jak wykorzystywać samolot dla potrzeb obronności w ramach ćwiczeń obrony cywilnej. W ramach takich ćwiczeń odbyły się bodaj trzy loty.

Dynamiczne wydarzenia społeczne, które miały miejsce w Polsce przez całe wakacje, lipiec i sierpień 1980 roku, spowodowały wielki ferment w głowach obywateli naszego kraju oraz zmieniły sposób postrzegania tego wszystkiego, co działo się wokół nas. Raptem, ku zaskoczeniu wszystkich, pojawiła się – wielokrotnie bezkrytyczna i dotychczas niespotykana – populistyczna odwaga. Po podpisaniu pamiętnych porozumień społecznych pojawił się w narodzie duch odnowy i natychmiastowa potrzeba zmian wszelakich. Aby lepiej zrozumieć

ówczesną sytuację i poczuć tamten klimat należy przywołać kilka faktów, które miały miejsce w Polsce, no i oczywiście w Elblągu też.

Elbląg, w owym czasie miasto wojewódzkie, niczym szczególnym się nie wyróżniał. Podobne problemy, podobne na nie reakcje, podobny stosunek do środków masowego komunikowania, głównie prasy, radia i telewizji, jak w całej Polsce. To całkowite nie akceptowanie tego, co powszechnie nazywamy propagandą i słynne hasło – „Telewizja kłamie!”. Wyrazem takiego stosunku były wszechobecne ulotki, które – i tylko one – głosiły prawdy objawione, ale i oczywiste. Tak to w tamtym czasie wyglądało. A telewizja, no cóż, wszak telewizja kłamała.

Dodajmy do tego obrazu, iż w Elblągu funkcjonowała tak zwana „ściana płaczu”, gdzie wieszano wszystko, co dotarło do właścicieli tego „komunikatora”. Prezentowano przysłowiowe mydło i powidło, ale tam było to bez żadnych oporów eksponowane, a elblążanie zaczytywali się tymi informacjami mając wypieki na swych policzkach. Było to o tyle istotne, że napływ tego typu informacji był tak duży, iż nieomal od razu kolejne *newsy* przykrywały informacje np. sprzed godziny. Rotacja ponadto była o tyle istotna, że związana została ze zwyczajną plotką. Powtarzano co ciekawsze informacje z ucha i dalej. Wiadomo, co się wtedy mogło wydarzyć. To było nic innego niż zabawa w „głuchy telefon”, która polega na tym, iż informacja podawana na początku nijak się ma do tej z końca, od ostatniego jej „odbiorcy”!

Słynna ściana, bardziej znana pod nazwą „Wielkich Hieroglifów”,

funkcjonowała w siedzibie NSZZ „Solidarność”, która mieściła się w Elblągu przy ul. 1 Maja 35. To właśnie tam przechodziły tłumy elblążan, aby dowiedzieć się o wszystkich ważnych – i nie tylko – sprawach, jakimi zajmowała się kierownicza grupa działaczy związkowych regionu elbląskiego.

Tak naprawdę – sam Elbląg i województwo żadnej afery nie miały. Brak jakiegokolwiek afery dla ówczesnej rzeczywistości nie stanowił żadnego problemu. W Elbląskim pomyślano, a co było do przewidzenia, znaleziono i co gorsza odkryto. Wojewoda ma samolot, nie żadną łódkę, ale dwupłatową maszynę latającą, typu An-2. Mówiono, szeptano i pisano wielkimi hieroglifami. Kiedy już prawie bomba wybuchła, kiedy plotkarze mieli żer, nagle sprawa zaczęła cichnąć. Oto sama proza życia. Okazało się, iż nie wojewoda, tylko dyrektor Wydziału Komunikacji, a tak naprawdę samolotu nie ma w Elblągu, tylko jest przekazany gdańskiemu PUL i w tamtym momencie gdzieś w Polsce wykonywał zlecenia transportowe.

Po kilkudniowym szumie medialnym okazało się, że nawet motywów, którymi kierowali się autorzy tegoż *fake newsa* nie można uznać za naganne. Niby sprawa została wyjaśniona, ale okazało się, iż kierownictwo województwa elbląskiego oraz przedstawiciele zakładów, partycypujących w zakupie, są mocno przestraszeni powstałą, niejako przy okazji, sytuacją. Trzeba również odnotować, że w tamtym czasie w siedzibie Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu odbyło się kilka poufnych spotkań. W trakcie tych konsultacji wypracowano stosowną decyzję: „Skoro jest to taki problem,

to samolot należy natychmiast sprzedać i zwyczajnie będzie po całym zajściu i co najważniejsze, również i po kłopotach”.

Teoretycznie problem został załatwiony, a cała sprawa z czasem stanie się w niepamięć. Tymczasem niczym Feniks z popiołów hiobowa wieść o planach sprzedania samolotu *An-2* dotarła do Aeroklubu Elbląskiego. Zaczęło się od początku. Rozpoczęły się rozmowy prezesa Aeroklubu Elbląskiego, Zdzisława Wąsa z przedstawicielami wojewody oraz współwłaścicielami samolotu. Zaczęto całą sprawę analizować od początku i drążyć po raz kolejny. Dodatkowo całej sprawie smaczku dodał cykl artykułów i audycji radiowych w lokalnych środkach przekazu. Sprawa zaczęła żyć od nowa. Toczono dyskusje i porywające spory o szczegółach. Owe dyskusje znowu dzieliły uczestników i absorbowwały społeczeństwo. Ponownie pojawiły się plotki o złotych klamkach, skórzanych fotelach i luksusowej kabine WC, która znajdowała się w części ogonowej kadłuba samolotu. Dodatkowo „ognia” sprawie dodawały opinie członków AE, którzy zakupu samolotu w wersji „salonka” nie akceptowali. Spadochroniarze, bo to oni głównie lansowali takie stanowisko, chcieli, aby samolot występował w wersji transportowej, bowiem z takiego samolotu można wykonywać skoki ze spadochronem. Początkowo nie bardzo rozumiano skoczaków spadochronowych, nie wiedzano dlaczego to winna być wersja transportowa. W końcu, któryś z chłopaków spadochroniarzy wyartykułował, o co w tym sporze kruszone są kopie. Cała sprawa rozbiła się o brak w zakupio-

nym samolocie tak zwanej „liny desantowej”, bez czego trudno jest prowadzić podstawowe szkolenie spadochronowe.

Ostatecznie w marcu 1981 roku w siedzibie Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu doszło do spotkania, które rozstrzygnęło losy zakupionego samolotu. Naradę prowadził dyrektor Wydziału Komunikacji, Ryszard Gronostaj, a uczestniczyli w niej przedstawiciele zainteresowanych stron, w tym również dziennikarze oraz kierownictwo Aeroklubu Elbląskiego. Samo spotkanie przebiegło bardzo spokojnie i w takiej też atmosferze. Na zakończenie spotkania podjęto uchwałę następującej treści, z natychmiastowym przekazaniem jej do realizacji:

- A. Wydział Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu za pomocą ogólnie dostępnych środków masowego przekazu (w tym również informacja dla zainteresowanych zakładów pracy) poinformuje społeczeństwo regionu o dotychczasowych i dalszych losach samolotu AN-2;
- B. Zakup samolotu był celowy, dalsza jego eksploatacja również jest celowa i potrzebna, sprzedaż nie jest rozpatrywana;
- C. Wydział Komunikacji UW w Elblągu przekaże od zaraz wszelkie sprawy, związane z dysponowaniem samolotu w ręce kierownictwa Aeroklubu Elbląskiego;
- D. Do końca września 1981 roku (zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami) samolot ma być jeszcze eksploatowany i użytkowany przez gdański PUL, a po tym terminie ma zostać przekazany do Aeroklubu Elbląskiego;
- E. Nie wykorzystane 45 godzin lotu

z roku ubiegłego przekazać do wykorzystania przez Aeroklub Elbląski.

Dalsze dzieje elbląskiego *An-2*

W tym miejscu można by uznać, że sprawa samolotu *An-2* dla Aeroklubu Elbląskiego została ostatecznie rozwiązana, a sam problem przestał elektryzować nie tylko środowisko lotnicze miasta, ale i wszystkie inne osoby. Otóż nie bardziej błędnego. Rok 1981 był dla Polaków bardzo gorący. Na oczach całego narodu rozgrywana była „wielka partia szachów”, której stawką stało się przejęcie władzy w Polsce. A samolot tymczasem nadal użytkowany był przez gdański oddział PUL.

Podczas jednego z ostatnich lotów w służbie PUL, gdy samolot *An-2* lądował, doszło do tak zwanego „twardego” przyziemienia i okazało się, iż nasz elbląski „Antek” doznał poważnej awarii kadłuba. Zostały zniekształcone wręgi kadłuba w okolicach statecznika poziomego. Po zdarzeniu nastąpiła rewizja uszkodzenia i samolot został przez nadzór techniczny zawieszony w lotach. Po dokładnych oględzinach okazało się, że bez gruntownego remontu się nie obejdzie. Ostatecznie samolot na niezbędny remont został skierowany do producenta tego typu samolotów w Mielcu, gdzie swą siedzibę ma Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego. Już na miejscu okazało się, iż część remontu samolotu można refundować i wykonać w ramach okresu gwarancyjnego.

„Antek” po remoncie wrócił do dalszej eksploatacji w powietrzu. To zdarzenie z jednej strony wyłączyło samolot z eksploatacji, a z drugiej dało okazję, aby go dostosować do potrzeb Aeroklubu El-

bląskiego. Początkowo wydawało się, że zakres remontu był nieskomplikowany i można było oczekiwać powrotu „Antka” do Elbląga przed końcem roku 1981.

Dziś wiemy, iż w grudniu został wprowadzony na obszarze całego kraju stan wojenny. No i stało się najgorsze. Samolot powrócił do Elbląga dopiero 17 maja 1982 roku. Po powrocie z remontu w Mielcu „Antek” został już na stałe w Elblągu i rozpoczął swój dalszy żywot jako maszyna, wykorzystana do szeroko pojmowanego szkolenia lotniczego członków Aeroklubu Elbląskiego. Po przylocie, kierownictwo AE znając dotychczasowe wydarzenia, związane z tym „nowym” samolotem, w porozumieniu z ówczesnymi władzami województwa elbląskiego zorganizowały uroczyste przejęcie samolotu. Uroczystość odbyła się w kilka dni po przylocie samolotu do Elbląga. W trakcie skromnej (takie były w tamtym czasie protestów reguły gry) celebry samolot otrzymał nazwę „Żuławy” – *dar społeczeństwa Ziemi Elbląskiej*. Przytoczona inskrypcja została wypisana na burcie kadłuba samolotu, tuż pod górnym płatem skrzydła od strony głównych drzwi samolotu.

Cezura zakończenia stanu wojennego oraz nadchodzącego „okrągłego” stołu, a sprawy *An-2* ciąg dalszy

Do Polski, wbrew opiniom wielu obywateli naszego kraju, cichutko oraz powoli zaczęły wkraczać elementy, które decydują o dalszym rozwoju kraju. Nie sposób w tym miejscu pominąć kilku pamiętnych wydarzeń z dziejów współczesnego świata i skutków, które implikowały czyli najprościej mówiąc powodowały oraz były przyczyną rozwoju,

choćby Stanów Zjednoczonych. Dlatego warto sięgnąć do stycznia 1941 roku, kiedy to prezydent Franklin Roosevelt snuł wizję świata, opartego na czterech ludzkich swobodach – wolności słowa i wypowiedzi, swobody do czczenia Boga na własny sposób, wolności do posiadania i wolności do strachu.

Te przywołane oczywiste prawdy sprzed lat wiele lat później znalazły swoje miejsce i to wokół nich funkcjonuje współczesny świat. W Polsce, a konkretnie w Elblągu, odkrywano te „oczywistości” w latach 80. XX wieku. To z powodu zakupu najzwyklejszego samolotu w naszym mieście doszło do konfrontacji wizji otaczającego nas świata i wtedy starły się ze sobą różne sposoby tegoż świata widzenia. Być może jeszcze w tamtych momentach nie bardzo było dostrzec tego, co nazywamy powodowaniem, ale wtedy się to zaczęło!

Co bardziej światli mieszkańcy Elbląga byli za tym, iż ważnym funkcjonariuszom władzy samolot obcy być nie powinien, a rozliczać ich się powinno z wydawanych decyzji. Inni dla odmiany, w populistycznym zapędzie dążyli do wprowadzenia – i to zawsze – wstecznego i kunktatorskiego rozwiązania typu „urawniówka”, jako instrumentu równowagi społecznej. Jak zwykle, zazwyczaj jako równowagi społecznej. W praktyce w sytuacji dynamicznej popełniono wiele błędów oraz nie planowanych pomyłek, ale jednak dokonano WYBORU.

Zakupiony wtedy samolot *An-2*, powszechnie zwany „Antkiem”, jest twardym dowodem na to, że zdrowy rozsądek wziął górę – mimo ogromnej ilości związanych z nim zawirowań. My, elblążanie też ruszyliśmy do swego, za-

pewne długiego „marszu”, ale w dobrym kierunku. Niech słowa wypowiedziane przez prezesa AE, Zdzisława Węsa swego rodzaju podsumowania nie tyle sukcesu, co stanu ducha z tamtych lat: „Brak samolotu w województwie jest przestępstwem, a nie jego posiadanie”.

Wiadomym jest, że po burzy zawsze przychodzi spokój. Podobnie stało się i w Elblągu. Po zawirowaniach dla lotników i samolotu *An-2* nastąpił czas najnormalniejszego, codziennego funkcjonowania. Najczęściej użytkowany był przez spadochroniarzy, ale zdarzały się również wydarzenia klasy *premium*. Zatem do rzeczy:

Rok 1987 dla Aeroklubu Elbląskiego to czas, kiedy miasto Elbląg świętowało swe 750-lecie. To również stało się okazją do podjęcia wyzwania, aby na lotnisku elbląskim miała miejsce impreza, która w efekcie okazała się największym wydarzeniem, uświetniającym święto miasta. Po uzgodnieniach, władze lotnictwa polskiego przyznały miastu organizację Centralnych Obchodów Święta Lotnictwa. Nie było żadnej alternatywy, obchody zostały zorganizowane na lotnisku elbląskim. Ponadto miejski komitet organizacyjny imprez okolicznościowych, związanych z 750-leciem Elbląga, propozycję zaakceptował i uczynił bodaj najważniejszym plenerowym wydarzeniem święta miasta. Impreza udała się doskonale, pogoda dostosowała się do potrzeb organizatorów i radości widzów. O sukcesie pokazów może świadczyć ilość widzów, którzy tego dnia mogli podziwiać kunszt polskich lotników oraz przemysłu lotniczego.

Kierownictwo AE skorzystało z okazji i przybyli na lotnisko widzowie

mogli do woli oglądać „ten” słynny samolot, plotkami o którym na początku lat 80. XX wieku żył nieomal cały region elbląski. To podczas przywołanych pokazów wielu elblążan wreszcie mogło naocznie się przekonać, jak naprawdę to „cudo” wygląda wewnątrz i czy w ogóle mogło być prawdziwe wszystko, co o elbląskim „Antku” przed kilku laty opowiadano. To ostatecznie wyjaśniło tamte klimaty i coś w rodzaju stworzonego grupowego omamu – bowiem nie zawsze coś, co obserwujemy musi być tym czymś, co chcielibyśmy zobaczyć! Czasem człowiek po takim seansie czuje się naprawdę zawiedzony!

W ramach zmian, związanych z ustaleniami „okrągłego stołu” (już po roku 1989) oraz kreowania Polski na nowo pojawił się dość szalony pomysł, aby odwiedzić szwedzkie miasteczko Ronneby, z którym miasto Elbląg jakiś czas temu nawiązało współpracę. Z czasem Ronneby stało się miastem partnerskim Elbląga. Pomysłowi wszyscy lotnicy elbląscy mocno kibicowali, ale był jeden niewielki problem. Konkretnie prezesem Aeroklubu Elbląskiego nadal był, już były prezydent Elbląga - Norbert Berliński. Natomiast nowym prezydentem miasta został z nadania „Solidarności” Józef Gburzyński. W praktyce okazało się, że „stary” prezydent znał tam w Ronneby najważniejszych ludzi polityki i gospodarki i „nowego” mógł, nieomal bezboleśnie, wprowadzić „na pokoje”.

Od słowa do słowa, o dziwo, zaplanowano lotniczą, a zarazem gospodarczo-polityczną wyprawę – wizytę elblążan w Szwecji. Dodatkowego smaczku tej wyprawie dodawał Bałtyk. Z Polski do Szwecji należało polecieć

samolotem i „pokonać morze bałtyckie”. Pomysł bardzo podobał się prezydentowi Gburzyńskiemu, który jednocześnie zadeklarował, iż całe koszty tej wyprawy pokryje Urząd Miasta. W AE pomysł wywarł na członkach ogromne wrażenie. Wydawało się, że „nowy” prezydent nie będzie aż tak otwarty. No, ale skoro prezydent Gburzyński tak bezpośrednio, nie proszony, zadeklarował tak wiele, to wyprawę trzeba dopieścić organizacyjnie. To powinno być coś, co winno Szwedów zaskoczyć. Tym bardziej było ważne, iż po drugiej stronie Bałtyku z uwagą śledzono wydarzenia ostatnich lat w Polsce. Gdy pojawiają się kłopoty, to trzeba je pokonywać. Pilota (kapitana) do wykonania tego międzynarodowego lotu wskazano od razu. I już było wiadomo, jeśli lecimy, to kapitanem na ten lot musi być Wojtek Ryś. Przecież skończył Politechnikę Rzeszowską i jest pilotem komunikacyjnym, zna frazeologię angielską (prowadzenie korespondencji w przetrzeźnieniu międzynarodowej wymaga znajomości specjalistycznego języka angielskiego) no i posiada wszelkie niezbędne uprawnienia, aby taki lot wykonać. Ale to nie był koniec problemów. Potrzebny był jeszcze II pilot o zbliżonych umiejętnościach i uprawnieniach, co kapitan.

Pomocną rękę podali elblążanom członkowie Aeroklubu Gdańskiego i oddelegowali do Elbląga Andrzeja Szczęsnego, który podczas planowanej wyprawy miał pełnić rolę II pilota i zajmować „prawy” fotel w kabinie. Dla niewtajemniczonych: w Polsce, tak jak w wielu innych krajach, obowiązuje zasada, iż kapitan ma zagwarantowane (zawsze) miejsce na „lewym” fotelu.

Załoga została skompletowa-

na, samolot przygotowany, choć nie bez problemów. Bo to specjalne kamizelki ratownicze dla pasażerów i załogi, ponadto jakieś inne konieczne wyposażenie, niezbędne do lotu nad dużym akwenem wodnym. No i jeszcze wiele innych drobnych i koniecznych gadżetów.

Wreszcie przyszedł dzień 20 września 1993 roku, czyli już wcześniej zaplanowany termin lotu za „wielką wodę”.

Start *An-2* z Elbląga do Gdańska w godzinach wczesno-rannych, pełna procedura przed wylotem (w tamtych latach odbywało się to nieco inaczej niż obecnie) odprawa celna i wreszcie start. Pogoda, mimo września, doskonała – znakomita widoczność. Start z Rębiechowa i lot w kierunku Łeby, następnie przekroczenie linii brzegowej. Po kilkunastu minutach lotu wszyscy pasażerowie przestali rozmawiać, tylko gapili się przez bulaje, oglądając lekko pomarszczoną powierzchnię wody. Wszyscy po locie wspominali, że mieli wrażenie, iż lot odbywał się w wielkiej przeźroczystej kuli. Okrągły horyzont, nie bardzo wiadomo – gdzie woda, a gdzie niebo. Wrażenia niesamowite.

W pewnym momencie ogromne poruszenie na pokładzie „Antka”. Do naszego samolotu „podeszła” para samolotów szwedzkiego lotnictwa. Była, jak się to po chwili okazało, specjalna asysta samolotów wojskowych, stacjonujących na lotnisku, gdzie mieli wylądować Polacy. Szwedzi w ten sposób podkreślili wagę składanej przez elblążan wizyty oraz wyrazili swój szacunek załodze *An-2* po przelocie przez Bałtyk.

Po wylądowaniu rozpoczęto (zgodnie z przygotowanym przez

Szwedów programem) wizytę elblążan w Ronneby.

Powrót do Elbląga odbywał się nieco inną trasą. Skierowano samolot nad Bornholm i dopiero dalej nad Darłowo. Potem było już normalnie: lot przez Kartuzy i ponowne lądowanie na lotnisku w Rębiechowie. Szybkie procedury i powrót do Elbląga.

Kończąc ten wątek, autor musiał poinformować czytelników, że wszyscy uczestnicy tego pamiętnego lotu wspominając go, podnoszą jedną kwestię. **Ówczesny prezydent Elbląga choć obiecywał pokryć koszty lotu w obie strony, nie zrobił tego nigdy.**

Warto przypominać tamto wydarzenie, bowiem AE – niczym polski rząd – winien sporządzić „białą księgę” i zwrócić się do dzisiejszych władarzy miasta Elbląga z prośbą o repasację po odbytej podróży do Szwecji ówczesnego prezydenta miasta wraz z obowiązującymi w takich przypadkach odsetkami. Autor jest pewny, iż tak pozyskane pieniądze obecnie bardzo by się Aeroklubowi Elbląskiemu przydały.

* * *

Elbląski „Antek” już po jego przejściu miał na swoim koncie kilka nieciekawych incydentów. Chyba najważniejszym takim zdarzeniem było lądowanie Aleksego Filaszkiwicza, kiedy to doszło do „postawienia” go na „nosie”. W praktyce wyglądało to dość zaskakująco. Kiedy samolot toczył się już po pasie i miał jeszcze sporą prędkość, pilot ściągnął wolant na siebie a jednocześnie zaciśnął hamulec główny. No i wtedy stało się to, co nie powinno mieć miejsca. Samolot

oparł się maską silnika o ziemię i uszkodzone zostało śmigło. Z tym zdarzeniem było wiele kłopotów. Po pierwsze wstrzymano uprawnienia do wykonywania lotów tym typem samolotu dla pana pilota, a sam samolot musiał mieć wykonany przegląd techniczny oraz wymienione (najbardziej uszkodzone) śmigło.

Od tego fatalnego incydentu z lądowaniem w tle zaczęły się kłopoty z elbląskim „Antkiem”. Nadszedł czas, po „okrągłym stole” i Polska była w przebudowie. Ten ciężki okres także dla całego Aeroklubu Elbląskiego był walką o przetrwanie. Nikt z członków stowarzyszenia lotniczego nie był przygotowany do funkcjonowania w nowych warunkach. Wszystkiego należało się uczyć organoleptycznie, czyli metodami prób i ciągłych błędów. Naprawdę było ciężko.

Najprawdopodobniej w trakcie tego fatalnego lądowania został mocno nadwyrężony karter silnika, zamontowany w naszym *An-2*. Dość długo się z tym problemem mordowano. Samolot latał, ale miał ogromne zużycie oleju. Wreszcie, gdy nie znaleziono innego rozwiązania, podjęto decyzję o wymianie silnika. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, tym bardziej gdy brakuje pieniędzy. W klubie robiono różne rzeczy. Były to loty pasażerskie oraz wiele nie mających nic wspólnego z lotnictwem poczynień, żeby choć mieć pieniądze na mikre pensje zatrudnionego personelu lotniczego. Wynikało to z jednego powodu. Powszechnie mówiono, iż likwiduje się bardzo łatwo i szybko. Zaś z odbudową bywa różnie i raczej się nie udaje. Dlatego tamta determinacja to był czas, który



Fot. Edward Jaremczuk

po dziś dzień jest dowodem, że zdeterminowany człowiek wiele może.

W końcu pieniądze na silnik dla *An-2* się znalazły i samolot mógł znowu latać. Ale, jak to w życiu, okazało się, iż natychmiast trzeba wykonać wymianę pokrycia kadłuba oraz skrzydeł i statecznika, bowiem to, co znajdowało się na samolocie, to były resztki tkaniny, pokryte różnymi łatanami i farbą. Dalsze latanie tak zniszczonym płatowcem groziło katastrofą. Wtedy odezwali się spadochroniarze i zaryzykowali przygotowanie do remontu w zamian za możliwość wykonywania skoków, o ile ten kolejny remont uda się przeprowadzić, bo pieniędzy nadal brakowało. Tutaj niezwykle determinacja wykazał się ówczesny instruktor spadochronowy, Ireneusz Iwko. Dziś po latach wiemy, że to, co wtedy udało się zrobić, graniczyło z cudem.

Z czasem zaczęło okazywać się, że eksploatacja *An-2* to coraz droższe wyzwanie. Stało się tak, iż każda wylatana przez ten samolot godzina generowała co najmniej kilka godzin pracy obsługi naziemnej. Z każdym dniem, tygodniem było coraz gorzej. Wreszcie samolot dotrwał do roku 2012, kiedy kierownictwo AE ostatecznie doszło do jednej z moż-

liwych opinii – my (co oznacza Aeroklub Elbląski) już nie jesteśmy w stanie samolotu samodzielnie utrzymać! Koszty utrzymania tego „sentymentalnego” *le-tadla*, mówiąc brutalnie, zwyczajnie nas „zabijają”.

Wszystko ma swój koniec Lot do Zegrza Pomorskiego

Samolot w trakcie eksploatacji w aeroklubie przeszedł co najmniej cztery zmiany malowania lub remonty, a ostatnie w pierwszej dekadzie XXI wieku, najprawdopodobniej między 2006-2008 rokiem. Do 2012 roku uczestniczył w wielu piknikach lotniczych, lotach widokowych, lotach na szczepienie lisów przeciw wściekliznie, wywożeniu spadochroniarzy i sesjach fotograficznych.

W latach 1980 – 2012 samolot An-2 spędził (łącznie) w trakcie lotów: około 3 800 godzin. Przykładowo w PUL Gdańsk wykonał 442 loty w czasie 429 godzin i 54 minuty. Po przejęciu „Antka” przez Aeroklub Elbląski, w latach 1982 – 1994 spędził w powietrzu spędził 1639 godzin. W latach do momentu sprzedaży spędził w powietrzu 2160 godzin. Skoro samolot był użytkowany w AE przez 32 lata, to średni nalot roczny wyniósł około 120 godzin. Jak na warunki polskiego klubu lotniczego jest to całkiem przyzwoity wynik.

Niestety, rok 2012 był ostatnim, kiedy samolot wykonywał jeszcze loty na rzecz Aeroklubu w Elblągu i w czerwcu tegoż roku został sprzedany. Nie odleciał daleko, bo bazował z województwie zachodniopomorskim, a dokładnie na lotnisku w Zegrzu Pomorskim. Nowym jego właścicielem został wtedy Krzysztof

Bilaszewski, właściciel PPHU „Gwiazda”. Po zmianie właściciela samolotu z jego burty usunięto napis, który utożsamiał wzmiankowany statek powietrzny z regionem Żuław, gdzie najczęściej były wykonywane nim loty. Napis umieszczony był pod górnym płatem górnego skrzydła.

Samolot w okresie od 2012 do 2016 wykonywał głównie loty na sezonowe zrzuć szczepionki przeciw wściekliznie i pojawiał się na lotniskach, z których wykonywano loty na rzecz firmy PPHU „Gwiazda”. Tak na marginesie to p. Bilaszewski przez kilka lat z rzędu wygrywał nieomal wszystkie tego typu przetargi w Polsce. Zazwyczaj loty zrzućowe odbywały się w województwach lubuskim, śląskim i mazowieckim.

W styczniu 2016 roku wiadomo już było, że do akcji szczepienia lisów przeciw wściekliznie ze względów ekonomicznych przystosowane zostały samoloty typu *Cessna*. W konsekwencji drastycznej zmiany kosztów usług firma PPHU „Gwiazda” sprzedała wszystkie swoje trzy samoloty typu *An-2*, w tym również i ten z rejestracją SP-KBA.

Epopcja zagraniczna

Ostatecznie samoloty zostały rozebrane na lotnisku w Zegrzu Pomorskim i załadowane do kontenerów. Ciężarówkami zostały dostarczone do portu Szczecin-Świnoujście, gdzie zostały załadowane na pokład statku i udały się w drogę do Ameryki Południowej. Po długiej podróży morskiej złożone samoloty dotarły w końcu w kwietniu 2016 roku do Wenezueli.

Jedyne zdjęcie, ukazujące SP-KBA w jego elbląskich barwach na te-

renie Ameryki Pd., zostało znalezione na *Facebooku*. Zdjęcie wykonał Roberto Guarate w grudniu 2016 roku podczas pobytu na lotnisku **Ocumare del Tuy**, niedaleko Caracas. Zdjęcie pokazuje samolot, który nie do końca jest rozmontowany, stoi na swoim podwoziu, ale jest bez skrzydeł i stateczników.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż SP-KBA lata teraz ze znakami YV3355 i został przemalowany w inne barwy (czerwony z żółtymi akcentami). W ciągu ostatnich lat widziany był na lotniskach w Ciudad Bolivar i w Canaimie. Aby to potwierdzić w 100% potrzebna jest analiza porównawcza szczegółów samolotu na fotografiach, gdy był jeszcze w Polsce i dość słabych zdjęć „zawieszanych” w *social mediach* z Wenezueli.

Jest to o tyle smutna informacja bowiem na światowych rynkach samolotów do działalności z lotnisk polowych (i co za tym idzie - wiejskiej naziemnej obsłudze technicznej) jest sporo tanich oraz używanych samolotów produkcji krajów zachodnich.

Zatem śmiało można postawić tezę, że elbląski *An-2* powoli dociera do miejsca, gdzie zamieni się w lotniczy złom, a może przynajmniej początkowo będzie zwyczajowym dostawcą części, które można wykorzystać w remontach innych samolotów. Tłumacząc to zdanie na język przeciętnego czytelnika powiem, iż brutalnie mówiąc taki proceder, jak „kanibalizm” części zapasowych, dokona prawdziwej dekapitalizacji i zniszczenia byłej elbląskiej jednostki latającej typu *An-2*. I to będzie prawdopodobnie ostateczny koniec samolotu z Elbląga.

Podsumowanie

Samolot *An-2P*, który używany był przez 32 lata przez Aeroklub Elbląski, nr seryjny: 1G185-06, nr rejestracyjny (znaki rejestracyjne) SP-KBA został wyprodukowany w mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w roku 1980. Zakupiony został za środki pozyskane z puli wytypowanych zakładów województwa elbląskiego na potrzeby transportu dla Urzędu Wojewódzkiego w Elblągu.

Po krótkim epizodzie, kiedy *An-2* eksploatowany był przez gdański PUL (Przedsiębiorstwo Usług Lotniczych) zdecydowano się ostatecznie samolot przekazać w użytkowanie Aeroklubowi w Elblągu. Samolot w trakcie użytkowania przez AE przeszedł co najmniej cztery zmiany pokrycia (malowanie) lub remonty kadłuba i skrzydeł. Ostatnie – w pierwszej dekadzie XXI wieku, najprawdopodobniej między 2006 – 2008. Do 2012 roku uczestniczył w wielu piknikach lotniczych, lotach widokowych, lotach na szczepienie lisów przeciwko wściekliznie, wywożeniu spadochroniarzy oraz wielu sesjach fotograficznych.

Niestety rok 2012 był ostatnim, kiedy samolot był wykorzystywany przez Aeroklub Elbląski. Ostatecznie na skutek szybkiej dekapitalizacji samolotu, jak również skokowego wzrostu kosztów jego utrzymania kierownictwo klubu w porozumieniu z zarządem AE zdecydowano się podjąć próbę jego sprzedaży.

Dość szybko po ogłoszeniu oferty sprzedaży odezwał się pan Krzysztof Bilaszewski, właściciel przedsiębiorstwa PPHU „Gwiazda”. Szybko przeprowa-

dzono negocjacje w sprawie sprzedaży i ostatecznie za kwotę około 50 tys. zł samolot został sprzedany. Następnie An-2 został przetransportowany na lotnisko w Zegrzu Pomorskim do bazy firmy „Gwiazda”. W ten dość prozaiczny sposób elblązanie rozstali się z samolotem, który został im przekazany nieodpłatnie.

Praktycznie nikt z władz AE nie widział potrzeby poinformowania tych zakładów, które nadal istnieją – a partycipowały (kierując swoje środki finansowe na zakup tego samolotu) o planowanym zamiarze sprzedaży ani tym bardziej podzieleniu się środkami uzyskanymi ze sprzedaży. Być może nie jest to już po tylu latach istotne, ale należy pamiętać, iż w momencie wielkiego zrywu społeczeństwa polskiego (przełom lat 80. i 90. XX wieku) mieszkańcy regionu elbląskiego raczyli wyrazić swoją dezaprobatę do takiego sposobu dysponowania środkami finansowymi, będącymi w gestii robotników tych wskazanych zakładów pracy. Przecież dziś niekoniecznie ekipy, sprawujące władzę w Polsce, chcą spojrzeć wstecz i przypomnieć sobie, jak na określone niegodziwości od zawsze patrzy klasa robotnicza. To, co pisze autor, jest tylko przyczynkiem, że nie zawsze chce się widzieć to, co ważne i istotne dla ludzi. Teraz też liczy się tylko to, co ja robię, preferuje tylko to, co było i będzie dobre dla mnie – a nie dla innych.

Że tak się stało również w przypadku sprzedaży elbląskiego „Antka”, doskonale pokazują jego dalsze losy. Smutne to.

PS: Jako potwierdzenie, że w „przyrodzie” nic nie znika, autor przywołuje przykład samolotu typu An-2,

użytkowanego przez Fundację „Biało-Czerwone Skrzydła”. Tak się złożyło, iż przy rejestracji tegoż egzemplarza „Antka” okazało się, iż jest „wolna rejestracja” po podobnym samolocie. Właścicielom się podobała i mamy ciekawą kontynuację kolejnego An-2 z rejestracją SP-KBA. Dodatkowo ten An-2 otrzymał ciekawe malowanie. Autorowi się podoba.



Powyższy artykuł (jego fragmenty)) były prezentowane przez Edwarda J. Jaremczuka w trakcie jubileuszowej konferencji „W dychę” poświęconej przeszłości lotnictwa z cyklu: „Historia skrzydłami malowana” pod patronatem prezydenta Koszalina

Koszalin, 9 – 10 czerwca 2023 r.

Dylematy tożsamości narodowej Litwinów

Powierzchnia Republiki Litewskiej wynosi obecnie 65 200 km². Jej rozciągłość z zachodu na wschód dochodzi do 373 km, zaś z północy na południe do 276 km. Długość lądowych granic wynosi 1747 km a morskich 99 km; razem 1846 km. Na północy graniczy z Łotwą (610 km), na wschodzie i południu z Białorusią (724 km), na południowym zachodzie z Polską (110 km – od jeziora Wysztyńskiego do miasteczka Kopciowa, Kapčiamiestis) oraz z Obwodem Kaliningradzkim Federacji Rosyjskiej (Obwód Królewiecki). Na zachodzie granicę morską wytycza północna część Zalewu Kurońskiego i Mierzei Kurońskiej (od miasta Neringa) oraz pas wybrzeża morskiego od portu w Kłajpedzie (Klaipėda) do miasta Święta (Šventoji), leżącego u ujścia do morza rzeki o tejże nazwie, odgraniczającej Litwę od Łotwy. Kto by z nas nie wiedział, że: „Tam na północ! Hen daleko! Szumią puszcze ponad rzeką. Tam świat inny, lud odmienny, kraj zapadły, równy, senny... Puszcze czarne, zboże marne, niebo bledsze, trawy rzadsze, rojsty grząskie, groble wąskie... Wół za rogi orze zgłiszcze, w ostrym żwirze socha świszczce, a za drogą gdzieś w postronnie ciągną wózki jednokonne. Koń obłoczny w wózkach małych, lud w chodakach z łyka szytych, w chatach dymem ogorzałych, dranicami płasko krytych...”¹.

¹ T. Krzywicki, *Litwa. Przewodnik*, Pruszków 2014; *Dzieła poetyckie* Wincentego Pola, T. III, oprac. J. Sroczyński, M. Wiśniowiecki, Stanisławów 1903.

Wśród tego niewesołego, a jednak ukochanego krajobrazu od czasu do czasu ukaże się „Zamek na barkach nowogródzkiej góry [co to] od miesięcznego brał po złotą blasku”² albo jasna, rozległa przestrzeń, do której – „jeżeli nocną przybliżysz się dobą i zwrócisz ku wodom lice: gwiazdy nad tobą, gwiazdy pod tobą i dwa zobaczysz księżycy”³.

Litwa etnograficzna obejmuje Litwę Wielką i Małą. Litwa Wielka (Didžioji Lietuva) rozciągała się na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego⁴, które zostały zasiedlone przez Litwinów w zwartym osadnictwie. Były to zasadniczo dwa województwa: wileńskie z 5 powiatami (wileńskim, oszmiańskim, lidzkim, wilkomirskim i brasławskim) i trockie z 4 powiatami (trockim,

² A. Mickiewicz, *Grażyna*, [w:] A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, Warszawa 2003, s. 257.

³ A. Mickiewicz, *Świtez*, Warszawa 1989, B. Wachowicz, *Wielcy Polacy na Kresach*, Warszawa 2018.

⁴ Historiografia rosyjska doby zaborów lansowała określenie „państwo litewsko-ruskie” zamiast Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na okres sowiecki z kolei przypada inne stanowisko, mianowicie przyjmowanie obecnych granic dla historii, stąd np. rozprawy z filozofii Litwy XVI-XVII w., litewskiej polityce zagranicznej tego okresu itp. Tak więc trudno izolować ten kraj od Rzeczypospolitej, a już zupełnie nie można traktować odrębnie od Białorusi, z którą nigdy Wileńszczyzna nie miała granic aż do 1990 r. Litwa jako państwo odrębne wtedy nie istniała, nie mogła też prowadzić odrębnej polityki z zagranicą. *Polska a jej nowi sąsiedzi* (1989–1993), (Praca zbiorowa), Toruń 1994, s. 45.

grodzieńskim, kowieńskim i upickim) oraz księstwo (oficjalna nazwa Żmudzi – Księstwo Żmudzkie), dzielące się na 29 powiatów. Litwa Wielka to głównie krainy historyczne: Żmudź (Žemaitija) i Auksztota⁵ (Aukštaitija). Są to pojęcia geograficzne i historyczne, pod którymi prawdopodobnie kryły się nazwy plemienne. Geneza nazw „Auksztota” i „Żmudź” sięga XIII w. Granicą między nimi była rzeka Niewiara (Nevėžis), z wyjątkiem górnego odcinka tej rzeki. Natomiast Auksztota to ta część Litwy, która leży na wschód i południe od Żmudzi, tj. od Niemna w środkowym biegu i od Niewiaży. Jej granice nie były bliżej określone.

Wyodrębnioną częścią Auksztoty jest Dzukija⁶ (nazwa litewska),

⁵ Żmudź w j. polskim znaczy „niski kraj” (žemas – niski). Auksztota w j. polskim znaczy „kraj wysoki” (aukštas – wysoki). Obecnie krainy niezbyt odpowiadają swoim nazwom, Żmudź zajmuje w dużej mierze tereny wyżynne (Wyżyna Żmudzka), a Auksztota to nie tylko tereny wyżynne (Wyżyna Auksztocka, zajmująca niewielki obszar), ale także rozległe niziny. Tę sprzeczną sytuację tłumaczy to, że w okresie z którego pochodzą obie nazwy, Żmudzini zajmowali obszary nizinne, zapewne nad rzeką Niewiarą, a Litwini (w znaczeniu mieszkańców Auksztoty) mieszkali na Wyżynie Oszmiańskiej, tj. między Wilnem a Krewem.

⁶ Nazwa „Dzukija” jest późna, pochodzi z XIX w. i służy do określenia litewskiej grupy etnograficznej i dialektu Dzuków. Pod względem językowym Dzukowie dzielili się tradycyjnie na dwie części: zachodnią (zwaną południowoauksztocką) i wschodnią (zwaną wschodnio-auksztocko-wileńską). Pierwsza obejmuje obszar od Puńska w Polsce aż po Wilię i Wilno (jednak bez samego miasta), a druga część – od Wilna do Ignaliny, a więc pod granicę łotewską. Obecnie podział ten odrzucono i używa się nazwy Dzuki zachodnie, których gwarę nazywa się południowoauksztocką.

zwana też Litwą południową. Obejmuje ona obszar po obu stronach środkowego biegu Niemna, w rejonach: Olita (Alytus), Łoździeje (Lazdijai), Traki (Trokai) i Orany (Varėna), a więc na północny wschód od granic Polski. Obok dwóch głównych krain litewskich wymienia się jeszcze Zaniemenie⁷, zwane też Sadowią (też Sudawia) lub Suwalszczyzną (Užnemunė, Sūduva, Suvalkija), czyli obszary na południe i zachód od środkowego biegu Niemna, mniej więcej między Kownem a Augustowem (w Polsce). W skład Małej Litwy (Mažoji Lietuva)⁸, tzw. Litwy Pruskiej, wchodziły przylegające do Wielkiego Księstwa Litewskiego tereny Prus, zasiedlone w zdecydowanej większości przez Litwinów. Litwini ci znajdowali się poza państwem litewskim: najpierw w państwie zakonu krzyżackiego (do jego rozwiązania w 1525 r.), potem

⁷ W okresie Średniowiecza były to tereny zasiedlone przez Jaćwiągów, plemię bałtyckie spokrewnione z Litwinami. Na skutek najazdów krzyżackich ich tereny podzielono między Krzyżaków i Litwinów, do których przeszła ostatecznie większa część Suwalszczyzny na mocy traktatu pokojowego między zakonem krzyżackim a Litwą w 1422 r. Wytyczona granica między obu państwami przebiegała głównie wzdłuż rzeki Szeszupy i jej dopływu Lepony oraz równolegle do dolnego biegu Niemna.

⁸ Obszar położony na prawym brzegu rzeki Pregoly, w północno-wschodniej części Prus Wschodnich. Na terenie tym mieszkała ludność litewska, która z czasem była wypierana przez niemieckich osadników. Początkowo był to naturalny, spontaniczny proces, który po 1871 r. władze pruskie zamieniły w systematyczną akcję germanizacyjną. Przed wybuchem I wojny światowej obszar w znacznym odsetkiem ludności litewskiej obejmował już tylko tereny na prawym brzegu Niemna. Był to tak zwany Kraj Kłajpedy (niem. Memelland). P. Łossowski, *Kłajpeda kontra Memel. Problemy Kłajpedy w latach 1918–1939–1945*, Warszawa 2007.

w Prusach Książęcych, będących lennem Polski (od 1525 r. do 1657 r.), a w okresie późniejszym stanowiących część państwa niemieckiego Prus (od 1701 r. Królestwa) i dzielących jego losy do XX w. W skład Małej Litwy wchodziły następujące okręgi Prus Wschodnich: Kłajpeda (niem. Memel), Tylża (niem. Tilit, obecnie Sowietsk), Magneta (niem. Granit, obecnie Nieman), Wystruć (niem. Insterburg, obecnie Czerniachowsk) i Labiawa (niem. Labiau, obecnie Polessk). System wierzeń plemion litewskich był związany z kultem przyrody, zjawisk naturalnych i ciał niebieskich. Obrzędy rytualne odprawiano dla uzyskania większych zbiorów, sukcesu w polowaniach i wyprawach wojennych, być może działo się to w jakichś zabudowaniach (świątyniach), ale zapewne częściej raczej w miejscach kultowych (lasy), na cmentarzyskach. Prawdopodobnie w okresie pierwszych wzmianek pisanych o Litwie czczono przede wszystkim bóstwa żeńskie – Matkę Wszystkich Bogów, Matkę Ziemię i Matkę Drzew, ale także ciała niebieskie – słońce, księżyc, gwiazdy, zjawiska przyrody – zorzę (aušra), wiatr (vegas), a wreszcie szczęście, los, śmierć etc. W tym systemie funkcję głównego kapłana pełnił sam *kunigas*, a poszczególne wspólnoty miały swych kapłanów, których rola społeczna nie do końca jest jasna. Plemiona litewskie trudniły się przede wszystkim rolnictwem, wspieranym przez myślistwo i rybołówstwo⁹.

Przez stulecia Polacy dzielili się na koroniarzy (zamieszkiwali Królestwo Polskie) oraz Litwinów (zamieszkujących Wielkie Księstwo Litewskie). W XVIII czy XIX w. nikogo nie dziwiło, że ktoś uważa się jednocześnie za Litwina i Pola-

⁹ Ibidem.

ka¹⁰. Nasi przodkowie marzyli o odbudowie Rzeczypospolitej Obojga Narodów¹¹. Obecnie trudno sobie wyobrazić osobę, która uważałaby się jednocześnie za Polaka i Litwina. Wydaje się, iż jedną z ostatnich takich osób był Adam Mickiewicz. Gdy pisał: „Litwo, Ojczyzno moja!”, nie uważał się przecież za etnicznego Litwina, wyznawał natomiast w tych słowach, iż czuje się związany z ziemiami Wiel-

¹⁰ Wiktor Sukiennicki, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, po II wojnie światowej zaś Oxfordu i Uniwersytetu Stanforda – ogłosił szkic *Polityczne konsekwencje błędu semantycznego*. Dlatego też, aby uniknąć niejasności, należy poczynić pewne założenia wstępne: określenia Polak używać będziemy w znaczeniu politycznym: mieszkaniec, obywatel Korony, nie zaś etnicznym; słowo Litwin zaś oznaczać będzie mieszkańca Wielkiego Księstwa Litewskiego.

¹¹ W. Wielhorski, *Polska a Litwa. Stosunki wzajemne w biegu dziejów*, Londyn 1947; G. Błaszczak, *Dzieje stosunków polsko-litewskich od czasów najdawniejszych do współczesności*. T. I, *Trudne początki*, Poznań 1998; Idem, *Dzieje stosunków polsko-litewskich*. T. II, *Od Krewa do Lublina*, cz. I, Poznań 2007; P. Łossowski, *Stosunki polsko-litewskie w latach 1918–1920*, Warszawa 1966; Idem, *Konflikt polsko-litewski 1918–1920*, Warszawa 1996; Idem, *Stosunki polsko-litewskie 1921–1939*, Warszawa 1997; Idem, *Litwa a sprawy polskie, 1939–1940*, Warszawa 1985; K. Buchowski, *Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918–1940*, Białystok 1999; Idem, *Litwomani i polonizatorzy. Mity, wzajemne postrzeganie i stereotypy w stosunkach polsko-litewskich w pierwszej połowie XX wieku*, Białystok 2006; Idem *Szkice polsko-litewskie, czyli o niełatwym sąsiedztwie w pierwszej połowie XX wieku*, Toruń 2006; H. Wisner, *Wojna nie wojna. Szkice z przeszłości polsko-litewskiej*, Warszawa 1978; K. Tarka, *Konfrontacja czy współpraca? Litwa w polityce Rządu Polskiego na uchodźstwie 1939–1945*, Opole 1998; A. Srebrakowski, *Sejm Wileński 1922 roku. Idea i jej realizacja*, Wrocław 1993; Idem, *Polacy w Litewskiej SRR 1944–1989*, Toruń 2001; B. Bobryk, *Odradzenie narodowe Polaków w Republice Litewskiej 1987–1997*, Toruń 2007.

kiego Księstwa Litewskiego. Według ks. Waleriana Meysztowicza, urodzonego w Pojościu koło Poniewieża – w pałacach, dworach i chatach, nikomu to nie przeszkadzało być Polakiem. Przynależność do dwóch narodów, stanowiących jedną Rzeczpospolitą, była powszechnie przyjęta. Nie było zasady „wyłącznieści narodowej”. Nie zabroniono Litwinowi być Polakiem ani Polakowi Litwinem. Języki, choć pomieszane, nie dzieliły ludzi – nie istniał „nacjonalizm glotologiczny: to znaczy nacjonalizm czysto językowy”. Jednak wraz z nasileniem się prądów nacjonalistycznych – żądano jednoznacznych deklaracji: jesteś Polakiem czy Litwinem? Litewski ruch odrodzenia narodowego uważał, iż na historycznej Litwie nie ma Polaków, są tylko spolonizowani Litwini, którzy mają wrócić do tożsamości przodków¹².

Teodor Bujnicki, którego Czesław Miłosz nazywał „Ostatnim [...] Bardem Wielkiego Xsięstwa”¹³ w wierszu

¹² Ks. W. Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, t. 1 i 2, Londyn 1973-1974; J. Bardach, *Z dziejów mentalności feudalno-konserwatywnej: (w związku z książką ks. Waleriana Meysztowicza, Gawędy o czasach i ludziach*, t. 1 i t. 2, Londyn 1973-1974, Przegląd Historyczny 68/1, 107-126, 1977; M. A. Supruniuk, *Ks. Prof. Walerian Meysztowicz i Polski Instytut Historyczny w Rzymie*, Archiwum Emigracji, Studia – Szkice – Dokumenty Toruń, 2013, Z. 1 (18); E. Tierling, *Księżdz [Waleriana] Meysztowicza „Gawędy o czasach i ludziach”* [w:] *Literackie Kresy i bezkresy. Księga ofiarowana profesorowi Bolesławowi Hadaczko*, (pod red.) K. R. Łozowskiej i E. Tierling, Szczecin 2000, s. 161-186; M. Paszkiewicz, *Walerian Meysztowicz (1893-1982)*, „Teki Historyczne” 18 (1985), s. 188-191; H. D. Wojtyńska, *Ks. Walerian Meysztowicz i jego „Antemurale”* [w:] *Mistrz i przyjaciel. Księga pamiątkowa ku czci Księdza Profesora Marka Tomasza Zabajkiewicza*, (pod red.) J. Pałucki, Lublin 1997, s. 107-111.

¹³ Cz. Miłosz, *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*; Tenże, *Wiersze*, Kraków 1987, t.2, s. 244.

„Ojczyzna” pisał:

*„Nie znajdzie nigdzie serce takich leśnych jarów,
Takich oczu serdecznych, takich niskich chat,
Nie znajdzie olch nadbrzeżnych, żółtych nufarów,
Takich piosnek żalosnych, takich prostych szat.*

*Bo te nieba wyblakłe, ta gleba nieżywna,
Te chmurne listopady, ten radosny maj –
To jedyna dla serca i ducha ojczyzna,
Mniejsza czy białoruski, czy litewski kraj”¹⁴.*

Naród litewski był budowany wokół tworzonego, nowoczesnego języka litewskiego, który stanowił właściwe spoiwo. Łączące wszystkich Litwinów¹⁵. Drugim ważnym elementem spajającym była odpowiednio zinterpretowana historia Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie szczególnie miejsce zajmowało Wilno. Tomas Venclova, w „Dialogu o Wilnie”, pisze wręcz, że: „Litwa bez Wilna jest państwem-efemerydą, a z Wilnem zdobywa całą swą przeszłość i całą historyczną odpowiedzialność”¹⁶. Natomiast Wilno promieniowało kulturotwórczo na inne obszary, tworząc własne wzory literackie i wzory sztuki, wytwarzając własnego konsumenta kultury, własną „publiczność

¹⁴ STO. Poezje, s. 14; Teksty Drugie, 3/4, 68/69, Łódź 2001; J. Wojtkiewicz, *90 lat temu powstała grupa „Zagary”*, „Magazyn Wileński”, (15.04.2021 r.) <http://www.magwil.lt/material,ostatnia-wilenska-plejada,673.html>

¹⁵ T. Venclova, *Eseje. Publicystyka*, Sejny 2001, s. 117 i 204; P. Vileišis, *Rinktiniai ratai*, Vilnius 2004, s. 547-569; *D-ro Jono basanavičiaus*, Vilnius 1936, s. 25-28; Z. Stoberski, *Historia literatury litewskiej*. Zarys, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1986, s. 8.

¹⁶ C. Miłosz, T. Venclova, *Dialog o Wilnie*, „Kultura” 1979, nr 1-2, s. 32.

literacką”. Wilno i jego okolice stanowiło istotny punkt odniesienia dla innych terytoriów (państwowych i regionalnych), pozostając z nimi w konflikcie bądź w różnych typach współpracy. Warto przy tym pamiętać, iż z miejską przestrzenią Wilna kontrastowała wiejska lub małomiasteczkowa przestrzeń Wileńszczyzny, z własnymi wzorcami kulturowymi (i przyzwyczajającymi literackimi). Były to często wzorce kultury drobnoszlacheckiej lub chłopskiej – folklorystycznej (także litewskiej i białoruskiej)¹⁷. Przedstawiciele młodych elit wileńskich bolała prowincjonalność Wilna, tak odstająca od wielkiej tradycji. Sugestywnie przedstawiał obraz miasta Czesław Miłosz, choć trudno wątpić, że poeta prowokował świadomie współczesnych: „Wilno, piękne i ponure miasto północne. Przez okno widać bruk wyboisty, kałuże i kupy nawozu. Dalej – poszczerbiony mur i drewniane płoty (...). Biedna stolica! Czyż nie jest śmieszny spór o te splątane uliczki żydowskiego ghetta? O ruiny książęcego zamku? O kilka ubogich powiatów, których ludność hoduje len na jałowych piaskach i zamiast machorki pali wiśniowe liście, a zamiast zapalek ma krzesiwo”¹⁸. „Stare” Wilno, ze swoją specyficzną formułą współżycia, należy do przeszłości. Można jeszcze raz przypomnieć Czesława Miłosza, który Wilno nazwał „miastem bez imienia”, bez imienia, gdyż przez jednych jest ono ignorowane w swojej dawnej postaci jako „Wilno”, a nazwa „Vilnius” jest indyferentna w oczach innych; bez imienia, gdyż bezpowrotnie umarło i na-

¹⁷ T. Bubnicki, *W Wielkim Księstwie Litewskim i w Wilnie*, Warszawa 2010, s. 19.

¹⁸ Tenże, *Wilno czeka*, „Zagary”, Pismo literackie 1933, nr 1(23).

dal istnieje tylko w pamięci nielicznych żyjących...”¹⁹. Obecne Wilno, jak nigdy wcześniej, ma wspaniałą perspektywę nowej formuły współżycia, opartej na zasadach obywatelstwa.

Narody mieszkające w Europie Środkowo-Wschodniej były, przez dłuższy lub krótszy okres, pozbawione suwerenności państwowej²⁰. Związek Sowiecki podporządkował ten obszar militarnie, politycznie, gospodarczo i ideologicznie. Według słów Ignacego Jana Paderewskiego²¹: „Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza.

Nie zabroniono nam Chopina. A jednak w Chopinie tkwi wszystko, czego nam wzbraniało: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń”. „Nowe demokracje”²² Europy Środko-

¹⁹ A. Fiut, „*Dans ma Patrie*”. *La Lituanie et Wilno dans la poesie de Czesław Miłosz*, [w:] *Les confins de l'ancienne Pologne, Ukraine, Lituanie, Biélorussie*, Presses universitaires de Lille, 1998, s. 244.

²⁰ J. Chlebowczyk, *Procesy narodziwocze we wschodniej Europie środkowej w dobie kapitalizmu*, Warszawa-Kraków 1975; W. Balcerak, *Powstanie państw narodowych w Europie Środkowo – Wschodniej*, Warszawa 1974; M. Waldenberg, *Kwestie narodowe w Europie Środkowo – Wschodniej*, Warszawa 1992; J. Kłoczowski, *Młodsza Europa. Europa Środkowo-Wschodnia w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej średniowiecza*, Warszawa 1998, s. 44;

²¹ M. M. Drozdowski, A. Piber, (red.) *Ignacy Jan Paderewski. Mysł o Polsce i Polonii*, Paris 1992.

²² R. Dahl, *Demokracja i jej krytycy*.

wo-Wschodniej stały się interesującym tematem badań w naukach politycznych. Państwa Europy Środkowo-Wschodniej – Czechosłowacja, Polska i Węgry wykazały się znaczną aktywnością oraz inicjatywą. Wejście Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Litwy, Łotwy, Estonii, Rumunii i Bułgarii do Unii Europejskiej może świadczyć o tym, że region ten został za-uwazany na arenie międzynarodowej. Oba kraje zamieszkiwane przez narody sukcesyjne Rzeczypospolitej Obojga Narodów posiadają liczne, zbieżne interesy. Ważne zatem, aby – jak mawiał „spolonizowany Litwin”, Jerzy Giedroyc – uwolnić się z „nacjonalistycznej zarazy” i zrozumieć, iż Europa Wschodnia to nasz wspólny dom²³. Papież Jan Paweł II swój stosunek do przeszłości i teraźniejszości, do dziedzictwa przeszłości i jego przemian wyraził w szczególny sposób 9 listopada 1982 r. w czasie pielgrzymki do Hiszpanii, obwieszczając „Akt Europejski”. Podkreślił w nim: „Zwracam moje spojrzenie ku Europie jako kontynentowi, który dał największy wkład w rozwój świata, tak w dziedzinie idei, jak pracy, nauki, sztuki. I gdy składam dzięki Panu, że zechciał oświecić ten kontynent światłem „Ewangelii” od samych początków apostołskiego przepowiadania, nie mogę przemilczeć sytuacji kryzysowej, w jakiej się znajduje. (...) Dlatego ja, Jan Paweł,

Kraków 1995; S. Huntington, *Trzecia fala demokracji*. Warszawa 1995; J. Ruszkowski, *Wstęp do studiów europejskich. Zagadnienia teoretyczne i metodologiczne*. Warszawa 2007; Tenże, *Ponadnarodowość w systemie politycznym Unii Europejskiej*. Warszawa 2010; Tenże, *Europeizacja ad extra w zarządzaniu zewnętrznym (external governance) Unii Europejskiej*, „Rocznik Integracji Europejskiej”, 2010, 4 (4).

²³ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 2006.

syn polskiego narodu, który zawsze uważał się za naród europejski ze względu na swe początki, tradycje, kulturę i żywotne więzy, syn narodu słowiańskiego wśród Latynów i łacińskiego pośród Słowian, ja, następca Piotra na Stolicy Rzymskiej, stolicy, którą Chrystus zechciał umieścić w Europie i którą kocha za jej trud szerzenia chrześcijaństwa na całym świecie, ja, biskup Rzymu i pasterz Kościoła powszechnego, z Santiago kieruję do ciebie, stara Europo, wołanie pełne miłości: Odnajdź siebie samą! Odkryj swe początki. Tchnij życie w swoje korzenie. Tchnij życie w autentyczne wartości, które sprawiły, że twoje dzieje były pełne chwały, a twoja obecność na innych kontynentach dobroczynna. Odbuduj swoją jedność duchową w klimacie pełnego szacunku dla innych religii i dla prawdziwych swobód. Oddaj cesarzowi co cesarskie, Bogu zaś to co Boskie. Nie chełp się swoimi podbojami, pomna na ich możliwe negatywne konsekwencje. (...) Jeśli Europa będzie zjednoczona, a może być z należnym respektem dla wszystkich jej różnicowań, wraz z tymi, jakie wynikają z różnorodności systemów politycznych, jeśli Europa w swoim życiu społecznym zacznie rozumować z całą mocą, jaką zawierają niektóre zasady „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka”, „Europejskiej Deklaracji Praw Człowieka” czy „Akt Końcowy KBWE”, jeśli Europa w swoim życiu religijnym zechce działać z należnym uznaniem i szacunkiem dla Boga, w którym ma swe uzasadnienie wszelkie prawo i wszelka sprawiedliwość (...)”²⁴.

²⁴ Akt Europejski, Santiago de Compostella, 9 listopada 1982 r., [w:] S. Sowiński, R. Zenderowski, *Europa drogą Kościoła. Jan Paweł II o Europie i europejskości*, Wrocław – Warszawa – Kraków 2003, s. 191-193.

Stawiając pytanie budowy ładu zintegrowanej Europy po II wojnie światowej, papież zauważył: „(...) rychło po zakończeniu II wojny światowej wielu Europejczyków złączyło przekonanie, że podziały wśród ludzi i antagonizmy pomiędzy krajami nie są czymś nieuniknionym. Trzeba było zapewnić pokój na fundamencie trwałego porozumienia, odtworzyć niezbędne warunki jedności. Ludzie, którzy sami zaznali cierpienia, wystąpili z inicjatywą, proponując krajom Europy zaangażowanie się we współpracę trwalszą niż dotychczasowe przymierza i utworzenie i utworzenie Wspólnoty. Spośród jej twórców należy przypomnieć takie postacie, jak Jean Monnet, Robert Schuman, Alcide Gaspari, Konrad Adenauer, Winston Churchill, Pauli Henri Spaak. Ich zasługą, podobnie jak wielu innych, których nazwiska nie sposób wyliczyć, jest to, że nie pogodzili się z rozbiciem Europy, co umożliwiło jej odbudowę, rozwinięcie jakże wspaniałego dziedzictwa kulturalnego i materialnego, odnalezienie dawnego dynamizmu, nawiązującego do pozytywnych inspiracji płynących z historii. Założyciele Wszechinstytucji przeczuili, że centrum planów wspólnotowych winny się znaleźć sprawy gospodarcze, zarówno ze względu na sytuację światową, jak i dla uniknięcia zagrażającej pokojowi konkurencji. Rzeczywiście, nawiązano wówczas współpracę, której kontynuatorami jesteście Wy. Wasze założone zadania są trudne, wiele wysiłku wymaga nieraz uzgodnienie poglądów dla podjęcia przyszłych działań. Istnieje potrzeba dalszego potwierdzenia wspólnej woli działania i określenia całościowej wizji; odczuwacie konieczność większego współdziałania instytucji poli-

tycznych i ekonomicznych oraz partnerów reprezentujących siły społeczne i wszystkie, którzy przyczyniają się do tworzenia wspólnego dobra. Zgodne i zdecydowane działania wszystkich osób, obarczonych odpowiedzialnością, są konieczne dla podejmowania i rozwiązywania ludzkich problemów, które w nieubłagany sposób stawia życie gospodarcze. Wśród najbardziej palących wymienieć bezrobocie, kwestię wprowadzania w życie zawodowe ludzi najmłodszych, poważne zubożenie części społeczeństwa w kontekście ogólnej zamożności. Podstawową racją bytu działalności gospodarczej jest umożliwienie wszystkim godnego życia; uznanie tej zasady powinno doprowadzić do skuteczniejszego podporządkowania interesów partykularnych celom zasadniczym. Cele te Sobór Watykański II streścił w następujących słowach: <Zbytne nierówności gospodarcze i społeczne wśród członków czy ludów jednej ludzkiej rodziny wywołują zgorszenie i sprzeciwiają się sprawiedliwości społecznej równości, godności osoby ludzkiej oraz pokojowi społecznemu i międzynarodowemu>. Europejczycy winni wykazać większą zwartość w dziele budowania jedności. Wielki plan może się powieść tylko wtedy, gdy każdy zdoła się na twórczy wysiłek w służbie wspólnoty”²⁵.

²⁵ Jan Paweł II, *Przemówienie w siedzibie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, Bruksela, 20 maja 1985 r.*, [w:] S. Sowiński, R. Zenderowski, op.cit., s. 209 – 210.

Początki ormiańskiej tradycji „Obrazu nie uczynionego rękami” sięgają „Historii Armenii” z V wieku Mojżesza Choreńskiego, w której autor nazwał Abgara „królem ormiańskim”⁴. Mania Kazarian w książce „Mojżesz Choreński i sztuka” wspomina o tym wizerunku, odwołując się także do innych ormiańskich średniowiecznych źródeł bibliograficznych⁵. Liczba i treść tych źródeł wyraźnie wskazuje na preferencję Kościoła ormiańskiego właśnie dla tego Obrazu Chrystusa⁶. Badacz średniowiecznej ikonografii ormiańskiej, Hravard Hakobyan pisze: „Fakt, że historycy ormiańscy, poczynając od Mojżesza Choreńskiego, wspominali to jako wydarzenie związane z Armenią, świadczy o naszym szczególnym podejściu do ikon jeszcze od czasów starożytnych”⁷.

Unikatowym eksponatem, przechowywanym w Ermitażu w Petersburgu, jest fragment fresku „Zbawiciel nie rękami uczyniony” (Mandylion) z inicjałami ormiańskimi (pocz. XIII w., kościół Bachtagek, Ani) pochodzący z wykopalisk Nikołaja Marra, przeprowadzonych w 1892 roku w mieście Ani. Naszą uwagę przyciąga surowe i przenikliwe spojrzenie Chrystusa, spoglądającego nieco w lewo. Swoimi cechami nawiązuje do piękna wizerunków grecko-rzymskich, przywołując tym samym



„Zbawiciel nie stworzony rękami” z ormiańskimi inicjałami (pocz. XIII w., kościół Bachtagek, Ani), z wykopaliska Nikołaja Marra w 1892 r. w mieście Ani.

najlepsze tradycje sztuki bizantyjskiej okresu komneńskiego i macedońskiego.

Słynny „Cudowny obraz Chrystusa” z genueńskiego kościoła św. Bartłomieja⁸ został podarowany w 1360 roku przez cesarza bizantyjskiego Jana V Paleologa genueńczykowi Leonardo Montaldo za zasługi, które kiedyś wyświadczył. Następnie Montaldo, już jako doża, w 1388 r. przekazał tę ikonę ormiańskiemu kościołowi San Bartolomeo degli Armeni w Genui⁹. Ta znakomita

⁸ Zob. Հ. Վահան Յովհաննէսեան, Հայ եկեղեցի մը Ճենովայի մէջ // «Բազմավեպ», Վենետիկ, Սուրբ Ղազար, 1958, 8-9, s. 175-180; **Scolari A. C.**, *La Chiesa Di S. Bartolomeo Degli Armeni Di Genova* // *ATTI, Primo Simposio Internazionale Di Arte Armena* (Bergamo, 28-30 Giugno 1975), s. 641-647.

⁹ Zob. Սերբատի Ա., Ինչպիսին էր Քրիստոսի դեմքը (իտալերենից թարգ. Հ. վրդ. Տիլիզյանը, Մխիթարյան տպարան, Ս. Ղազար, Վենետիկ, 1988), վերատպվել է՝ Երևան, «Վահան», 1992, s. 12-13, Евсева Л. Нерукотворный образ Христа»

ikona jest bardzo wczesnym przykładem wschodniej szkoły sztuki bizantyjskiej, prawdopodobnie pochodzenia ormiańskiego.

Być może warto wspomnieć o tablicy z wizerunkiem Chrystusa na Chuście, chronionym przez dwa anioły, który znajduje się na boku złotej okładki (XV-XVII w.) „Ewangelii nr 96 Grigora Tatewaci” ze zbiorów św. Eczmiadzynu¹⁰. Cudowny obraz Pana znajduje się na ormiańskich ikonach i przedmiotach dekoracyjnych z czasów późniejszych (XVII-XIX w.), ponadto jako odrębna część innych kompozycji. Na przykład fresk z XVII wieku w kaplicy św. Geworga w świątyni Warag przedstawia króla Abgara z szatą Chrystusa w dłoni¹¹.

W skarbcu Aleka i Marii Manukianów w św. Eczmiadzinie znajduje się panoramiczny obraz (1834 rok) nieznanego artysty z licznymi postaciami. Jedną z nich jest sługa, stojący za Grzegorzem Oświecicielem, który trzyma sztandar z wizerunkiem cudownego obrazu Chrystusa. Na uwagę zasługuje także portret króla Abgara (1836, olej na płótnie, 82x63, św. Eczmiadzyn), którego autorem jest Mkrtum Hownatanian (1769-1845/46). W Galerii Sztuki Armenii jest przechowywana inna wersja tego obrazu (olej na płótnie 46,5x38), autorstwa tegoż artysty, na którym zosta-

митрополита Алексия (1354-1378) в контексте эсхатологических идей времени // Спас нерукотворный в русской иконе, s. 70.

¹⁰ Zob. Манукян С. С., Евангелие № 96 «Григора Tatewaci из Эчмиадзинского собрания» // Հայաստանը և Քրիստոնյա Արևելքը, Երևան, ԳԱԱ «Գիտություն» հրատ., 2000, s. 324-330:

¹¹ Zob. **Thierry M.**, *Monastères Arméniens du Vaspurakan* // *Revue des études Arméniennes*, Nouvelles série, T. VI; Paris; s. 158, (fig. 15).

ły dokonane drobne zmiany¹². Podczas pobytu w Wagharszapat Hownatanian stworzył całą serię portretów królów ormiańskich, w tym także króla Abgara. Po lewej stronie tego obrazu znajduje się niewielka konstrukcja architektoniczna przypominająca baldachim, w której górnej części dostrzec można Żywy Obraz Zbawiciela. Na budynku powiewa sztandar krzyżowca, króla Abgara w formie malej wersji tego samego żywego obrazu. Chorenaci nie wspomina, czy akurat ta tablica była umocowana na cokole przy bramach Edessy. Mistrz Hownatanian mógł wiedzieć o tym z innej literatury religijnej.

W świecie prawosławnym istniał szczególny kult *Zbawiciela nie uczyn-*



Mkrtum Hownatanian, „Portret króla Abgara”, (1836 r., płótno, olej, 82 x 63 cm, Św. Eczmiadzyn).

¹² Zob. Ավետիսյան Բ., Մկրտում Հովնատյանի արվեստը // Էջմիածին, 1995, Յունուար, s. 76-86.

nionego rękami i ten trend wśród wier-
nych trwa do dziś¹³. Jest to wykonany na
drewnianej tablicy wizerunek wyrazistej
twarzy Chrystusa w kanonizowanej (pła-
skiej) tradycji średniowiecznej. Czasami
twarz Chrystusa przedstawiana jest tyl-
ko bez chusty. Tutaj ustalono „typ histo-
ryczny” wizerunku Chrystusa. Chrystusa
przedstawiano jako mężczyznę w śred-
nim wieku, z długimi ciemnobrązowymi
włosami do ramion, z krótką brodą po-
dzieloną na dwie części, pięknymi syme-
trycznymi, regularnymi grecko-semicki-
mi rysami twarzy, z dużymi brązowymi
lub niebieskimi oczami. Cudowny Obraz
Zbawiciela był najczęściej przedstawiany
w ten sam sposób, choć w różnych epo-
kach i wśród różnych ludów otrzymy-
wał określoną narodową interpretację.
Wśród obrazów sztalugowych Zbawiciel
zajmował szczególne miejsce i znaczenie.
Chociaż dzieła te były licznymi kopiami
historycznego oryginału – Chusty Abga-
ra, nie umniejsza to jednak wiary w cu-
downą moc którejkolwiek z nich.

Po kampaniach krzyżowców
cudowny obraz Chrystusa pojawia się we
Francji, a następnie w Rzymie. Później-
sze informacje na jego temat, podobnie
jak legendy, pozostają niepewne. Jednak
wraz z innymi kopiami, przybyłymi ze
Wschodu, w świecie katolickim rozwija
się nowy kult, związany ze św. Weroniką,
uważaną za jedną z pierwszych chrześci-
janek, która w drodze na Kalwarię otarła
chustą twarz Jezusa. Tym razem chusta
z wizerunkiem Chrystusa w ciernistej
koronie trafia do Rzymu, po czym za-

¹³ W 944 r. – 16 sierpnia – Obraz Nie-
stworzony Ręką Ludzką został przeniesiony z
Edessy do Konstantynopola i odtąd w świecie
prawosławnym dzień ten obchodzony jest jako
święto.

równie Weronika, jak i jej chusta zosta-
ją kanonizowane przez Kościół. W za-
chodnioeuropejskiej sztuce plastycznej
znane są liczne obrazy na ten temat¹⁴.

Począwszy od XVII wieku,
po reformach Piotra, do Rosji z Zacho-
du eksportowano nowy typ cudownego
obrazu¹⁵. Z tego okresu zarówno na sta-
rych, jak również i nowych typach tych
obrazów pojawia się korona cierniowa,
co niewątpliwie było wpływem sztuki
zachodnioeuropejskiej.

Rosyjscy carowie, jak rów-
nież tamtejsze społeczeństwo XIX wie-
ku, również nadawali wielkie znaczenie
Zbawicielowi nie stworzonemu rękami.
Czczono zarówno obrazy z wczesnego
okresu – ikony – jak i dzieła wielkich
rosyjskich artystów: Ilji Riepina (1844-
1930), Wiktora Wasniecowa (1848-
1926), Pawła Sorokina (1839-1886), na-
malowane w stylu realistycznym. Należy
też zauważyć, iż obrazy te rozpowszech-



Wizerunek Chrystusa chronionego przez dwa
anioły, bok złotej okładki (XV-XVII w., św. Ecz-
miadzyn).

¹⁴ Zob. Ветцель К., Плат Святой
Вероники //Иисус. Две тысячи лет религии
и культуры, Москва, Интербук-бизнес, 2001,
s. 192-193.

¹⁵ Zob. Чугреева Н., Спас Нерукот-
ворный в России Нового времени //Спас неру-
котворный в русской иконе, s. 187-213.

niły się w świątyniach ormiańskich.
W kościele Najświętszej Bogurodzicy
(św. Geworga) w Tbilisi nadal można
oglądać dwa cudowne obrazy, powstałe
w drugiej połowie XIX wieku. Za intere-
sujący przykład tegoż Wizerunku można
uznać dzieło, które zaprezentowałam po-
raz pierwszy, a znajdujące się w ormiań-
skim kościele Świętego Krzyża w mie-
ście Achalkalaki w Gruzji, gdzie zdecy-
dowaną większość mieszkańców (90%)
stanowią Ormianie. Kompozycja tej
ikony w wymowny sposób opowiada hi-
storię cudownego Obrazu. Należy także
wspomnieć o – niedawno odnalezionym
w zbiorach ormiańskich Państwowego
Muzeum Historii Religii w Petersbur-
gu – obrazie „Zbawiciel nie wykonany
rękami” ze św. Aleksandrem i św. Grze-
gorzem Oświecicielem (XIX w., olej na
płótnie, 68,5x57,5), będącym wyraźnym
przykładem wzajemnego oddziaływania
dwóch kultur, w którym dostrzec można
ten sam realistyczny styl rosyjskiego ma-
lowania ikon¹⁶. I jest całkiem prawdopo-
dobne, że płótno Wardgesa Surenianca
mogło powstać pod wpływem właśnie
tych rosyjskich obrazów. Nie ma jednak
w obrazie powtarzania żadnego z nich,
co ukazuje indywidualne podejście or-
miańskiego artysty do tematu.

Dzięki wysokiej jakości este-
tycznej, nowoczesnemu oddźwiękowi,
głębokiemu patriotyzmowi, subtelne-
mu wyczuciu marzeń i rzeczywistości
– twórczość Wardgesa Surenianca jest
wyjątkowym zjawiskiem w kulturze or-

¹⁶ Zob. Армянская коллекция Госу-
дарственного Музея Истории Религии (73
иллюстрации с подробными комментариями,
авт.-сост. Е. Н. Николаева), Мин. Культ. РФ,
Санкт-Петербург, Издательско-Полиграфиче-
ский центр СПбГУТД, 2011, s. 20, 64-65.

miańskiej końca XIX i początku XX wie-
ku¹⁷. Pochodzący z Achalciche twórca,
otrzymawszy wykształcenie artystyczne
w Moskwie i Monachium, potrafił stu-
diować i przyswajając zasady sztuki ro-
syjskiej oraz europejskiej, a także zasady



Słynny „Portret Chrystusa nie wykonany rękami”
w genueńskim kościele św. Bartłomieja .

symbolizmu – nurtu stylu secesyjnego.
Jednak stworzywszy własny język malar-
ski, artysta odświeżył zapomniane war-
tości kultury narodowej. Dlatego sztuka
Wardgesa Surenianca wykracza poza
ramy kultury narodowej. Od czasu do
czasu artysta tworzył obrazy o tematyce
religijnej¹⁸.

¹⁷ Zob. Վարդգես Սուրենյանց -
150: Հոբելյանական գիտաժողով՝ նվիրված
Վարդգես Սուրենյանցի ծննդյան 150-ամյակին:
Հնկուցումների ժողովածու, Երևան, ՀՀ ԳԱԱ
Արվեստի Ինստիտուտ, Գիտություն, 2011.

¹⁸ Obecnie znanych jest sześć dzieł Su-
renianca, poświęconych Chrystusowi oraz dwa
szkice, powstałe w 1917 r. do fresku ormiańskie-
go kościoła w Jalcie.

„Chusta Chrystusa nie zrobiona rękami” Wardgesa Surenianca to żywy obraz, wykonany w stylu realistycznym. Tablica z wizerunkiem Chrystusa przytwierdzona jest dwoma gwoździami do brązowej powierzchni. Chusta jest przedstawiona z archeologiczną dokładnością. Wygląda jak wyblakłe, pożółkłe w ciągu wieków i uszkodzone w niektórych miejscach płótno. Jego brzegi zdobią zielone i czerwone wzory kwiatowe z orientalną stylizacją palm i fig, pozostawiające wrażenie nie obróbkę ręcznej rękodziela, a starożytnego tatuazu. Można odnieść wrażenie, iż twarz Jezusa w jakiś cudowny sposób pojawia się na płótnie. Jego przenikliwe, mocne spojrzenie skierowane jest na widza. Włosy, broda i korona cierniowa Chrystusa oddane są w sposób ogólny: wydaje się, że artysta chciał oddać rzeczywistość jako ulotność, jakby na chwilę twarz Zbawiciela odbija się na płótnie.

Po zranionym cierniami czole spływają krople krwi. Obszar oczu, brwi, nosa i ust przedstawione zostały bardziej szczegółowo, oddając cierpienie duszy. Jego piękne rysy twarzy, „mówiące” oczy są realne, ale jednocześnie znikają, kryjąc w sobie mistyczne znaczenie. Oblicze Jezusa jest doskonałe: piękne, życzliwe oczy Chrystusa, ich jasne spojrzenie wchodzi w dialog z patrzącym. Artysta stworzył obraz rzeczywisty i wyimaginowany – przenikliwy, miłosierny, życiodajny obraz Człowieka, Zbawiciela.

Trudno zgadnąć, jak zrodził się pomysł na ten obraz. Mógł pojawić się jako indywidualny zamysł samego artysty lub na czyjeś indywidualne zamówienie. Wiadomo, iż Narodowa Galeria Sztuki Armenii nabyła ten obraz

od niejakiej Mutałowej w 1928 roku. Nie zachowały się żadne inne informacje na temat obrazu. W lewym dolnym rogu obrazu widnieje podpis Surenianca oraz rok powstania. Co więcej, zbyt niskie położenie podpisu pozwala przypuszczać, że część płótna później została odcięta, o czym świadczy brak krawędzi płótna. Jak się okazało, w 1986 roku pracownicy Narodowej Galerii Sztuki Armenii dokonali restauracji płótna: zduplikowano je za pomocą kleju z jesiota, naprawiono pęknięcie w lewym górnym rogu oraz drobne uszkodzenia w dwóch miejscach, częściowo wzmocniono ubytki farbami podkładowymi i olejnymi. Po oczyszczeniu obraz pokryto werniksem na bazie żywicy lanej.

Zobaczmy, jakie środki i jaką technikę zastosował Surenianc, aby uzyskać taki obraz. Dla stworzenia wrażenia naturalnej lnianej tkaniny artysta wykorzystał średnioziarniste zagruntowane płótno. Dla tła obrazu za podstawę posłużyła czerwień cynowa, a następnie całą powierzchnię płótna pokrył delikatnym odcieniem umbrzy palonej. Z obszaru deski artysta za pomocą szpachelki zeskrobał spaloną umbrę. W rezultacie faktura płótna została podkreślona ciemnym odcieniem umbrzy, wnikałym w przestrzeń pomiędzy fakturą płótna a światłem z podłoża. Po tych zabiegach „lnianej” tkaninie nadano charakterystyczny dla wiszącego ręcznika światłocieniowy modelunek, a także kolorystykę zniszczenia. Artysta uzyskał doskonały efekt rzeczywistości.

Badania wykazały, iż tworząc wizerunek Chrystusa, Surenianc pracował przy użyciu techniki *en grisaille*, aby zaś stworzyć wrażenie ożywienia, tylko

dla ukazania niektórych rysów twarzy, użył ograniczonej palety: do twarzy zastosował ołowianą biel, niebieski lapis lazuli, bogaty cynober antymonowy, na brzegi ręcznika – oliwkową zieleń, odcienie czerwieni i koronę żółtą. Wszystkie użyte farby są pochodzenia naturalnego, mineralnego. Podczas prac użyto werniksu bursztynowego.

Porównując to dzieło z Cudownym Obrazem Ilji Repina z 1883 roku (blacha miedziana, olej, 93,5x62, Cerkiew pod wezwaniem Cudownego Obrazu, Muzeum-Majątek „Abramcewo”) można zauważyć pewne podobieństwa, na przykład: realistyczna metoda malowania, odrapana deska, życzliwe, pogodne spojrzenie Jezusa¹⁹. Na obrazie Surenianca zastosowane zostały minimalne środki artystyczne: „skąpa praca pędzla”, minimalne wykorzystanie kolorów, jednak siła obrazu jest oczywista, mitologiczna rzeczywistość została maksymalnie wyrażona.

Patrząc na fotografie z lat 1880 i 1890, autorstwa bliskiego przyjaciela artysty, poety Aleksandra Caturiana (1865-1917), można przypuszczać, iż Surenianc w wizerunku Chrystusa odzwierciedlił spokojne spojrzenie i rysy twarzy poety. Piękna twarz poety, przenikliwe spojrzenie, liryczna i w pewnym stopniu pobożna istota, mogły zainspirować Surenianca do stworzenia obrazu Chrystusa.

Jedną z cech twórczości Surenianca jest wykorzystywanie prawdziwych ludzi przy tworzeniu artystycznych obrazów. Świadczą o tym znajdujące się

¹⁹ Zob. Чугреева Н., Спас Нерукотворный в России Нового времени // Спас нерукотворный в русской иконе, s. 204.



Ilja Repin, „Cudowny Wizerunek”, 1883 r., (blacha miedziana, olej, 93,5 x 62 cm, Cerkiew pod wezwaniem Świętego Obrazu, Muzeum – Majątek „Abramcewo”).

w jego archiwum liczne fotografie, wykonane przez artystę, które następnie zostały odtworzone w jego obrazach. To jeden z sekretów właściwego zrozumienia tej twórczości. Jednak na tym wizerunku Chrystusa autor nie wykazał się umiejętnością stworzenia artystycznego portretu, starał się stworzyć obraz doskonałego Człowieka, Osobowości, Zbawiciela. Mistrz przeniósł wizję swojej duszy na płótno, przybliżając tę wizję do wizerunku Aleksandra Caturiana.

Na początku XX wieku słynny rosyjski teolog, Paweł Florenski (1882-1937), w swoim dziele „Ikonoostas”, mówiąc o właściwościach ikon, bada różnicę między pojęciami „twarzy”

(portret) i „twarzy” (obraz)²⁰. Zgodnie z jego punktem widzenia „twarz” oznacza obecność prawdziwego życia. Będąc przekonany w realności naszej percepcji, nie potrafimy wyrazić rozróżnić boskości w „twarzy”. Kiedy artysta tworzy obraz artystyczny – portret, kształtuje główne rysy, schemat własnej percepcji. „Twarz” jest przejawem ontologicznym. „Twarz” to podobieństwo urzeczywistniające się w twarzy, obraz Boga, inaczej – świadectwo Boga. W tłumaczeniu z greckiego „obraz” -εἶδος, ιδέα – oznacza ideę, kontemplacyjny wieczny sens, przejaw esencji duchowej, niebiański pierwowzór. Florenski uważa, że ikona ma cel – wprowadzić świadomość w sferę świata duchowego, ukazać tajemnicze nadprzyrodzone wizje, a jeśli to się nie powiedzie, ikona nabierze jedynie wartości materialnej lub archeologicznej²¹. Wybitna bizantolog, Olga Popowa pisze: „Wizerunki na ikonach, zgodnie z ich symboliką, mają mistyczną tożsamość z boskim pierwowzorem”²².

Surenianc stworzył wizerunek Chrystusa według swojej wiedzy i doświadczenia, obdarzył indywidualny wizerunek Chrystusa uczuciami najszlachetniejszymi i intymnymi. Jednak trzeba też przyjąć, iż realistyczna interpretacja wizerunku przybliżyła tę pracę do schematu „obrazu”. Pochodzący z rodziny kapłańskiej Wardges Surenianc wyróżniał się nie tylko subtelną znajomością świata duchowego, ale także

²⁰ Zob. Флоренский П., Иконостас, Москва, Мир книги, «Литература», 2007, s. 65-72.

²¹ Zob. Флоренский П., ibid.

²² Попова О. С., Византийские иконы VI-X веков // История Иконописи, Москва, АРТ-БМБ, 2002, s. 44.

posiadał umiejętność odzwierciedlenia tego świata za pomocą rzeczywistych obrazów i nowych środków. Jego Chrystus wchłania w siebie ideologię swojej epoki, swego ludu i zostaje ukazany w postaci specyficznego, indywidualnego obrazu, zachowując duchową mądrość, tkwiącą w ikonach.

Moralny i psychologiczny obraz Chrystusa przedstawiony został w wyjątkowej technice w twórczości innego przedstawiciela malarstwa ormiańskiego, subtelnego impresjonisty Jegisze Tatewosjana (1870–1936). W twórczości Tatewosjana poczesne miejsce zajmują tematy ewangeliczne, którym w czasach sowieckich nie poświęcano zbytnej uwagi. I dzisiaj te mało znane dzieła artysty ukazywane są w nowym świetle, otrzymując godną ocenę.

Jegisze Tatewosjan urodził się w skromnej rodzinie, mieszkającej w Wagharszapat. Ojciec pochodził z patriarchalnej rodziny młynarza, a matka była siostrą księdza. Osobowość artysty ukształtowała się w środowisku kulturalnym i edukacyjnym Wagharszapatu, później Tyflisu, a następnie Moskwy. Ze sztuką zetknął się najpierw w Gimnazjum Łazarewskim w Moskwie (1881–1885), a następnie odbył poważną edukację zawodową w Moskiewskiej Szkole Artystycznej (1885–1894). Nauka u jednego z najwybitniejszych przedstawicieli rosyjskiej inteligencji artystycznej, artysty malarza Wasilija Polenowa, a następnie bliskość i przyjaźń z nim wywarły ogromny wpływ na światopogląd młodego Tatewosjana. „Jestem dożgonnie wdzięczny Wasilijowi Dmitriewiczowi nie tylko za jego nauczanie, dotyczące malarstwa, ale także za moje wychowa-

nie. Jako prawdziwy nauczyciel, swoim przykładem zasiał w nas to, co najlepsze” – tak wdzięczny uczeń Jegisze Tatewosjan wspominał później swojego nauczyciela²³. W ten sposób Jegisze Tatewosjan, będąc uczniem Wasilija Polenowa, włącza się tworzenie wiarygodnego, historycznego i moralno-psychologicznego wizerunku Chrystusa, charakterystycznego dla sztuki rosyjskiej drugiej połowy XIX wieku.

Po wybudowaniu w swoim majątku Bechowo (obecnie Polenowo) domu i pracowni w stylu niemieckiej secesji, Wasilij Polenow podjął się budowy małej, wspaniałej cerkwi Świętej Trójcy, którą ukończono w 1906 roku²⁴. Cerkiew, w której organicznie połączono staroruski i romański styl architektoniczny, została bardzo harmonijnie wkomponowana w otaczającą malowniczą przyrodę rzeki Oka. Wnętrze cerkwi w dużej mierze powtarzało wystrój wnętrza kościoła św. Heleny w Jerozolimie, który W. Polenow odwiedził podczas swojej podróży na Bliski Wschód.

²³ Татевосян Егеше, Мои воспоминания о В. Д. Поленове, НКГА, Арх. мат. Е.Татевосяна, ф. № 57, инв 315.

²⁴ Поленово. Государственный музей-усадьба В. Д. Поленова (автор текста и составитель альбома Ф. Д. Поленов), М., Советская Россия, 1982, s. 159-164; Поленово. Фотоальбом о Государственном историко-художественном и природном музее-заповеднике В. Д. Поленова, /сост. Андрей Сперанский, Федор Поленов/, Москва, Планета, 1989; Государственный мемориальный историко-художественный и природный музей-заповедник В. Д. Поленова. Каталог. Живопись. Москва, АртХроника, 2005; Поленово. Государственный мемориальный историко-художественный и природный музей-заповедник В. Д. Поленова, Тула, Поленово, 2008, s. 190-201.

Warto zauważyć, że na fasadzie cerkwi Świętej Trójcy umieszczono niegdyś wizerunek Chrystusa – wspomniane dzieło Jegisze Tatewosjana. Niestety, w 1941 roku podczas II wojny światowej kościół został poważnie uszkodzony w wyniku bombardowań, a „Głowa Chrystusa” autorstwa ormiańskiego artysty zniknęła bez śladu.



Cerkiew „Świętej Trójcy”, (Polenowo).

Wykonana z rzecznych kamieni mozaika „Głowa Chrystusa” (1908) Jegisze Tatewosjana pozostaje niezbadaną dotychczas stroną jego twórczości. Niedawno w archiwum artysty odkryto fotografię owej mozaiki, dzięki której można zapoznać się z tą pracą. Jak się okazało, Jegisze Tatewosjan w 1908 roku podczas swojej kolejnej wizyty w Polenowie stworzył mozaikowy obraz „Głowa Chrystusa”, który po wystawianiu w latach 1910–1912 na wystawach stowarzyszenia artystycznego „Mir Iskusstwa / Świat sztuki” znajduje swoje miejsce na fasadzie kościoła św. Trójcy. Portrety ormiańskiego artysty cieszą się dużym uznaniem. Wasilij Polenow w swoim liście z 1910 roku informuje Jegisze Tatewosjana, iż jego prace „Głowa Chrystusa” i „Portret W. D. Polenowa”, wykonane z kamieni, zostaną pokazane na wystawie Związku Artystów

w klubie przy ulicy Dmitrowa. Rzeczywiście obie prace zostały zaprezentowane na VIII-X wystawach Związku Artystów Rosyjskich, które odbyły się w Moskwie i Sankt Petersburgu²⁵. Znany krytyk sztuki i katolikos Cylicji, Garegin I Howsepian (1867-1952), nawiązując w swoim artykule do urzekającej sztuki E. Tatewosjana i jego umiejętności posługiwania się różnymi technikami, czyni ważne spostrzeżenie: „Jegisze Tatewosjan tworzy niesamowite mozaiki, z których na uwagę zasługuje „Głowa Zbawiciela”, wykonana na drzwi kościoła, zbudowanego przez Polenowa”²⁶.

Podobne dzieła w ikonografii chrześcijańskiej nazywane są „Zbawicielem nie stworzonym rękami” lub Keramidionem (gr. κεραμίδιον – płytki), przedstawiającym Jego twarz na „churdle” (glinianej desce lub płytce), ponownie powiązane z historią króla Edessy, Abgara²⁷. Warto zauważyć, iż w sztuce ormiańskiej nie było dotychczas tradycji przedstawiania Chrystusa w technice mozaiki. W tym sensie tę mozaikę Jegisze Tatewosjana można również uznać za „fenomen”. W sztuce rosyjskiej mozaikowy wizerunek od wieków często pojawiał się na fasadach rosyjskich cerkwi. Pod koniec XIX – na początku XX wieku ponownie zadomowił się na fasadach kościołów

²⁵ Zob. Лапшин В. П., Союз русских художников, Ленинград, Художник РСФСР, 1974, s. 107, 170, 230.

²⁶ Հովսեփյան Գ., Նկարիչ Եղիշե Թադևոսյան // Նյութեր և ուսումնասիրություններ հայ արվեստի պատմության, հ. Ա, Հայկ. ՍՍՀ ԳԱ հրատ., Երևան, 1983, s. 152.

²⁷ Zob. Лидов А., Мандилион и Керамион как образ-архетип сакрального пространства // Восточнохристианские реликвии, s. 249-280.

– tym razem w nowej interpretacji. Na przykład Sawwa Mamontow zbudował, utrzymaną w typowo starym rosyjskim stylu, cerkiew w Abramcewie i umieścił tam wspomniany już „Obraz nie stworzony rękami” Ilii Repina. Fasadę tego samego kościoła zdobi „Zbawiciel nie wykonany rękami” Wasilija Polenowa, wykonany techniką mozaiki. W swoich badaniach N. Czugrijewa zauważa, że w tym okresie w rosyjskiej sztuce kościelnej często stosowano stare techniki mozaikowe²⁸. I tak w 1883 roku mozaika „Nie uczyniony rękami” została zamontowana na głównej zachodniej fasadzie Soboru Zmartwychwstania Pańskiego „Zbawiciel na Krwi” w Sankt Petersburgu (autor projektu: Michaił Niestierow, 1862-1942).

W 1902 r. nad wejściem do grobowca Romanowów w Moskwie zainstalowano mozaikę „Zbawiciel”, a w 1912 r. – na zachodniej fasadzie moskiewskiego soboru Pokorowskiego świątyni Marty i Marii (autor obrazu: M. Niestierow) itp. Znane są także mozaikowe wizerunki Chrystusa nie uczynionego rękoma, wykonane na podstawie szkiców Nikołaja Roericha (1874-1947) z początku XX w., które zachowały się do dziś w rosyjskich kościołach²⁹.

Z techniką mozaiki z kamieni rzecznych Wasilij Polenow zapoznał Jegisze Tatewosjana już w latach 90. XIX wieku³⁰. Jedenaście lat później Jegisze Ta-

²⁸ Zob. Чугреева Н., Спас Нерукотворный в России Нового Времени. // Спас Нерукотворный в русской иконе, s. 205.

²⁹ Zob. Маточкин Е. П., Образ Иисуса Христа, (Серия Николай Рерих: Вестник Красоты), Самара, Издательский дом Агни, 2007, s. 34-43.

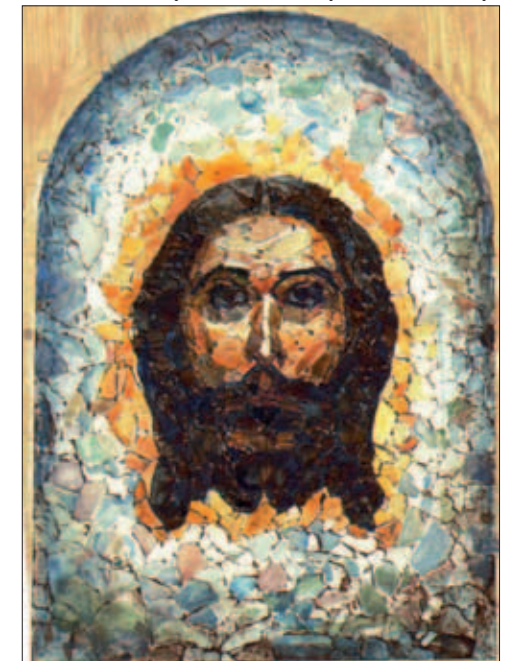
³⁰ Prace Jegisze Tatewosjana z tego okresu „Dziesięć osłów muły Nasreddina” (1896),

tewosjan ponownie zwrócił się do wspomnianej powyżej pracy z kolorowymi kamieniami, zwanej „opus barbaricum”. Trudność w tworzeniu portretów mozaikowych polegała na różnorodności kamieni i ograniczonej gamie kolorów. Autor czasami musiał sam przemaalowywać kamienie i mocować je cementem. Ruben Drampian słusznie zauważa: „Mimo ograniczonej kolorystyki i niezwyklej techniki portrety okazały się wyraziste, ale kontemplacja ich wymaga szczególnego dystansu”³¹. Nawiasem mówiąc, sam artysta bardzo cenił te swoje prace, choć później nie stosował już tej techniki, tak naprawdę jedynym dokumentem, pozwalającym poznać tę mozaikę, jest jej fotografia, przechowywana w archiwalnych zbiorach Narodowej Galerii Sztuki Armenii. Warto zauważyć, iż praca była sfotografowana w domu, na podłodze. Nie wiadomo jednak, kiedy zdjęcie zostało wykonane i przez kogo. Wiadomo, że materiały archiwalne Jegisze Tatewosjana jego żona, Justine Romanowna Neef, z pochodzenia Szwedka, w 1945 roku przekazała do Narodowej Galerii Sztuki Armenii.

Oczywiście dzisiaj trudno jednoznacznie wyobrazić sobie zaginione dzieło, zwłaszcza że dotarła do nas jedynie jego fotografia. Sądząc po fotografii, możemy stwierdzić, iż praca została wykonana ze średniej wielkości kamieni rzecznych, zebranych z brzegów Oki i wstępnie pokolorowanych. Powierzchnia mozaiki jest pionowa, z łukowatym wierzchołkiem. Gładkie kamienie o różnych kształtach i rozmiarach umocowa-

³¹ Дрампиан Р. Г., Егисше Татевосян, Москва, Искусство, 1957, s. 68.

no do drewnianej podstawy za pomocą specjalnego spoiwa na bazie cementu. W centrum kompozycji znajduje się głowa Chrystusa, jego twarz. Otoczona została żółtawym nimbem – kolor kamieni wraz z odległością stopniowo rozjaśnia się – pozornie emitując światło. W niektórych miejscach łączą się z nimi niebieskawe kamienie, których ciemnoniebieskie warstwy otaczają cały obraz. Oprócz „Głowy Chrystusa” (1908) Tatewosjan stworzył dwa kolejne piękne portrety z kamieni naturalnych – „Autoportret” (1907) i „Portret W. D. Polenowa” (1907) – trzy symboliczne obrazy, odzwierciedlające postrzeganie przez artystę silnej osobowości duchowej. Portrety te są definicją własnego Ja, moralnego oblicza Polenowa – Nauczyciela i idealnego przykładu Woli i Ducha na odzwierciedlenie Zbawiciela. Ciemne włosy, broda i wąsy, ciemne oczy,



Jegisze Tatewosjan, „Głowa Chrystusa”, 1908 r., mozaika z kamieni rzecznych.

opaloną twarz Chrystusa – bezsprzecznie wskazują na typ orientalny, podczas gdy wąski kształt oczu, bezpośredni, głębokie i odważne spojrzenie przypominają oczy z portretu W. Polenowa. Pewnego razu podczas rozmowy z Tatewosjanem wielki rosyjski malarz zapytał: „Jak wyobrażasz sobie Chrystusa?”. Następnie Polenow wspomniał swojego nauczyciela, P.P. Czystakowa „o prostym charakterze, życzliwych oczach...”, który przypominał mu Chrystusa³². Później Jegisze Tatewosjan napisze do Wasilija Polenowa „(...) Jestem jednym z Pańskich młodszych uczniów, przepełnionym gorliwością ewangelisty Jana do Chrystusa, pełen uczuć miłości i podziwu dla Pana (...)”³³. Można przypuszczać, że tutaj, w mozaikowym wizerunku Chrystusa, odbija się właśnie ta „apostolska” miłość wdzięcznego ucznia do swojego nauczyciela. Choć w wizerunku Chrystusa nie przedstawiono rosyjskiego typu twarzy – mamy raczej przed sobą wschodniego proroka o oczach rosyjskiego arystokraty. Oczywiście ta praca Tatewosjana nie jest przykładem wzoru średniowiecznej ikony, a indywidualnym portretem, bardzo charakterystycznym dla „Wizerunków nie zrobionych rękami” rosyjskich malarzy tamtego okresu. Później, już w 1919 roku, Jegisze Tatewosjan ponownie zwraca się ku wizerunkowi Jezusa Chrystusa na płótnie „Chrystus i faryzeusze” (59,8x122,3, olej na płótnie, Narodowa Galeria Sztuki Armenii)³⁴.

³² Татевосян Егիше, Мои воспоминания о В. Д. Поленове, там же, инв. № 315.

³³ Из письма Е.Татевосяна Д. Поленову, 1924 г. 10 июня, Тифлис, ГТГ, инв N 54 (5660).

³⁴ Zob. Драмбян Р., Егише Татевосян, с. 73-75, 93, 99; Գրքանշարն Չ. Եղիշե Թադևոսյանի Քրիստոսը // «Հայացք

W dziele tym zawarta jest inna koncepcja malarstwa rosyjskiego omawianego okresu – jest to temat Indywidualności i tłumy. Malarz poświęcił temu tematowi dziesięć lat, zachowały się autorskie powtórzenia i szkice, jeden z nich znajduje się obecnie w Domu-Muzeum Polenowa³⁵. Warto zauważyć, iż na nowym obrazie rysy Chrystusa przypominają jego mozaikowy wizerunek. Jegisze Tatewosjan przedstawia Osobowość o wyjątkowym znaczeniu historycznym, nosiciela cech niezwykle istotnego przywódcy duchowego tamtych lat. W obu dziełach w wizerunku Chrystusa można dostrzec cechy typu ormiańskiego – nam bardzo bliskie i znane. Starożytna tradycja przedstawiania Chrystusa udowodniła już, że każdy artysta na swój sposób wyraża najskrytsze idee, wkładając w nie własną wizję. Zostają odzwierciedlone cechy narodowe, tradycje środowiska i twórczości, wpływ szkoły i nauczycieli oraz, oczywiście, czas, dyktujący sposób i metodę malowania. Na początku XX wieku wśród niezliczonych nauk czy ideałów filozoficznych i religijnych wielu rosyjskich i ormiańskich myślicieli, poetów i artystów znalazło ucieleśnienie wiecznej prawdy w wizerunku Chrystusa. Tatewosjan stworzył wiarygodny wizerunek postaci historycznej, obraz obnażający kłamstwa i hańbę, pozory i oszustwa, wszystkie te przywary człowieka, które oburzyły wysokiego ducha artysty i obywatela.

Tłumaczenie z rosyjskiego
Zbigniew T. Szmurło

Երևանից», 2002, արիւնի, N 4, s. 2:

³⁵ Государственный мемориальный историко-художественный и природный музей-заповедник В. Д. Поленова, ibid.. s.161.

Zbigniew T. Szmurło

Bracia Sołuńscy a Ormianie



Jan Matejko, *Cyryl i Metodyj*. Obraz podarowany Bazylice w Welegradzie przez artystę w 1885 roku (w roku 1000. rocznicy śmierci św. Metodego).

I.

Życie i działalność Konstantyna-Cyryla i Michała-Metodego przyciągała i nadal frapuje badaczy. Faktem jest, że ci obywatele ówczesnego Cesarstwa Wschodniorzymskiego (nigdy nie przedstawiali uważać Bizancjum za swoją ojczyznę¹),

¹ D. Obolensky, *Sts. Cyril and the Methodius. Apostles of the Slavs*, „St. Vladimir's Seminary Quarterly”, vol. 7, Issue 1, 1963, s. 9.

odegrali niezwykle ważną i nader twórczą rolę w dziejach Europy. Życie i działalność Świętych Apostołów Słowian, o których napisano ogromną ilość artykułów i monografii, ogłoszono wiele często krytycznych i zwalczających się hipotez, poddawane są dysputom tak na temat ich życia i aktywności w państwie bizantyjskim, jak również o działalności misyjnej wśród ludów słowiańskich oraz o charakterze, specyfice stworzonych liter i podstaw literatury staro-cerkiewno-słowiańskiej.

Od wielu lat wyniki badań Cyrylo-Methodiańskich publikowane są w różnych językach. Bracia Sołuńscy wnieśli „wybitny wkład w tworzenie się wspólnych korzeni Europy, które dzięki swej trwałości i żywotności stanowią jeden z najmocniejszych punktów odniesienia, jakich nie może pominąć żaden poważny wysiłek, zmierzający do zaprowadzenia nowej jedności kontynentu [...] byli dziedzicami nie tylko wiary, ale i kultury starożytnej Grecji, kontynuowanej przez Bizancjum. Wiadomo zaś, jakie znaczenie posiada to dziedzictwo dla całej kultury europejskiej, a bezpośrednio czy pośrednio dla kultury ogólnoludzkiej. W dziele ewangelizacji, którego dokonali jako pionierzy na terenie zamieszkałym przez ludy słowiańskie, zawiera się równocześnie prototyp tego, co dzisiaj nosi nazwę „inkulturacji” – wcielenia „Ewangelii” w rodzime kultury – oraz wprowadzenie tych kultur w życie Kościoła. Wcielając „Ewangelię” w rodzimą kulturę

ludów ewangelizowanych, święci Cyryl i Metody położyły szczególne zasługi dla ukształtowania się i rozwoju tej kultury, a raczej wielu kultur. Wszystkie bowiem kultury narodów słowiańskich zawdzięczają swój „początek” lub własny rozwój dziełu Braci Sołuńskich. Oni bowiem, tworząc w sposób oryginalny i genialny alfabet języka słowiańskiego, wnieśli zasadniczy wkład w kulturę i literaturę wszystkich narodów słowiańskich”².

Obaj bracia pochodzili z Saloniku, drugiego pod względem wielkości miasta w Bizancjum. W IX wieku było ono ważnym portem morskim, silnym ośrodkiem życia handlowego, gospodarczego i politycznego, leżącym na pograniczu regionów, zamieszkałych przez słowiańskie plemiona. Saloniki były również główną bramą, prowadzącą z Cesarstwa do świata słowiańskiego³. Słowianie określali Saloniki jako Sołuń. Stąd też Michał-Metody (ok. 815-885) i Konstantyn-Cyryl (ok. 826-869) określani są jako Bracia Sołuńscy.

Poprzez swoje misyjne dzieło stali się nie tylko Misjonarzami, Apostołami Słowian⁴, ale także chrześcijańskimi Patronami Europy⁵ – głoszącymi

² Jan Paweł II, *Encyklika Slavorum Apostoli* (2.06.1985.), [w:] idem *Dziela Zebrane*, t. I *Encykliki*, Kraków 2006, s. 146-171.

³ R. Jakobson, *The Byzantine Mission to the Slavs: Report on the Dumbarton Oaks Symposium of 1964 and Concluding Remarks about Crucial Problems of Cyrillo-Methodian Studies*, „Dumbarton Oaks Papers”, 19, 1965, s. 258.

⁴ J. Leśny, *Konstantyn i Metody. Apostołowie Słowian. Dzieło i jego losy*, Poznań 1987.

⁵ A. Kopeć (ks.), *Święci Cyryl i Metody jako patroni Europy w nauczaniu Jana Pawła II*, „Teologia w Polsce”, nr 17, I, 2023, s. 47-61.

nauki Chrystusa w języku rozumianym przez ludność słowiańską. Litery głogolicy, stworzone przez Konstantyna, dały możliwość przystąpienia do zapisywania mowy, jak i rozpoczęcia tłumaczenia „Biblii” oraz ksiąg liturgicznych na jedno z narzeczy słowiańskich. To dzięki Konstantynowi-Cyrylowi i Michałowi-Metodemu nastąpił początek procesu tworzenia literatury i chrześcijańskiej kultury Słowian.

Obaj bracia brali udział w kilku wydarzeniach, niezmiernie ważnych dla ówczesnego życia politycznego i społecznego Bizancjum – byli też nie tylko świadkami, ale i uczestnikami dysput w walce o ochronę bizantyjskiej przestrzeni życiowej. Nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że Konstantyn-Cyryl był jednym z najwybitniejszych poliglotów i gramatyków średniowiecza. Posiadając doskonałą znajomość słowiańskiego dialektu Macedonii – co w niczym nie świadczy o jego greckim pochodzeniu – zabrał się do pracy nad wynalezieniem specjalnego alfabetu, który wyrażałby wszystkie istotne cechy języka słowiańskiego⁶.

II.

W drugiej połowie IX wieku w umocnionym politycznie Bizancjum – aczkolwiek zmagającym się z agresywnymi sąsiadami – rozpoczęte zostały działania o wpływy nad duchowością wszystkich mieszkańców państwa, a także najbliższych sąsiadów, żyjących na otaczających imperium ziemiach, w tym na ówczesny

⁶ F. Dvornik, *The Slavs. Their Early History and Civilization*, Boston 1956, s. 84.

świat słowiański⁷. Plemiona słowiańskie już od kilku wieków zagrażały realnie bezpieczeństwu Bizancjum⁸.

Chrześcijaństwo od kilkuset lat gościło już w europejskiej przestrzeni. Dzięki „Edyktowi Mediolańskiemu”⁹, porozumieniu podpisanemu w 313 roku w Mediolanie przez Konstantyna Wielkiego (ok. 272-337) i Licyniusza (260-325), wyznawcy chrześcijaństwa bez przeszkód mogli głosić i poznawać nauki Jezusa z Nazaretu. Uzyskali prawa równe wyznawcom innych religii rzymskich. Konstantyn Wielki¹⁰, po zaprzestaniu prześladowań chrześcijan, zaczął występować jako gorący ich opiekun. Bardzo szybko chrześcijanie zaczęli odgrywać ważną, nawet dominującą rolę w cesarstwie. Jak twierdzi Aleksander Krawczuk (1922-2023) „(...) z prześladowanych stali się prześladowcami innowierców i dyktowali warunki państwu”¹¹. Już kilkadziesiąt lat później, w edyktie, adresowanym do mieszkańców Konstantynopola, a ogłoszonym (28 lutego 380 roku) w Salonikach, rządzący na Wschodzie cesarz Teodozjusz Wielki (ur. 347, zm. 395)¹² nakazał, iż chrześcijaństwo ma

⁷ G. Ostrogorsky, *Byzantium and the South Slavs*, „The Slavonic and East European Review”, vol. 42, No 98, 1963, s. 7.

⁸ Por. T. Wasilewski, *Bizancjum i Słowianie*, Warszawa 1972.

⁹ Z. Zarzycki (oprac.), *Edykt Mediolański z 313 r. o tolerancji*, [w:] idem, *Historia prawa wyznaniowego. Wybór tekstów źródłowych*, Kraków 2004, s. 34.

¹⁰ Por. A. Krawczuk, *Konstantyn Wielki*, Warszawa 1987; J. Burckhardt, *Czasy Konstantyna Wielkiego*, Warszawa 1992.

¹¹ A. Krawczuk, *Kronika starożytnego Rzymu*, Warszawa 1994, s. 248.

¹² A. Krawczuk, *Poczet cesarzy rzymskich. Kalendarium cesarstwa rzymskiego*, Warszawa 2001, s. 753-752.

być religią obowiązującą w cesarstwie, a jego wyznawcy zobowiązani zostali przyjąć nazwę „chrześcijan katolickich”¹³. W tym edyktie¹⁴ cesarz „Teodozjusz nadał chrześcijaństwu w formie katolickiej rangę religii państwowej, jedynej dla swoich poddanych w całym imperium rzymskim”¹⁵; podpisał także w 392 roku „Edykt przeciw poganom”¹⁶, zakazujący innych kultów. Zaistniały sprzyjające warunki, pozwalające władcom Bizancjum rozszerzyć swoje wpływy także na świat słowiański, co wynikało w dużej mierze z ukształtowanych na Soborze w Chalcedonie (451 r.)¹⁷ założeń i zasad

¹³ Por. J. Iluk, *Chrześcijańska i żydowska politeja w późnorzymskim państwie (IV-V wiek)*, „Śląskie Studia Historyczne”, nr 12, 2006, s. 15.

¹⁴ Por. D. Sitek, *O edyktie Teodozjusza „De Fide catholica”*. Krótkie uwagi o tolerancji i nietolerancji religijnej na przełomie IV i V w. po Chr., [w:] G. Górski, L. Ćwikła, M. Lipska (red.), *Cuis regio, eius religio? Zjazd historyków państwa i prawa, Lublin 20-23 IX 2006 r.*, Lublin 2006, s. 11-25.

¹⁵ A. Dębiński, *Polityka ustawodawcza rzymskich cesarzy chrześcijańskich w sprawach religijnych*, Lublin 2020, s. 18.

¹⁶ Z. Zarzycki (oprac.), *Edykty przeciwko poganom*, [w:] idem, *Historia prawa wyznaniowego*. op. cit., s. 34.

¹⁷ „Po Soborze rozpoczął się pierwszy wielki rozłam w Kościele /.../ oderwał się od wspólnoty Kościoła Katolickiego Egipt, a wraz z nim Etiopia /.../ część Syrii, a w końcu Armenia, które założyły prężne Kościoły monofizyckie, z własną kulturą religijną, a więc i teologiczną” – M. Starowieyski, *Sobory Kościoła niepodzielnego, cz. I: Dzieje*, Tarnów 1994, s. 76. Por.: J. Grzywaczewski (ks.), *Sobór chalcedoński i jego następstwa*, [w:] M. Włosiński (red.), *W blasku miłości*, Włocławek 2012, s. 118-122; J. Misiurek (ks.), *Sobór chalcedoński w aspekcie ekumenizmu*, „Roczniki Teologiczno-Kanoniczne”, t. XXI, z. 2, 1974, s. 91-104; Idem, *Chalcedoński Sobór*, [w:] *Encyklopedia katolicka*, t. 3, Lublin 1995, s. 50-54; M. Pyc (ks.), *Sobór Chalcedoński w procesie kształtowania się wiary w Jezusa*

teokracji bizantyjskiej¹⁸ oraz koncepcji cesarstwa uniwersalnego, obejmującego „wszystkie narody ziemskie, które w sensie idealnym – powinny być członkami jednego prawdziwego Kościoła chrześcijańskiego, ortodoksyjnego Kościoła cesarstwa. I jak Bóg panuje na niebie, tak władca stworzony na Jego obraz, powinien panować na ziemi i wypełniać Jego przykazania”¹⁹.

Nauki Jezusa zostały również przyjęte przez Syryjczyków, Ormian, Gruzinów; znane też były w Egipcie i w różnych regionach Azji Mniejszej, jak również w Afryce. Jakkolwiek narody słowiańskie dość wcześnie znalazły się w kręgu chrześcijańskiego oddziaływania, jednakże ich chrzest oficjalnie odbył się kilka stuleci później – po Syryjczykach, Ormianach, Gruzinach i Gotach.

Ormianie, jeden z najstarszych narodów świata (ich kraj określany jest jako „kolebka cywilizacji”²⁰), od IV wieku będący narodem chrześcijańskim, szybko znaleźli się w sferze rzymskich i bizantyjskich²¹ oddziaływań. Brali aktywny udział w wielu ważnych wydarzeniach i często wpływali na ich przebieg,

Chrystusa, „Teologia w Polsce”, 4, I, 2010, s. 65-82; M. Piechocka-Kłós, *Sobory powszechne w epoce późnego cesarstwa (IV-VI w.)*, „Studia Warmińskie”, nr 48, 2011, s. 291-305.

¹⁸ J. Grzywaczewski (ks.), *Sobór Chalcedoński. Kontekst historyczny, teologiczny, następstwa*, „Vox Patrum”, 32, t. 58, Lublin 2012, s. 158.

¹⁹ S. Runciman, *Teokracja bizantyjska*, Warszawa 1982, s. 7.

²⁰ Por. D. M. Lang, *Armenia kolebka cywilizacji*, Warszawa 1975.

²¹ Por. K. Stopka, *Armenia Christiana. Unistyczna polityka Konstantynopola i Rzymu a tożsamość chrześcijaństwa ormiańskiego (IV-XV w.)*, Kraków 2002.

a „w wiekach VIII-X Ormianie nigdy nie oddalili się zbyt od cesarskiego tronu w Konstantynopolu”²².

Rozpatrując życie, działalność i kulturowy dorobek oraz wkład w rozwój chrześcijaństwa Konstantyna-Cyryla i Michała-Metodego na tle wydarzeń, jakie miały miejsce w IX wieku, warto dostrzec także Ormian i ich rolę w kontaktach z Bracmi Sołuńskimi, do których bez wątpienia musiało dochodzić. W tym aspekcie, na tle pozycji Ormian w ówczesnym Bizancjum, można pokusić się poszukać odpowiedzi na niektóre pytania, związane z międzykulturowymi kontaktami. Wszak Bracia Sołuńscy „dzięki misjom do ościennych krajów i narodów, nauczyli się szerokiego, prawdziwego spojrzenia na obce kultury”²³, dzięki czemu bardzo dobrze „byli przyzwyczajeni do spotkania kultur (...)”²⁴.

Ormianie mieli też swój udział w sporach teologicznych i w walkach, wywołanych przez ikonoklastów (przeciwników przedstawiania wizerunku świętych²⁵, które zostały zapoczątkowane w czasach panowania cesarza Leona III

²² D. M. Lang, *Armenia kolebka cywilizacji*, op. cit., s. 177.

²³ J. Mirewicz, *Współtwórcy Europy*, Kraków 2003, s. 187.

²⁴ W. Kluj, *Cyryl i Metody jako patronowie przygotowania misjonarzy – przyczynek do refleksji misjologicznej*, „NURT SVD”, t. 148, nr 2, 2020, s. 55.

²⁵ Więcej o ikonoklazmie: L. Uspienski, *Teologia ikony*, Warszawa 2009, s. 65-108; G. Ostrogorski, *Dzieje Bizancjum*, Warszawa 1968, s. 147-196; I. Jazykowa, *Świat ikony*, Warszawa 1998, s. 59-70; S. Bułgakow, *Ikona i kult ikony. Zarys dogmatyczny*, Bydgoszcz 2002, s. 7-25; J. Pelikan, *Duch wschodniego chrześcijaństwa (600-1700)*, Kraków 2009, s. 111-174.

Izauryjczyka (717-741)²⁶, być może pochodzenia ormiańskiego²⁷, otaczającego się także osobami, mającymi ormiańskie korzenie²⁸. Już w czasie panowania tego cesarza, „w Bizancjum rządziła właściwie grupa ambitnych Ormian”²⁹. Leon III Izauryjczyk „ogłosił swój wrogi stosunek do kultu obrazów”³⁰ i w styczniu 730 roku „specjalnym edyktem nakazał zniszczenie wszystkich ikon”³¹, co też skutkowało bezpowrotną utratą wielu dzieł sztuki sakralnej. Doprowadziło to nie tylko do ostrych dysput teologicznych, ale też do zdecydowanego i ostrego prześladowania wszystkich zwolenników kultu ikon. „Ikonoklazm miał wdrzeć się do Kościoła greckiego z ogromną siłą, zmienić radykalnie całą historię Bizancjum”³². Ikonoklazm obowiązywał do połowy IX wieku, a więc jeszcze w czasach

²⁶ P. Górecki (ks.), *Ikonoklazm – spór religijny czy polityczny? Leon III idea obrony czystości wiary i uniformizacji państwa*, [w:] N. Widok (red.), *Święte wizerunki w przekazie Dobrej Nowiny*, Opolska Biblioteka Teologiczna, vol. 161, Opole 2017, s. 37-58.; R. Sawa, *Leon III Izauryjczyk*, [w:] *Encyklopedia Katolicka*, t. X, E. Ziemann (red.), Lublin 2004, k. 780.

²⁷ E. Foord, *The Byzantine Empire. The rearguard of European Civilization*, London 1911, s. 160.

²⁸ А. Р. Устьян, *Византийская империя и место в ней армян халконидов*, [www.armuniver.org/content/https://novarm.narod.ru/arch052006/visant.htm](http://armuniver.org/content/https://novarm.narod.ru/arch052006/visant.htm)

²⁹ D. M. Lang, *Armenia kolebka cywilizacji*, op. cit., s. 177.

³⁰ J. - C. Cheynet (red.), *Świat Bizancjum. Cesarstwo Bizantyjskie 641-1204*, t. 2, Kraków 2011, s. 21.

³¹ G. Ostrogorski, *Dzieje Bizancjum*, op. cit., s. 152.

³² M. Chudzikowska-Wołoszyn, *Początki sporów ikonoklastycznych w Bizancjum*, „Studia Elbląskie”, VII/ 2006, s. 79.

młodości Braci Sołuńskich, którzy znaleźli się niejako w centrum tychże sporów, co można prześledzić, analizując ich życie i działalność misyjną (najpierw u Arabów, a następnie wśród Chazarów i wśród Słowian). W dysputach brało udział duchowieństwo, w tym dostojnicy biskupi i patriarchowie konstantynopolscy m.in. Jan VII Gramatyk³³ i Focjusz³⁴.

Zakaz kultu świętych wizerunków został ostatecznie anulowany po śmierci imperatora bizantyjskiego Teofila (ur. 813, cesarz 829-842) z dynastii amoryjskiej. Idee zwolenników zwalczania kultu wizerunków świętych nie wytrzymały próby w zetknięciu z rzeczywistością religijną Bizancjum IX wieku. „Wszystkie jednak wysiłki cesarza i patriarchy, by ugruntować ikonoklazm, były bezskuteczne: ruch ten, popierany wszelkimi środkami (...) nie sięgał poza obręb stolicy i istniał dzięki woli cesarza i współdziałaniu kilku oddanych mu osób (...), podtrzymywana sztucznie idea nie przeżyła go długo (...)”³⁵. Cesarzowa-regentka Teodora, z ormiańskiej rodziny szlacheckiej³⁶, sprawująca rządy w imieniu młodocianego syna Michała III, doprowadziła w 843 roku do zwołania w Konstantynopolu lokalnego so-

³³ St. Gerō, *John the Grammarian, the last iconoclastic patriarch of Constantinople: the Man and the legend*, „Byzantina”, 3-4, 1974-75, s. 25-35.

³⁴ F. Dvornik, *The Patriarch Photius and Iconoclasm*, „Dumbarton Oaks Papers”, vol. 7/ 1953, s. 67-98.

³⁵ G. Ostrogorski, *Dzieje Bizancjum*, op. cit., s. 186.

³⁶ M. E. Shirinian, *Armenian Elites in Constantinople: Emperor Basil and Patriarch Photius*, [w:] R. G. Hovannisian, S. Payaslian (Ed.), *Armenian Constantinople*, Costa Mesa, Calif. 2010, s. 58.

boru, na którym potępiono ikonoklastów i przywrócono uroczyscie kult obrazów świętych. Tak więc chrześcijaństwo bizantyjskie Teodorze, przyszłej świętej, zawdzięcza powrót do tradycji kultu ikon³⁷.



Cesarzowa Teodora dyskutuje o ikonach ze swoim dworem. Miniatura z madryckiego rękopisu *Kroniki Jana Skylitzesa* (XI-XII w.).

III.

Wiek IX przyniósł Europie bardzo doniosłe dzieło – chrystianizację Słowian, a także włączenie ich w obieg europejskiej kultury chrześcijańskiej. Stało się to w dużej mierze za sprawą decyzji cesarza Michała III Metystesa (839/840-867) z dynastii amoryjskiej (częściowo ormiańskiej), cezara Bardasa (?-866)³⁸ – brata cesarzowej Teodory (z ormiańskiego rodu) i Focjusza (ok. 810-891) dwukrotnie sprawującego urząd patriarchy konstantynopolskiego 858-867 i 877-886) – także mającego ormiańskie

korzenie (był potomkiem ormiańskiej rodziny szlacheckiej, dziadkowie ze strony matki byli Ormianami)³⁹.

Konstantyn-Cyryl i Michał-Metody udali się w 863 roku na Morawy⁴⁰, do kraju słowiańskiego, o co wcześniej miał poprosić książę Rościsław (w latach 846-870 władca państwa wielkomorawskiego) w liście, który jego wysłannicy przekazali imperatorowi w Konstantynopolu. Obawiając się nieprzyjaznych działań władców i biskupów niemieckich wobec ludu słowiańskiego, Rościsław liczył na realne wsparcie w Bizancjum, jakie wcześniej starało się zaszczerpić wiarę chrześcijańską – zarówno wśród Chazarów, jak i Słowian (na terenach dzisiejszego Krymu oraz Bułgarii). Władca Moraw nie ukrywał, że zależy mu na zerwaniu jakże krępujących więzów z agresywnymi sąsiadami, którzy pod pretekstem szerzenia wiary chrześcijańskiej dążyli do opanowania ziem Słowian i podporządkowania sobie mieszkającej tam ludności. „Z przewagą oręża niemieckiego wciskało się w te strony także i chrześcijaństwo z Niemiec. (...) Ale słowo Boże, głoszone w obcym języku przez duchownych niemieckich, którzy chrześcijanizm wiązali ściśle z wszechwładztwem niemieckiego państwa, nie wnikało głębiej w serca Słowian. Lud niechętnie przyjmował chrzest, z którym przychodziła cywilizacja niemiecka i jarzmo niemieckie, a dzielniejsi książęta

słowiańscy przekonali się wkrótce, że bez wyswobodzenia się z pod wpływu biskupów niemieckich nie uzyskają niezależności i nie urosną nigdy w niezawisłych władców narodowo – słowiańskich”⁴¹.

Cesarz Michał III Metystes (842-867) oraz „jego wuj Bardas, do którego należały faktyczne rządy nad cesarstwem i patriarcha Focjusz, musieli dogłębnie przemyśleć tę skomplikowaną i delikatną kwestię. Prośba Roścysława ponownie angażowała Konstantynopol w sprawę tej części Europy, która znajdowała się już w strefie wpływów Karolingów. Dawała Bizancjum możliwość stworzenia przeciwwagi dla ówczesnego sojuszu Bułgarów z państwem wschodnio-frankijskim, będącym jednocześnie odpowiedzią na pretensje Rzymu do potwierdzenia zwierzchności nad Illyricum”⁴².

Była to prawdopodobnie decyzja w pełni polityczna⁴³, na drugim planie mogła pozostawać właśnie motywacja religijna, bowiem Bizancjum poprzez proces chrystianizacji słowiańskich ludów dążyło jednocześnie do rozpostarcia swoich wpływów politycznych, gospodarczych i kulturowych na terenach, sąsiadujących z imperium.

Wśród sławistów i badaczy spuścizny Konstantyna-Cyryla i Michała-Metodego często odmienne, a nawet

trudne do zaakceptowania hipotezy podawał Aleksander Brückner (1856-1939), jeden z największych i najbardziej oryginalnych polskich sławistów oraz historyków literatury i kultury polskiej. Zwracał uwagę, że nie wszystko, co zawierają legendy o życiu i działalności Braci Sołuńskich, można potwierdzić jako autentyczne, bądź realne. Proponował krytyczne podejście do wielu zagadnień⁴⁴. Z różnych też względów nie przyjęła się w świecie nauki teza polskiego badacza, iż o konieczności jednoczenia Słowian pod płaszczykiem religijnym przekonali się Bracia Sołuńscy właśnie w trakcie swojej wyprawy (860-861) do państwa Chazarów, które „przez trzy stulecia – od VII do IX w. – domino wało na rozległych obszarach między morzami: Kaspijskim, Czarnym i Azowskim, na bez mała całym południu Europy Wschodniej, na granicy kontynentów, stref klimatycznych i przyrodniczych, obszarów odmiennych pod względem kulturalnym i cywilizacyjnym, w tym wyznaniowym. Rozwijało się w warunkach pogranicza, sąsiedztwa bizantyjsko-rzymskiego z kalifatem arabskim, kulturami północnego Kaukazu, bezkresnymi stepami Azji Centralnej i lesistymi obszarami wschodniej Europy”⁴⁵.

⁴¹ L. Tatomir, *Apostołowie Słowiańscy. Śś. Cyryl i Metody. W tysięczną rocznicę śmierci św. Metodego*, Lwów 1885, s. 7. Por. T. Śliwa, *Święci Cyryl i Metody. Wielcy Misjonarze Słowiańszczyzny*, Przemyśl 1986, s. 2-4.

⁴² M. Garzaniti, *Słowianie. Historia, kultury i języki*, Łódź 2023, s. 171-172.

⁴³ A. Mironowicz, *Kościół Bizantyjski w kształtowaniu tożsamości mieszkańców Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej*, [w:] A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski (red.), *Wiktor Choriew in memoriam*, Białystok 2013, s. 180.

⁴⁴ A. Brückner, *Legendy o Cyrylu i Metodzie wobec prawdy dziejowej: szkic z dziejów chrześcijaństwa u Słowian*, „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego”, XXX, Poznań 1903, s. 7-16.

⁴⁵ H. Zaremska, *Chazaria – państwo pogranicza kultur*, [w:] Z. Dalewski (red.), *Granica wschodnia cywilizacji zachodniej w Średniowieczu*, Warszawa 2014, s. 17.

³⁷ A. Grabar, *The Art of the Byzantine Empire. Byzantine Art in the Middle Ages*, New York 1967, s. 86.

³⁸ M. Salomon, *Bardas*, [w:] O. Jurewicz (red.), *Encyklopedia kultury bizantyjskiej*, Warszawa 2002, s. 65-66; P. A. Hollingsworth, A. Cutler, *Bardas*, [w:] A. Kazhdan (Ed.), *The Oxford Dictionary of Byzantium*, Oxford, New York 1991, s. 255-256.

³⁹ P. V. Codeso, D. P. Domínguez, *Deconstructing Photios: family relationship and political kinship in middle Byzantium*, „Revue des études byzantines”, t. 71, Paris 2013, s. 117.

⁴⁰ S. A. Ivanov, *Religions Mission*, [w:] J. Shepard (Ed.), *The Cambridge History of Byzantine Empire c. 500-1429*, Cambridge 2009, s. 315-326.



Odkrycie relikwii św. Klementisa Rzymskiego w pobliżu Chersonia. Prawdopodobnie najstarszy wizerunek św. Cyryla i św. Metodego. Miniatura z Menologium Bazylego II, (X w.).

Podczas pobytu na ziemiach Chazarów wysłannicy Bizancjum widzieli tam wielu Słowian, z którymi, pomimo nieznaczących różnic językowych, mogli rozmawiać bez udziału tłumacza. Może właśnie wtedy utwierdzili się w przekonaniu, o czym też mogli dyskutować wcześniej podczas wspólnego pobytu w klasztorze na Olimpie, „że można dla wszystkich Słowian (...), stworzyć osobny, słowiański obrządek; (...)”⁴⁶. Celem ostatecznym tej idei miało być włączenie Słowian do kościoła greckiego, co doprowadziłoby do jego wzmocnienia wobec nadchodzących zmagani i walki Bizancjum z Rzymem. Możliwe, że Cyryl i Metody przewidzieli też walkę tych dwóch kościołów. Aleksander Brückner sformułował przypuszczenie, że inicjatywa związana z podjęciem działań duszpasterskich wśród Słowian wyszła właśnie od Konstantyna i Metodego: „Ostatecznym krokiem w tym celu było podjęcie Misji Morawskiej; krok ten wyszedł nie od Morawian, lecz z własnej

⁴⁶ A. Brückner, *Legenda o Cyrylu i Metodzie wobec prawdy historycznej: szkic z dziejów chrześcijaństwa u Słowian*, op. cit., s. 18.

inicjatywy braci Sołuńskich. Legendy przedstawiają rzecz inaczej”⁴⁷.

Opowieści zawarte w Cyrylo-Metodiańskich legendach pokazują jedno – Konstantyn i Cyryl potrafili odnaleźć swoje miejsce w kręgach dworskich. Wiele wskazuje też na to, iż szczególnie Konstantyn był blisko logotety Teoktysta, dzięki wsparciu którego oraz cesarzowej Teodory i ich najbliższego otoczenia mógł uczyć się w Konstantynopolu (Carogrodzie)⁴⁸. Badacze podkreślają też, że był Konstantyn związany także z Focjuszem (od 858 roku patriarcha Konstantynopola) i samym cesarzem Michałem III⁴⁹. Miał z nimi dość dobre relacje pomimo tego, iż kilka lat wcześniej (855 rok), za zgodą imperatora, Bardas, dokonując przewrotu, zamordował Teoktysta – mentora i przyjaciela, życiowego opiekuna naszych bohaterów, którzy darzyli go szacunkiem i zaufaniem.

IV.

Zanim na dziejowej arenie pojawią się święci Bracia Sołuńscy, kilka wieków wcześniej (w III-V wieku) wśród ludów żyjących na ziemiach, graniczących z Bizancjum, nauki Chrystusa były już głoszone również w językach, zrozumiałych przez mieszkającą tam ludność. W IV wieku działał ariański biskup Wulfila/Wulfila/Ulfilas (ok.310-383), którego ojciec był najprawdopodobniej Gotem a matką mogła być uprowadzona przez Gotów Greczynka z Kapadocji. Wulfila,

⁴⁷ Ibidem, s. 19.

⁴⁸ M. A. Wesoły, *Konstantyn Filozof, czyli kto?*, „Konstantinove Listy”, 13/ 2, 2020, s. 24.

⁴⁹ С. Б. Бернштейн, *Константин-Философ и Мефодий. Начальные главы из истории славянской письменности*, Москва 1984, s. 59.

znający dobrze język gocki⁵⁰, w wieku trzydziestu lat został biskupem i przez czterdzieści następnych lat prowadził (w trzech językach – greckim, łacińskim i gockim) zakrojoną na szeroką skalę działalność misyjną i kulturową. Dla ułatwienia pracy misyjnej opracował alfabet (oparty w większości na alfabecie greckim, łacińskim i znakach runicznych naddunajskich Gotów), pozwalający na zapisywanie niezbędnych do nauczania i sprawowania liturgii treści w języku gockim. Opracowany przez niego alfabet miał ogromne znaczenie dla Gotów – sprawił, że ich mowa mogła być zapisywana⁵¹. Wulfila prawdopodobnie przełożył z greki cały „Nowy...” i wybrane księgi „Starego Testamentu”. „Był to pierwszy europejski przekład „Biblii” na język narodowy z tego niemal czasu, Hieronimowa „Wulgata” na język łaciński”⁵². Przetłumaczone przez Wulfilę księgi „Biblii” oraz niezbędne księgi liturgiczne, w tym czytania mszalne, przyczyniły się do stworzenia od podstaw narodowej liturgii gockiej – były używane przez Gotów, przede wszystkim w państwie Ostrogotów (istniało w latach 488-559)⁵³. „Był to przekład przygotowany do celów praktycznych, do ewangelizacji i liturgii

⁵⁰ A. Szulc, *Język gocki*, [w:] L. Bednarczyk (red.), *Języki indoeuropejskie*, t. II, Warszawa 1988, s. 741.

⁵¹ Ch. A. A. Scott, *Ulfilas. Apostle the Gothas. An Historical Essay*, Cambridge 1885, s. 124-125.

⁵² S. Logiosz, *Wulfila propagator kultury chrześcijańskiej w starożytnej Mezji i Tracji*, „Vox Patrum”, 4/1983, s. 151.

⁵³ L. Jończuk, *Historia wydań gockiej Biblii*, „Rocznik Teologiczny”, z. 2/2015, s. 123.

(...). Będąc duszpasterzem chciał niewątpliwie jak najszybciej wpoić w serca swoich rodaków pryncypia wiary chrześcijańskiej i w tym celu stworzył alfabet, przełożył „Biblię”, ale z uzasadnionym prawdopodobieństwem możemy również przypuszczać, że jak kilka wieków później Cyryl i Metody, tak i on chciał swoich rodaków nauczyć modlić się do Boga swoim narodowym językiem”⁵⁴.



Srebrna Biblia Wulfili (Codex Argenteus), gocki tekst zapisany srebrnym tuszem (VI w.).

Zarówno Scytowie, jak również Goci wraz z Etiopczykami i Ormianami, dzięki poznaniu nauk Chrystusa, mogli przystąpić – przy pomocy swoich misjonarzy – do chrześcijańskiej wspólnoty; co też dawało podstawy do przemiany ich dotychczasowego życia⁵⁵. Jednakże w przypadku Gotów wejście do rodziny

⁵⁴ S. Logiosz, *Wulfila propagator kultury chrześcijańskiej ...*, op. cit., s. 154, 156.

⁵⁵ A. A. Scott, *Ulfilas. Apostle the Gothas...*, op. cit., s. 27.

chrześcijańskich narodów nie okazało się korzystne. Początkowo Goci „(...) potrafili stworzyć oddzielny etnos – gocki, czerpiąc garściami od innych ludów (...). Być może dlatego też tak szybko rozplynęli się w innych narodach, gdy tylko stracili na znaczeniu. Wyróżnikiem narodu jest bowiem przede wszystkim własny język, obyczaje, pokrewieństwo rodowe, tożsamość i poczucie odrębności społecznej od innych ludów. Goci poprzez procesy chrystianizacji i asymilacji na własne życzenie zrezygnowali z tych wyróżników. Dlatego, mimo iż mieli swój język, pismo, tradycję rodową, a nawet państwo, nie udało im się przetrwać jako naród”⁵⁶.

Przytoczenie Gotów oraz Ormian pokazuje, że na dwóch przeciwległych krańcach – w regionach otaczających Bizancjum – bardzo wcześnie zaistniały sprzyjające warunki do głoszenia nauk chrześcijańskich właśnie w narodowych językach. Powstałe księgi zostały zapisane oryginalnymi alfabetami, stworzonymi przez konkretnych ludzi, będących oświecicielami i wybitnymi nauczycielami wśród swego ludu.

Wulfila (ok. 310–383) wśród Gotów i Mesrop Masztoc (361/362–440) wśród Ormian działali na przełomie IV i V wieku. Ich misja posiadała ogromne znaczenie kulturotwórcze, stała się kamieniem węgielnym pod stworzenie podstaw narodu, tożsamości narodowej oraz kulturowej. Zdaniem Josefa Strzygowskiego Ormianie i Goci kontaktowali się ze sobą w Azji Mniejszej

⁵⁶ T. J. Kosiński, *Uwagi o piśmie i języku gockim oraz autentyczności „Biblii Gockiej” Wulfili*, DOI:10.13140/RG.2.2.27184.23045/2, s. 81.

i nad Morzem Czarnym, a Wulfila / Ulfilas pochodził z pogranicza ormiańskiego w Azji Mniejszej⁵⁷.

Gockie i ormiańskie litery odegrały ważną rolę w dziejach tych dwóch narodów⁵⁸. Jednakże bardziej żywotną i twórczą nacją okazali się Ormianie, którzy – jak unaocniają nam ich tragiczne dzieje – nadal zmagają się z niekonicznie sprzyjającymi układami, w tym także zapędami ich najbliższych sąsiadów.

Można przypuszczać, że misji Braci Sołuńskich i ich twórcemu wkładowi w działalność misyjną i kulturową mogły pomóc, a może i zachęcić właśnie dokonania Gotów i Ormian. Konstantyn-Cyryl i Michał-Metody dostrzegli bowiem odrębność kulturową, językową Słowian i „doszli, jak stwierdza J. Kurz, do stworzenia mostu łączącego liturgię i kulturę wschodnią z zachodnią. Wyszli ze środowiska bizantyjskiego, a działali na terenie jurysdykcji rzymskiej. Chcieli przenieść na ten teren podstawową zdobycz Wschodu – liturgię w języku narodowym – i spoić ze zdobyczami kultury zachodniej”⁵⁹.

Jako niestrudzeni ewangelizatorzy Słowian – „wychowani w kręgu kultury hellenistycznej, przejęci wartościami chrześcijańskimi, którymi żyła ówczesna Europa, włączyli Słowian w krąg ogólnoeuropejskiej cywilizacji

⁵⁷ J. Strzygowski, *Origin of Christian Church Art. New facts and Principles of Research*, Oxford 1923, s. 82.

⁵⁸ Por. E. G. Маргарян, Л. Е. Маргарян, *Роль Машица и Вульфилы в формировании новой цивилизационной идентичности*, „Вестник Санкт-Петербургского университета. История”, 2023. т. 68. Вып. 2. s. 432–453.

⁵⁹ L. Moszyński, *Wstęp do filologii słowiańskiej*, Warszawa 2006, s. 54.

z zachowaniem ich odrębności”⁶⁰. Dzięki słowiańskim literom i słowiańskiej liturgii nastąpiło zrównanie języka Słowian z łaciną i greką, obowiązującymi do tej pory w europejskiej przestrzeni, co było „na Zachodzie w w. IX czymś niesłychanym i naprawdę rewolucyjnym”⁶¹.

V.

W przeciwieństwie do Gotów – dla Ormian, chrześcijaństwo oraz własny alfabet przyczyniły się do wykształcenia i wzmocnienia tożsamości narodowej oraz kulturowej, stając się – w ciągu wieków burzliwych, a wręcz tragicznych dziejów – elementem sprzyjającym konsolidacji i przetrwaniu narodu. Sprawilo to, że „Biblia” i tradycja biblijna mocno zakorzeniły się w dziejach Ormian⁶².

Prawdopodobnie w 405 roku, trzydzieści pięć lat przed swoją śmiercią⁶³ Mesrop Masztoc (ok. 361/362/364–440)⁶⁴

⁶⁰ L. Grygiel, *Europa św. Cyryla i Metodego*, „W Drodze”, nr 145, 1985, s. 40.

⁶¹ F. Sławski, *Święci Cyryl i Metody*, [w:] J. S. Gajek, L. Górka (red.), *Cyryl i Metody apostołowie i nauczyciele Słowian*, Lublin 1991, s. 24.

⁶² A. S. Atiya, *Historia Kościołów Wschodnich*, Warszawa 1978, s. 264.

⁶³ М. Абебян, *История древнеармянской литературы*, Ереван 1975, s. 53.

⁶⁴ Zob. R. Roberson, *Chrześcijańskie Kościoły Wschodnie*, Bydgoszcz 1998, s. 34; Г. Алишян, *История св. Патриарха Саака и вардапета Машица*, [w:] *Армянские жития и мученичества V–VI вв.*, Ереван 1994, s. 34–46; А. J. Нацикян, G. Basmajian, E. S. Franchuk, N. Ouzounian, *The Heritage of Armenian Literature. From the Oral Tradition and to the Golden Age*, Detroit 2000, s. 83–98, 111–113; M. Gillert, *Kościół ormiański wyznacznikiem tożsamości narodowej*, „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, 2002, nr 30/31, s. 11; Э. Г. Туманян, *Еще раз о Месропе Машице – создателе*

opracował oryginalny alfabet. Uczynił to „na polecenie króla ormiańskiego Wramszapuha z dynastii ormiańskich Arsacydów (Arsakidów). Państwo ormiańskie utraciło właśnie swoją niepodległość (w 387 r. nastąpił podział kraju między Cesarstwo Wschodniorzymskie i Persję Sasanidów) i król ormiański, poddany władzy Persów, uznał wraz z patriarchą-katolikosem Sahakiem Partewem, iż czynnikiem podkreślającym tożsamość narodową Ormian (Armeńczyków) w warunkach niewoli będzie wprowadzenie języka narodowego do liturgii”⁶⁵.

Dzięki ormiańskim literom i pracy pierwszych tłumaczy, Ormianie już w V wieku mogli poznać tajemnice i mądrość „Biblii” wraz z najważniejszymi dziełami, dotyczącymi liturgii oraz historii i filozofii. Po opracowaniu alfabetu, odpowiadającego fonetyce języka Ormian, Mesrop Masztoc⁶⁶ przystąpił do organizacji miejsc, w których zaznajamiało z nowym alfabetem.

армянского алфавита, „Известия Академии Наук СССР. Серия литературы и языка” 1968, т. XXVII, s. 439–451; G. Hakopian, *O Mesropie Masztocu i alfabecie*, „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, 2009, nr 60–61, s. 43–49; M. Starowieyski (ks.), *Mesrop Masztoc*, [w:] *Idem Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa Wschodu*, Warszawa 1999, kol. 152; Э. Б. Ажнаниян, *Месроп Машиц*, Ереван 1982; Э. Агаян, *Месроп Машиц*, [w:] *Видные деятели армянской культуры (V–XVIII века)*, Ереван 1982, s. 7–17.

⁶⁵ A. Pisowicz, *Gramatyka ormiańska. Grabar-Aszcharabar*, Kraków 2001, s. 24.

⁶⁶ Я. А. Манандян, *Месроп Машиц и борьба армянского народа за культурную самобытность*, Ереван 1941; H. J. Nersoyan, *The Way and When of the Armenian Alphabet*, „Journal of the Society of Armenian Studies” 1985–1986, No. 2, s. 51–71.



Lekcjonarz ormiański. Karta początkowa Ewangelii św. Mateusza, (1639 r.).

Według wybitnego znawcy literatury i kultury syryjskiej, Lewona Ter Petrosjana, pierwszego prezydenta odrodzonej Republiki Armenii, najwcześniej- szy tzw. „pośpieszny” przekład „Biblii” został dokonany od razu po stworze- niu ormiańskiego alfabetu (405-410 r.). Część ksiąg biblijnych była przełożona z języka syryjskiego, część z języka greckiego. Kanon tego pierwszego przekładu odpowiadał zapisom syryjskiej „Peszyty”. Po Soborze w Efezie (431 rok) zwer- yfikowano „pośpieszny” przekład z księ- gami przywiezionymi z Konstantynopo- la i zredagowano nową wersję, zgodnie z greckim tekstem. Poprawiona redakcja tekstu ormiańskiej wersji „Biblii” pokry- wa się niemal słowo w słowo z tekstem greckim⁶⁷. Po jakimś czasie wersja or-

⁶⁷ Л. Тер-Петросян, *Армения и хри- стианская Сирия: культурные связи (IV-V вв.)*, Ереван 2022, s. 76-82; К. Н. Юзбашнян, *Некоторые проблемы изучения армяно-визан- тийских отношений*, «Вестник общественных

мьянская „Библіи” posłużyła jako materiał dla przekładu na język gruziński, którego alfabet miał ułożyć Mesrop Masztoc⁶⁸, co jest podawane przede wszystkim za jego uczniem Koriunem (ok. 390 – ok. 447)⁶⁹.

Warto zauważyć, że ormiań- ski jest jedynym językiem na świecie, w którym w zasadzie nie używa się po- wszechnie słowa *Biblia*, pochodzącego od greckiego „biblios” – księga. Zamiast tego język ormiański używa własnego

наук АН Арм. ССР», № 3, 1971, s. 44.

⁶⁸ D. M. Lang, *Dawna Gruzja*, War- szawa 1972, s. 125; K. Stopka, *Armenia, Iberia, Albania Kaukaska, Persja, misje w Azji dalszej i Etiopii*, [w:] J. Dobosz, J. Strzelczyk (red.), *Chryścianizacja Europy. Kościół na przełomie I i II tysiąclecia*, Poznań 2015, s. 154; J. Rohoziński, *Gruzja*, Poznań 2016, s. 35.

⁶⁹ Я. А. Манандян, *Месроп Маштоц и борьба...*, op. cit., s. 27. Por. M. Starowieyski (ks.), *Koriun*, [w:] Idem *Słownik wczesnochrześcijańskie- go piśmiennictwa Wschodu*, op. cit., kol. 127.

określenia – słowa „Astwacaszuncz” (*Աստվածաշունչ*), które oznacza „tchnie- nie / oddech Boga”⁷⁰.

Kultura średniowiecznej Arme- nii szybko uzyskała wyraźnie określony charakter narodowy, zdecydowanie reli- gijny i rodzimego odcienia, a z czasem stała się kościelną⁷¹. Nawet obecnie na- biera to nie tylko symbolicznego zna- czenia, zważywszy na fakt, iż Armenia znajduje się na pograniczu nie tylko Eu- ropy i Azji, co właśnie dwóch światów: muzułmańskiego i chrześcijańskiego.

Po rozbiorach Armenii⁷² przez Bizancjum i Persję bardzo ważne było, aby „grecka część” narodu ormiańskiego również miała możliwość modlitwy, słu- chania słowa Bożego i pisania w swoim ojczystym języku. Dlatego też w 420 roku Mesrop Masztoc wyruszył do „kra- ju Rzymian”. Dotarł do Konstantynopo- la, gdzie trafił na dwór – został przyjęty i wysłuchany przez cesarza Teodozjusza II (408-450) i jego siostrę Pulcherię (ur. 399-453). Otrzymał pozwolenie i jednocześnie nakaz rozpoczęcia dzia- łalności oświatowej wśród ludności or- miańskiej, mieszkającej w greckiej części

⁷⁰ Z. Arzoumanian, *Theology of the Ar- menian Apostolic Church*, Burbank 2007, s. 11; M. Parsamyan, *The Holy Bible In the Armenian Church. Astvadzashoonch*, New York 2023, s. 1-4; V. Hovhannessian, *The Bible and the Arme- nian Church*, [w:] E. J. Pentiu (Ed.), *The Oxford Handdook of the Bible In Orthodox Christianity*, Oxford 2022, s. 411-426.

⁷¹ J. Strzygowski, *Die Baukunst der Ar- menier Und Europa*, Band 1, Wien 1918, s. 221.

⁷² К. Н. Юзбашнян, *Некоторые про- блемы изучения армяно-византийских отно- шений*, op. cit., s. 37.

Armenii, zaczął zakładać szkoły, których działalność miała zostać pokryta ze skarbu cesarstwa⁷³.

Armenia, pomimo złożonej sy- tuacji politycznej, często tracąc swoją niepodległość, odgrywała istotną rolę w dziejach Azji Mniejszej – miała kon- takt z sąsiednimi państwami, które dąży- ły do zajęcia jej terytorium i podporząd- kowania mieszkańców. Relacje Ormian z Bizancjum⁷⁴, były procesem dynamicz- nym, twórczym, wzajemnie się dopełnia- jącym. (Cdn.)



Mesrop Masztoc z ormiańskimi literami. Fresk w kościele w Oszakan, gdzie znajduje się grób twórcy alfabetu.

⁷³ Г. Казарян, *Преподобный Месроп Маштоц*, https://pravoslavie.ru/111126.html#_ednref2

⁷⁴ S. Der-Nersessian, *Armenia and the Byzantine Empire. A Brief Study of Armenian Art and Civilization*, Cambridge, Mass., 1947; N. Adontz, *Études arméno-byzantines*, Lisbonne, 1968.

Przypomnienia

Z ostatniego zbioru poezji „*nowe stare i stare nowe*”, Kraków 2021

czas

to
bezbrzeżny ocean niematerialnej pustki
wypełnionej świadomością przemijania
chyttrze zainstalowanego w niej życia
które ze wszystkich swoich
przyrodzonych sił
w tej esencjalnie czystej zawieszce
stara się zostawić jakiś znak istnienia
niechby to był odcisk choćby jednej
stopy

09.10.2020 r.

Pierwszy trzeci krok

Po pierwszym trzecim kroku
Wiemy już, że żyjemy.
Przed nami długa droga.
Co dzień miliony kroków.
Krok po kroku – do końca
Ziemińskiego wieloboju
O puchar świadomości
Sensu ludzkiego marszu.
I tak od rana do wieczora.
Zawsze o jeden krok do przodu.
Bo już mającą Złote Góry
I szemrząc wabi Wierna Rzeka.
Czas stanął w miejscu – nie ucieka
I gonić za nim nie warto.
Nasz ostatni pierwszy trzeci krok
Przypieczętuje jaskrawy mrok.

28.06.2015 r.

Trzy stopnie w dół

To pewne! Znikniesz z estrady życia
kiedy zrozumiesz, że masz serdecznie
dość wszystkiego – siebie samego też!
Jednak odwrót zaczyna się wcześniej –
gdy przestajesz być potrzebny innym.
Odchodząc w czeluście niepamięci,
próbujesz zabrać jakąś pamiątkę.
Rozpaczliwie poszukujesz, w starym
archiwum serca, zapomnianego
Imienia pierwszej miłości...

23.05.2012 r.

Nadzieja

Na pewno ma ojca i matkę,
być może jest jedynaczką...
Pojawia się nieustannie
na każde wołanie człowieka...
Otwiera szczodroblive serce,
dodaje sił i otuchy...
Nigdy nikogo nie opuszcza.
Rodzi się i żyje dla wszystkich.
Jest jak szminka barwiąca usta –
Nakładana, wciąż na nowo,
warstwami radosnych rozbłysków.

06.10. 2020 r.

Szczęśliwi ludzie

Nie wiedzą, że się urodzili –
Dlaczego właśnie oni?
A gdy w głowach wykielkuje już
zwykła ludzka świadomość –
brak im czasu na rozmyślanie.
Uczą się, kochają, pracują...
Zuchwale pokonują rzeki
wciąż upływającego czasu ...
Gromadzą dukaty nadziei.
Dziwią się – skąd w domu tak piękne
córkę, synowie i wnuczęta?
Otuleni kołdrami szczęścia
nadal nie widzą, co tu robią?
I... czemu muszą już stąd odejść –
Dlaczego właśnie oni?

13.05.2012 r.

Obiegowa mądrość

Bezinteresowne dobro sięgają anieli.
Zło, za swe nieczne podszepty *żąda*
zapłaty!
A gdy przypadkiem spotkasz je na
swojej drodze,
Zostawiaj cię samego na rozstajach świata.
Wtedy – w jaką bądź stronę postanowisz
ruszyć –
I tak zabłądzisz. Nigdy nie dojdiesz do
celu.

16.06. 2012 r.

Upadek

Starość jest, jest... jest jak
przypadkiem wywrócony
do góry nogami
emaliowany garnek.
Zupa się wylała...
Wszelkie próby i starania,
aby jeszcze raz stanąć
na gorącym blacie życia,
zawiodły...
Zresztą, po co, skoro
jest pusty jak dzwon
z wyrwanym sercem...
Wprawdzie rozpaczliwie
czepia się jeszcze
stygnących już fajerek –
bo przecież „nic się nie stało”.
Sińcami obitej emalii
uśmiecha się głupawo.
Łapie za obwisłe ucho,
ale...
Na lastrykowej posadzce,
na kałuży krupniku,
dogorywa wierna pokrywka...
Czas pikantnych przypraw
i egzotycznych deserów
przezornie ulotnił się
wywietrznikiem w świat!

PS
Zazwyczaj, w dobrym teatrze,
po rozegraniu tak tragicznych scen,
oniemiałą dominującym współczuciem
widownię ogarnia głęboka cisza.

05.04.2020 r.

Już czas

Pełno wokół nas rzeczy, których nie
ma...

A brak potrzebnego do życia tlenu.

Zaniechano starych mądrości i prawd.

Maskowane zielenią obietnic –
Bez zapachu gałązek rozmarynu,
Rozpleniły się jakieś nowe mity.
Codziennie defilują ulicami...
Łaszcza się w eterze, w błyskach ekranów.

Nie wystarcza już ciepła szczerść
słońca.
Niecierpliwie oczekuje się cudów...
Bo przecież... tak, jesteśmy tego warci!

A wilki podchodzą już coraz bliżej.
Wyją przeciągle od samego rana.

Czas przestać śnić! Z chłodu studni
wydobyć
Wiadro orzeźwiającej zimnej wody
I chlusnąć na swój zatwardziały czerep.

17.09.2015 r.

30.03.2020 r.

Ryszard Tomczyk

Hymn „Lewaków” A. D. 1994. Z elbląskiej Szopki Noworocznej pt. „Betlejemka”¹

Tysiące głów,

Miliony rąk,
A każda ręka lewa! –
Niech okrzyk ten
Wesoło znów
Po miastach nam rozbrzmiewa
Nie dla nas wszak
Pobocza trakt,
Lamenty i pacierze.
Wracamy więc
Do dawnych ról
Po władzy mięso świeże.



Ryszard Tomczyk i Andrus, 2011 r.

Nas nie tknięto, iż my się nie dali.
Nie rozliczał nas Żółw ani Lew.
Dziś my sami będziemy rozliczali! –
To nasz program i czyn nasz, i śpiew!



Alina i Ryszard Tomczykowie, 2013 r.

¹ Pierwodruk: T. Tomczyk, *Na własne życzenie*, Elbląg 1995, s. 34.

AUTORZY

Jerzy DOMINO

(ur. 1957 r.). Historia sztuki, Uniwersytet Warszawski. Konserwacja Dziej Sztuki, Akademia Sztuk Pięknych, Warszawa. Tytuł doktora nauk humanistycznych w Instytucie Historii Akademii Pomorskiej w Słupsku. Pracownik Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, Delegatura w Elblągu. Uprawia malarstwo, grafikę i rysunek, stosuje technikę drzeworytu. Zajmuje się też ilustracją książkową. Udział w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych. Równoległe prace naukowe z zakresu historii sztuki regionu.

Karl GRENZLER

(ur. 1954 r. w Łebie) – poeta, prozaik, tłumacz. Od 1987 r. mieszkał w Niemczech, ostatnio w Wiesbaden. Od 2020 w Czersku w Borach Tucholskich. Absolwent Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, kustosz biblioteczny, kierownik Biblioteki Instytutu Geografii UJ, Diplom-Bibliothekar w Das Stadtarchiv und die wissenschaftliche Bibliothek w Soest, następnie w Gustav-Lübcke-Museum. Członek Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie, Związku Literatów Polskich oraz Lübecker Autorenkreis w Lubece. Uczestnik imprez literackich, m.in.: Światowych Dni Poezji (Warszawa 2002-2004) Warszawskiej Jesieni Poezji (2003-2016), Portu Poetyckiego (Bydgoszcz 2004-2006), Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórza (2005), Maja nad Wilią (Wilno 2006-2007), Międzynarodowego Listopada Poetyckiego (Poznań 2008-2017), Dni Poezji w Broumovie (Czechy 2019-2022). Autor polsko-niemieckich zbiorów poezji: „Czarny księżyc / Der schwarze Mond” (Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego 2004 w Poznaniu), „Moje anioły / Meine Engel”, „Strażnicy tajemnic / Wächter der Geheimnisse” (Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego 2016 w Poznaniu), „Zabijanie miłości / Das töten der Liebe” oraz książki prozatorskiej „Podobno jestem psem”. Tłumacz poezji Andrzeja Żaniewskiego, Joerga Ingo Krausego, Lidii Żukowskiej, Danuty Kostewicz, Dariusza Tomasza Lebiody, Danuty Muchy, Janusza Koniusza, Józefa Bułatowicza, Elżbiety Cichli-Czarniawskiej i in.

Edward Janusz JAREMCZUK

Elblązanin, z wykształcenia politolog, człowiek wielu pasji oraz zainteresowań. Autor kilku opracowań związanych z Afryką, ostatnio opublikowana duża i ważna (wydana w 2020) praca „Przemiany polityczne w Kongu. Od kolonii po współczesne państwo (1885-2020)”.

Zainteresowania to szeroko rozumiane lotnictwo, sporty zimowe, fotografia a nawet golf. Podczas gry, jak sam twierdzi, można doskonale wypocząć. Całkiem

odmiennym hobby jest fotografia (jest *spotterem*, namiętnie fotografuje wszystko, co związane jest z lotnictwem).

Autor m. innymi dwóch albumów fotograficznych – „Elbląg i jego okolice z lotu ptaka” oraz „Powietrze pełne <ptaków>”. Miłośnik dobrej książki, ale i również kotów (jest właścicielem pary kotów rasy *Main Coon*). Gdyby były to psy, pewnie wraz z nimi chodziłby na spacer, a tak musi po elbląskich przedmieściach wędrować solo. Wbrew podejrzeniom nie jest to czas stracony, bowiem podczas marszów można dużo rzeczy dziejących się wokół nie tylko dostrzec, ale i mieć na ich temat wiele przemyśleń egzystencjalnych.

Benedykt KROPLEWSKI

(ur. w 1948 r.). Malboreczanin. Studia: Wydział Malarstwa, Grafiki i Rzeźby – Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Gdańsku (obecnie Akademia Sztuk Pięknych). Artysta plastyk – zajmuje się malarstwem, grafiką, rysunkiem, ilustracją i plakatem. Brał udział w ponad 30 wystawach w Polsce (m.in. we Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, Bydgoszczy, Białymstoku, Szczecinie, Elblągu, Toruniu, Gdańsku, Malborku, Lesznie, Kaliszu, Pleszewie) oraz za granicą (w USA, Japonii, Włoszech, Niemczech, Belgii, Szwecji, Rosji, na Litwie, Francji, Armenii, Nepalu, Grecji).

Henryk MAJCHEREK (1934 – 2021).

W 1961 roku ukończył studia na Wydziale Aktorskim PWSTiF w Łodzi. Zadebiutował (grudzień 1961) na deskach Teatru Powszechnego w Łodzi. Później była praca i artystyczne zmagania w różnych ośrodkach (Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu, Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego w Koszalinie i Słupsku, Teatr Polski w Bydgoszczy, Teatr Współczesny i Teatr Polski w Szczecinie, Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej w Krakowie, Teatr Polski w Bielsko-Białej, Wrocławski Teatr Współczesny im. Edmunda Wiercińskiego). Kilka lat spędził w Elblągu. Był zastępcą (1975-1977) Jacka Grucy – pierwszego dyrektora elbląskiej sceny. Do Elbląga powrócił raz jeszcze. W latach 1990-1997 pracował ponownie w Teatrze Dramatycznym, był też jego dyrektorem naczelnym i artystycznym (1990-1991).

Brał udział w wielu realizacjach radiowych, telewizyjnych i filmowych. Pisał scenariusze, kameralne formy teatralne i felietony, wiersze i aforyzmy. Inną jego pasją było malarstwo, głównie akwarela. Miał kilka wystaw indywidualnych (m.in. w elbląskim salonie „Galeria w Teatrze”) i zbiorowych. Publikował w „Elbląskim Magazynie Ilustrowanym” „Jednak Centrum”, gościł też często na łamach „Tygła”. W 2010 r. ukazał się album „Wokół Kurdwanowa, czyli osiedlowa opowieść <prehistoryczna>” z delikatnymi akwarelami. Ostatnia dekada jego życia została wypełniona pisaniami, układaniem wierszy – myśli, będących efektem wnikliwych obserwacji. Opublikował zbiorki poetyckie: „Moje niefotogeniczne wiersze” (2011), „Kłębek” (2013), „Płoty, mury, kamienie” (2015), „Ścinki” (2016), „Ziarnka ślepej kury” (2017), „Kropka i przecinek” (2018), „Pół funta różnaitości” (2020), „Nowe stare i stare nowe” (2021).

Wiktor MAZURKIEWICZ

(ur. w 1943 r. w Bydgoszczy) – od 1971 roku mieszka w Elblągu, wykształcenie wyższe geodezyjne. Jego wiersze pierwszy raz w 2007 r. zostały zamieszczone łamach elbląskiego kwartalnika kulturalnego – „TygiEL”. W wierszach porusza problemy egzystencjalne, podkreśla urokliwość przyrody, w tym wdzięk kobiecości i piękno muzyki. Znakomitą większość utworów poświęca żonie – Bożennie z domu Truszkowskiej (1944-2017). Wydał 11 tomów wierszy oraz obszerny, wspomnieniowy album rodzinny „Mazurkiewicz z ulicy Saperów 9 w Bydgoszczy”. Pięciokrotny laureat konkursów literackich, organizowanych przez Fundację Elbląg. Wiersze publikuje w portalach poetyckich poezja-polska.pl i portal-pisarski.pl. Kilkanaście wierszy znajduje się w „Antologii Poetów Polskich 2017” – Wydawnictwo Pisarze.pl, a także w antologii „Literaci elbląskiego trzydziestolecia 1989-2019”. W 2024 roku ukaze się 12. tom wierszy „Późnojesienny kalejdoskop”.

Piotr MÜLDNER-NIECKOWSKI

(ur. 1946 r. w Zielonej Górze) – polski pisarz, lekarz, językoznawca (frazolog i leksykograf), wydawca. Niekiedy publikuje pod nazwiskiem Piotr Müldner lub jako PMN, pmn, Pemen.

Jest synem Wiesława Müldnera-Nieckowskiego (1915-1982), rzeźbiarza, malarza i grafika oraz starszym bratem Jacka Müldnera-Nieckowskiego, rzeźbiarza. Studiował w Akademii Medycznej w Warszawie (1964-1970). Specjalista chorób wewnętrznych. Doktor nauk medycznych, doktor habilitowany nauk humanistycznych, profesor UKSW. Żona Małgorzata z d. Olszewska (1948-1999) była rzeźbiarką, jubilerem, kompozytorką. Druga żona, Mirosława jest bibliotekoznawcą. Córka Justyna Jannasz jest iberystką, tłumaczką i marketingowcem, syn Łukasz lekarzem psychiatrą i psychoterapeutą. Od początku kariery zawodowej do 1993 związany ze Szpitalem Wolskim w Warszawie jako lekarz na oddziale chorób wewnętrznych. Kierownik przychodni rejonowej, kierownik Działu Organizacji i Nadzoru, okresowo lekarz wolontariusz. Okresowa służba wojskowa (lekarz pułku) w Grudziądzu 1973-1974. Pracownik naukowo-dydaktyczny Akademii Medycznej w Warszawie w Zakładzie Historii Medycyny i Farmacji 1974-1978. Naczelny redaktor Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich (PZWL) 1983-1986, skąd został usunięty w ramach represji politycznych. Założył firmę redagowania tekstów Agencja Usług Literacko-Artystycznych (AULA) 1987, następnie przekształconą w Wydawnictwo Aula (1990-). Pracował jako lekarz prywatny 1994-2010. Pracownik naukowo-dydaktyczny na Wydziale Nauk Humanistycznych UKSW 2000- , profesor nadzwyczajny 2010. Założyciel i kierownik Podyplomowego Studium Edytorstwa Współczesnego UKSW 2000. Kierownik Zakładu Edytorstwa i Krytyki Tekstu w Instytucie Filologii Polskiej UKSW 2005- . Członek Związku Literatów Polskich 1970-1983, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich 1989- , Komisji Frazeologicznej Komitetu Językoznawstwa PAN 2003- , Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, Polskiego o Towarzystwa Historii Medycyny i Farmacji, Polskiego

Towarzystwa Językoznawczego. Współpracował albo współpracuje z czasopismami literackimi i naukowymi lub był (jest) ich redaktorem (m.in. „Nowy Medyk”, „Nowy Wyraz”, „Życie Literackie”, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny”, „Polski Tygodnik Lekarski”, „Forum Akademickie”, „Puls”, „Łabuz”). Autor komputerowych algorytmów poprawnego dzielenia wyrazów, zautomatyzowanej korekty i adiacji, algorytmu obsługi oddziałów szpitalnych i programów do obsługi leksykograficznych baz danych. Otrzymał stypendium i Nagrodę im. Tadeusza Borowskiego 1976, Medal im. Janusza Korczaka 1982, Nagrodę I stopnia Polskiego Radia za twórczość radiową 1992, Medal Komisji Edukacji Narodowej 2003, Medal Za Zasługi dla Kultury w Wojsku Polskim 2008, Nagrodę Krytyki Artystycznej im. Cypriana Kamila Norwida 2012 za tom poezji „Park”, nagrodę Polskiego Radia Wielki Splendor 2013 i wiele innych.

Lech L. PRZYCHODZKI

(ur. 1956 r. w Lublinie) – filozof sztuki, publicysta, reportażysta i tłumacz. Współzałożyciel w roku 1974 kontrkulturowej grupy literackiej, związanej z tzw. Nową Falą, czyli „Ogrodu/Ogrodu-2”. Autor książek: „Liście ze świata żywych, listy z Krainy Jaszczurek” (Lublin 2000), „Tao niewidzialnych” (Bensheim 2005), dwujęzycznej edycji „święto wojny/krieg feiern” (tłum. na niem. Herbert Ulrich, Elbląg 2006), „Misterium tożsamości. Jerzego Jakubów droga do gór i ludzi” (Jelenia Góra 2007), i „Humaniści w sieci Historii” (Lublin 2008). Współautor 6 kolejnych (w tym 3 tomików „Ogrodu/Ogrodu-2”), ostatnio antologii „Literaci elbląskiego trzydziestolecia 1989-2010”. W latach 2000-2009 kierował Mail-Artową „Ulicą Wszystkich Świętych”. Współtwórca niemieckiego portalu www.RegioPolis.net (2001-2004) i wileńskiego www.infopol.lt/pl (2005-2011). Publikuje na łamach pism i portali polskich, brytyjskich, belgijskich, niemieckich i litewskich. Przez ponad dwadzieścia lat związany z kwartalnikiem „TygiEL” (Elbląg), nieco krócej z mieleckim „Innym Światem” i łódzkimi: Magazynem „Obywatel” i „Konstelacją Cienia”. W latach 2011-2013 naczelny międzynarodowego, prowadzonego z Kenii, portalu humanistów www.bezjarzmowie.info.ke a od września 2014 v-ce naczelny portalu www.siemysli-ke.info .Od pierwszego numeru (2021) związany ze stołecznym kwartalnikiem „Ostoja”, coraz częściej pisuje też do kwartalnika „Lublin. Kultura i Społeczeństwo”. Członek Zarządu Oddziału na Wychodźstwie SDP - Lublin.

Krzysztof Piotr SAWICKI

(ur. 1959 r. w Gdańsku) – studiował historię na Uniwersytecie Gdańskim. Doświadczony pedagog i wychowawca młodzieży. Stopień doktora nauk humanistycznych z zakresu nauki o polityce uzyskał na Wydziale Nauk Społecznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych Federacji Rosyjskiej oraz relacjach podmiotów międzynarodowych z Obwodem Królewieckim FR. Bada stosunki polsko-litewskie po 1989 r. Zajmuje się przemianami na Litwie w kontekście Europy Środkowo-Wschodniej oraz analizuje sytuację Polaków na Litwie.

Tomasz STEŻAŁA

Elblązanin. Autor kilkunastu bestsellerowych powieści, szeregu opowiadań, tłumacz. Nauczyciel, interesujący się historią, wojskowością, polityką. Kocha rodzinę i grę w golfa oraz rekonstrukcję historyczną.

Zbigniew Tomasz SZMURŁO

(ur. 1958 r. w Ciechanowie) – elblązanin z wyboru, doktor nauk humanistycznych. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu (1978) – ceramika artystyczna. Studia: Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Gdański (dyplom „Twórczość Wadima Sidura” 1988). Doktorat nauk humanistycznych w zakresie nauki o polityce, uzyskany na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie (2010). Dysertacja doktorska: „Zależności, wpływy, oddziaływania kultury i polityki w Armenii”. Filolog rusycysta, tłumacz języka rosyjskiego, politolog, armenolog, publicysta, dziennikarz („EGO – Elbląska Gazeta Obywatelska”, „Tygodnik Elbląski”, „EMIL – Elbląski Magazyn Ilustrowany”, „Kurier Elbląski”, Dwutygodnik Elbląski „Jednak Centrum”, Dwutygodnik Elbląski „Regiony”, „TygiEL – Kwartalnik Elbląski”, „Telewizja VECTRA”, wykładowca akademicki (Akademia Medyczna w Gdańsku, Wyższa Szkoła Bezpieczeństwa w Poznaniu: Wydział Studiów Społecznych Gdańsk, Wydział Nauk Społecznych Bartoszyce, Wydział Nauk Społecznych Giżycko). Twórczość naukowa oraz krytyczno-artystyczna. Artysta plastyk, członek honorowy Związku Artystów Plastyków Armenii i Związku Plastyków Arcachu – Republiki Górskiego Karabachu. Uprawia malarstwo, grafikę, rysunek, ceramikę artystyczną i fotografię. Prace w zbiorach w Polsce, USA, Norwegii, Szwecji, Armenii, Kazachstanie, Mołdawii, na Łotwie i Litwie. Udział w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w Polsce (Bartoszyce, Bochnia, Chrzanów, Ciechanów, Elbląg, Jaworzno, Kraków, Łomża, Młynary, Myślenice, Nowy Wiśnicz, Olkusz, Olsztyn, Pasłęk, Przasnysz, Tarnów, Warszawa) i za granicą (Armenia, Estonia, Kazachstan, Litwa, Rosja, Ukraina). Uczestnik międzynarodowych plenerów i poplenerowych prezentacji „Inspiracje” Kąty Rybackie, Janów (2009–2014), „Ormiańska Paleta”, Odzun / Armenia (2012); „Pasłęckie Barwy Jesieni”, Pasłęk (2016–2024); „Horyzonty Wielkiego Stepu”, Taraz / Kazachstan (2017), Międzynarodowy Plener Malarski „Bartoszyce 2019”, Bartoszyce (2019).

Ryszard TOMCZYK (1931–2020)

Doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Gdańskiego. Malarz, teatrolog, krytyk kultury. Od 1953 związany z miastem Elbląg – współzałożyciel Elbląskiego Towarzystwa Kulturalnego. Honorowy Obywatel Elbląga. Od 1976 roku należał do Związku Polskich Artystów Plastyków. Był też członkiem Związku Literatów Polskich. W latach 1980–1987 dyrektor i komisarz Galerii EL, która zmieniła wówczas nazwę z Laboratorium Sztuki na Centrum Sztuki. Postawił wyraźnie na działania interdyscyplinarne, czego przejawem były m.in. imprezy – Interdyscyplinarne

Spotkania Twórcze, Spotkania Warsztatowe Twórców Młodego Pokolenia, plenery, realizacje widowisk parateatralnych itp. Był redaktorem pism: „Elbląski Magazyn Ilustrowany” („EMIL” – 1991–1992), „Jednak Centrum” (dwutygodnik, 1998), „Regiony” (również dwutygodnik, 1998–2001). W 1990 r. powołał do istnienia Stowarzyszenie Elbląski Klub Autorów SEKA a w 1991 r. Kwartalnik Elbląski „TygiEL”. Znany i ceniony w Polsce artysta plastyk. Swoje prace prezentował na wystawach indywidualnych (ponad 40 ekspozycji). Autor wielu książek, z których najgłośniejszymi stały się „Zadra. Kruszenie piedestału” (1996), „Było, minęło. Opowiadania domowe” (2001), „Pakamera” (2002), „Tobół” (2003), „Nie samym chlebem” (2008), „Schody” (2010). Stale współpracował jako eseista i krytyk z „Poezją Dzisiaj”, „Ulicą Wszystkich Świętych”, „Autografem” i wieloma innymi pismami krajowymi.

Bartłomiej Henryk TOSZEK

(ur. 1972 r.) – prawnik, dr hab. nauk o polityce, prof. Uniwersytetu Szczecińskiego; pracował i kierował komórkami organizacyjno-prawnymi w Zachodniopomorskiej Izbie Rolniczej, Zachodniopomorskim Urzędzie Wojewódzkim i Urzędzie Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego, był przewodniczącym Rady Nadzorczej Polskiego Radia Szczecin S.A. i dyrektorem Agencji Rynku Rolnego OT w Szczecinie; obecnie zatrudniony w Instytucie Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie US, jest przedstawicielem Województwa Zachodniopomorskiego w sieci regionalnych punktów oceny wdrażania polityk Unii Europejskiej przy Komitecie Regionów UE; w swoich badaniach naukowych koncentruje się na systemach politycznych podmiotów subnarodowych oraz przekształcaniach ustrojowych i polityce zagranicznej Wielkiej Brytanii; autor i współautor wielu monografii m.in.: „Proces integracji Wielkiej Brytanii ze Wspólnotami Europejskimi w latach 1961–1975” (Toruń 2009), „Od wizji do rzeczywistości. Dziesięć lat dewolucji w Walii” (Warszawa 2011), „Reforma dewolucyjna w programach głównych partii politycznych w Walii w latach 1997–2011” (Toruń 2016) oraz ok. 100 artykułów naukowych.

Satenik VARDANYAN

(ur. 1974 r.) – profesor katedry Historii i Teorii Sztuki Ormiańskiej, Wydział Historii Uniwersytetu Państwowego w Erywaniu. Absolwentka Katedry Sztuki Państwowej Akademii Sztuk Pięknych w Erywaniu (1996). Kierownik projektu w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Kultury Ormiańskiej (International Association of Armenians Culture). Autorka ponad 40 prac naukowych, opublikowanych w różnych językach na łamach prestiżowych czasopism międzynarodowych.

Andrzej WOŁOSEWICZ

(ur. 1958 r.) – poeta, krytyk literacki, filozof. Wydane tomiki poetyckie „Zbytek” (2003), „Prawdziwą podróżą naszego życia jest podróż wewnętrzna” (2007), „Monogram ze starych zegarów” (2010), „Każdy Twój krok prowadzi nad Styks” (2014), „Krajobraz spod zatrzymanych słońc” (2019) i książki eseistycznej „Świat według po-

ety” (2005). Współpracuje z kwartalnikiem literackim „Migotania”, dwutygodnikiem www.pisarze.pl, jest zastępcą red. naczelnego kwartalnika „Aspekty Filozoficzno-Prozatorskie”. Od 2005 należy do ZLP.

Bohdan WROCŁAWSKI

(ur. w 1944 r. w Milanówku) – poeta, pisarz, dramaturg, animator kultury. Debiutował jako poeta w 1963 roku. W 1967 roku ukazała się jego pierwsza książka poetycka „Linia krat”. Opublikował wiele tomów wierszy, zdobywając uznanie krytyki i liczne nagrody literackie. Jest także autorem piosenek literackich. Przez kilkanaście lat występował na scenie, prowadził popularny kabaret literacki „Ostatnia Zmiana”. Pisze sztuki sceniczne dla dzieci. W 2006 roku na „Światowych Dniach Poezji” otrzymał nagrodę poetycką UNESCO za tom wierszy, zatytułowany „Inny smak księżyca”. Od września 2010 roku redaktor naczelny portalu pisarze.pl

Najważniejsze publikacje: „Linia krat”, Wydawnictwo Morskie 1967, „Wypalanie wnętrza”, Wydawnictwo Morskie 1977, „Powiększony o czas powrotu, powiększony o czas czekania”, Wydawnictwo Morskie 1978, „Dworzec podmiejski”, Wydawnictwo Pojezierze 1983, „Podróże w obecność”, Wydawnictwo Łódzkie 1984, „Poker” (zbiór opowiadań), Wydawnictwo Morskie 1984, „Wiersze”, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram 2000, „Cyrograf milczenie”, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram 2003; „Inny smak księżyca”, Wydawnictwo IBiS 2006, „Skazany na peryferie”, Wydawnictwo Pisarze.pl 2018, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo Pisarze.pl 2023.

Janusz Donimir WROCŁAWSKI

(ur. w 1966 r. w Elblągu) – redaktor naczelny kwartalnika „TygiEL”, wizjoner, publicysta i przedsiębiorca, który z pasją eksploruje pogranicza kultury, duchowości i nowoczesnych technologii. Twórca śmiałych idei, poszukiwacz głębi ludzkiej świadomości, znawca hipnozy i mistrz słowa. Łączy tradycję z przyszłością, zadając pytania, na które inni boją się odpowiedzieć. Nieustannie poszukuje nowych ścieżek, by inspirować, prowokować do myślenia i przesuwąć granice poznania. A przy tym wszystkim – człowiek niezwykle skromny.

Magdalena ZYBOWSKA

ur. w 1978 r. w Krakowie, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego. Jest szczęśliwą mamą trzech cudownych synów, którzy są jej dumą i sensem życia. Pisze z potrzeby serca o życiowych doświadczeniach zbieranych latami, wyrażając siebie i swoje emocje. Należy do kilkunastu grup poetyckich i wzięła udział w kilku antologiach, a jej wiersze można znaleźć na stronie *FaceBook* „Kokon poezja sercem pisana”. Wydała dwa autorskie tomiki poezji „Kokon” i „Kokon rozbita powłoka”. Od trzech lat współprowadzi audycje poetyckie w ramach „Audycji Poetyckich Pióro Feniksa” oraz prowadzi audycję publicystyczną „W odcieniach słów”. Obecnie prowadzi autorską audycję „Kolejność myśli wewnętrznych” w własnej stacji „Radio MagMa”. Współorganizatorka spotkań poetyckich o nazwie „Audycje Poetyckie LIVE” w całym kraju (m.in.: w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi, Kaliszu, Kutnie).